

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/524

1991



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

R. KACZMAREK:

O PROGRAM ENERGETYCZNY

M. ZIELIŃSKI: **WSPÓLNA SPRAWA**

Cz. MIŁOSZ: **NAD NIEWIĄŻĄ,
WIEK DZIEWIĘTNASTY**

W. MAKSIMOW: **PRAWO KARMY**

DOKUMENTY: **UCHODŹCY ZE WSCHODU**


SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek:	<i>Warunki powodzenia programu energetycznego</i>	3
Marek Zieliński:	<i>Wspólna sprawa</i>	16
Karol Modzelewski:	<i>Przejąć suchą stopą (O naszym miejscu w Europie)</i>	20
Czesław Miłosz:	<i>Nad Niewiaźą, wiek dziewiętnasty</i>	24
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	47
WIERSZE		
Tadeusz Chabrowski:	<i>Poranny pacierz; — Formułka księdza Wacława Katechety</i>	61
WYWIADY „KULTURY”		
Renata Gorczyńska:	<i>Nasz człowiek w Waszyngtonie... (Rozmowa z Andrzejem Jareckim)</i>	62
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Uchodźcy ze Wschodu w Polsce</i>	74
Piotr Daszkiewicz:	<i>Polska katastrofa ekologiczna</i>	85
KRAJ		
Maciej Poleski:	<i>Kierunek ruchu</i>	89
Krzysztof Wolicki:	<i>Antrakt</i>	94
Jan Prokop:	<i>W co się Pan bawi, Panie Prezydencie?</i>	101
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Bunt integrystów — Marcel Lefèbvre</i> ...	105
Nazwiska znane Redakcji:	<i>Kościół polski w republikach sowieckich</i>	110
SĄSIEDZI		
Władimir Maksimow:	<i>Prawo karmy</i>	115
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	122
KRONIKA KULTURALNA		
—	<i>Nagrody im. K.A. Jeleńskiego</i>	127
CI, CO ODESZLI		
Zbigniew Racięski:	<i>Wspomnienia ze szlaku Buzułuk-Jangi Jul — Bagdad-Bolonia (poświęcone śp. Zdzistawowi Bauowi)</i>	129
KSIĄŻKI		
Leszek Szaruga:	<i>Pisanie o emigracji</i>	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	146
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska i kanadyjska</i>	147
•		
J. Bryłowski, J. Doktor, S. Domagała, E. Skalski, A. Fedorowicz, J. Czekajewski, A. Łuczak, P. Zagierski:	<i>Listy do Redakcji</i>	156

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 1991

INSTYTUT  LITERACKI

KULTURA

25 stycznia 1991

WARSZAWA

1991

PARYZ

SPRAWY I TROSKI

Uchwały ze Wschodu w Polsce

Piotr Dąbkiewicz

Próba rekonstrukcji ekologicznej

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Jan i Kamila Halpern, Kolonia (RFN) — w 10-tą rocznicę śmierci Przyjaciela Stefana Strelcyna, dla uczczenia jego pamięci	F.	338,30
Aleksander Kotlicki, Effretikon (Szwajcaria) dla uczczenia pamięci żony, Alicji Kotlickiej, w trzecią rocznicę Jej śmierci	F.	200,00
Jacek Makowski, Manchester, MA (USA) — pamięci Matki, Zofii Makowskiej — dol. c. 140,00	F.	630,00
Maria Rose, Janina i Mieczysław Kowalikowie, Maria Wołodarska oraz Bronisława i Jerzy Kowalewscy — w serdecznej pamięci, zamiast kwiatów na grób Ireny Tarłowskiej, zmarłej w Warszawie	F.	500,00
J. Masiewicz, Toronto On., — po raz 11-ty	F.	173,94
Pamięci Stefana Strelcyna w 10-tą rocznicę Jego śmierci — syn, synowa i wnuczka z Paryża	F.	150,00
Julita Szylar, New York, NY, po raz 3-ci — dol. USA 100,00	F.	580,00
W 10-tą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna — dla uczczenia Jego pamięci — żona i syna z rodziną (Manchester — Londyn)	F.	400,00

DZIĘKUJEMY!

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc dla Polaków w Rosji — £ stg. 5,00

Domagala, E. Skabki, A. Fedorowicz, J. Czekajewski, A. Luczak, P. Zapieralski

Listy do Redakcji

Warunki powodzenia programu energetycznego

Wielki program energetyczny mógłby zmobilizować społeczeństwo wokół wspólnego celu. Jednym z głównych powodów rozbicia społeczeństwa jest powszechna bezradność: wobec ogólnej ruiny kraju nie wiadomo, za co się wziąć. Zwykle przyjmuje się, że społeczna demobilizacja i zanik wiary w celowość wysiłku zbiorowego wynikają z braku dużych kapitałów, jakie mogłyby nadać realny kształt wielkim projektom. Nie podzielam takiego sądu. Kluczowym problemem wschodnioeuropejskich społeczeństw jest głęboka przemiana kulturowa o bardzo złożonym charakterze i wydaje się, że dużą przeszkodę stanowią tu władze polityczne, które do takiego zadania nie są przygotowane. Brak kapitałów jako rzekomy czynnik demobilizujący nie ma tu nic do rzeczy. Wymownego przykładu dostarczają procesy zachodzące w Niemczech. Fundusze na zmianę gospodarki wschodnich terenów kraju są tam znaczne, a mimo to wiele wskazuje na to, że rzeczywiste koszty zjednoczenia mogą na długie lata zaciążyć na rozwoju wielkich Niemiec. Mówiąc o kosztach, mam na myśli trwałą podział kraju na strefy lepszą i gorszą oraz głębokie urazy w traktowanym jak przedmiot społeczeństwie wschodnio-niemieckim, dla którego własna elita polityczna nie potrafiła stworzyć alternatywy czynnego współdziałania w nieuniknionym procesie wykupu przez kapitał zachodni. Niemcy dysponują manną kapitałową, natomiast nie mają polityki aktywizującej społeczeństwo; w Polsce brak jednego i drugiego.

KONIECZNOŚĆ MOBILIZACJI SPOŁECZEŃSTWA

W oczekiwaniu na rynek konieczne jest odwoływanie się do odchodzących z wolna w niepamięć mechanizmów solidarności,

tyle że nie do walki z nieudolnym i łatwym do zdefiniowania przeciwnikiem politycznym, lecz dla wykształcenia obyczaju zbiorowego wysiłku wokół wielkich programów narodowych. Jednym z nich musi być masowe oszczędzanie części wzrostu zarobków na długoterminowych kontach inwestycyjnych, co proponowaliśmy już dla stworzenia finansowego zaplecza budownictwa socjalnego w Polsce. Innym będzie sprawa edukacji narodowej, jest to bowiem dziedzina wykraczająca poza zakres czystej kalkulacji rynkowej, a przy tym o znaczeniu całkowicie podstawowym dla przyszłych losów narodu. Wreszcie misją łatwą do zrozumienia dla wszystkich jest sprawa energetyki, ściśle związana z życiowymi u nas kwestiami środowiska, a przede wszystkim bezpośrednio warunkująca rozwój gospodarki jako całości.

Zanim odpowiednie ceny wytworzą obyczaj oszczędnego zużycia energii, zwłaszcza w przedsiębiorstwach państwowych, konieczne jest odwołanie się do świadomości społeczeństwa. Nie ma i nie będzie struktur państwowych, które zapewniłyby masowy przegląd ciepłowni na przegrzanych lub na odmianie niedogrzanych osiedlach, ocenę energetyczną wszystkich stanowisk pracy, powszechny wysiłek innowacyjny i obyczajowy w zakładach, gdzie często prostymi sposobami osiągnąć można spore oszczędności energetyczne. Wprawdzie dostosowanie urządzeń lub ich wymiana na energooszczędne wymaga długotrwałego procesu gospodarczego, ale masowy przegląd instalacji i rozwój obyczajów racjonalnego jej spożywania zapoczątkować można drogą wstępnej mobilizacji społeczeństwa. Nie obejdzie się także bez społecznej zgody na rygorystyczne ceny. Krótko mówiąc, otwiera się tu pole dla świadomej i szeroko zakrojonej akcji politycznej.

Tymczasem ministerstwo przemysłu ustępującego rządu zastosowało, swoim zwyczajem, najprostszy z możliwych, administracyjny model działania. Trzy dni przed końcem minionego roku, bez żadnej akcji przygotowawczej, resort ogłosił podwyżkę cen elektryczności i gazu. Nie wytłumaczono celu tej operacji, nie szukano porozumienia ze społeczeństwem — jedyne, na co się resort zdobył, to dziesięciominutowe wystąpienie po dzienniku telewizyjnym dyrektora wydziału paliw i energii, Adamczyka.

Podobieństwo do metod Jaroszewicza dotyczy nie tylko strony formalnej tego aktu. Także argumenty, mające zdaniem resortu skłonić ludzi do przelknięcia podwyżki, odzwierciedlały raczej rządową logikę finansową, niż logikę gospodarczego rozsądku. Zdaniem dyrektora Adamczyka, konieczność podniesienia cen energii wynikała stąd, że bardziej opłacało się ją sprowadzać, niż kupować u wytwórców krajowych.

SZTUCZNY PARYTET DOLARA HAMULCEM ROZWOJU GOSPODARKI

Argumentu tego nie można traktować poważnie, bowiem spekulacyjna promocja importu jest wynikiem świadomej polityki finansowej rządu. W ramach tej polityki stabilność monetarna polega na sztucznym utrzymywaniu niezmiennego kursu dolara, w pełnym oderwaniu do rzeczywistej wartości złotówki, która poddana jest silnie inflacyjnym tendencjom „cudu” Balcerowicza. W tych warunkach coraz mniej opłaca się cokolwiek produkować, eksport nie ma żadnych szans rozwoju, natomiast korzystna jest spekulacja importowa. Po pierwsze, cena towarów zagranicznych staje się niższa niż krajowych i to bez żadnego uzasadnienia w ich jakości. Po drugie, tworzy się blokada dla krajowego kapitału inwestycyjnego. Oprocentowanie kredytu i oszczędności związane jest z wartością monety, stąd kwoty złotówkowe podlegają wyższej stopie — 50–60%, a dolarowe znacznie niższej — od trzech do jedenastu. Innymi słowy, zamiast inwestować posiadany kapitał, należy zamienić go na złotówki, następnie złożyć w banku, po jakimś czasie wycofać w kwocie zwiększonej o wysoki procent, zakupić na nowo dolary i sprowadzić towary konsumpcyjne z zachodu, odsprzedając je ze spekulacyjnym zyskiem. W takim obrocie namiętnie drukowane złotówki służą do spekulacji, a dolary do luksusowej konsumpcji. Sztuczny przelicznik dolarowy uniemożliwia racjonalne operacje kredytowe w warunkach inflacyjnych. Możliwość uzyskania kredytu mającego związek z prawdziwą walutą stanowiłaby silny bodziec inwestycyjny dla przedsiębiorców krajowych, stymulując przy tym wysoki poziom produkcji dla odzyskania wkładu poprzez eksport. Wydaje się zresztą, że jest to warunek konieczny dla przyciągnięcia obcych banków. Jak dotąd szalejące odsetki rujnują inwestorów produkcyjnych, głównie zresztą rolników, ponieważ poza nimi mało kto bawi się w produkcję kredytowaną.

Wszystko to trwać będzie dopóty, dopóki starczy walutowych zapasów w skarpecie i zastrzyków z Zachodu. W opisanych warunkach nie ma oczywiście mowy o stymulowaniu gospodarki, a już na pewno o świadomej polityce energetycznej.

Właściwe ceny są podstawowym środkiem równowagi energetycznej w państwie. Energia musi kosztować tyle, by opłacała się jej produkcja. Silne bodźce finansowe muszą zapobiegać jej marnotrawstwu. Podstawowy wniosek, jaki stąd wynika, jest następujący: ceny energii muszą być ściśle związane z ogólną drabiną cen i płac. Jedne i drugie muszą przybliżać się do poziomu światowego. Wysokie ceny umożliwiają gromadzenie

środków inwestycyjnych oraz stanowić będą czynnik przyciągający kapitały. Jednak wprowadzenie takich cen możliwe jest jedynie przy towarzyszącym mu ruchu płac w górę. Droga bowiem do rozwoju gospodarki nie prowadzi, wbrew opiniom polskich polityków, poprzez zduszenie spożycia, lecz przeciwnie, przez uruchomienie mechanizmów motywacyjnych wywołanych wzrostem konsumpcji, i to zarówno z punktu widzenia przeciętnego pracownika, jak i zachodnich kapitałów inwestycyjnych.

Jest skądinąd jasne, że konwersja polskiej energetyki nie może się powieść bez importu na wielką skalę technologii zachodnich, jej jedyną szansą jest bowiem zarzucenie monokultury węglowej i zróżnicowanie źródeł energii.

Realne środki pojawić się mogą tylko wraz z intensyfikacją gospodarki. Kluczową rolę odgrywać będzie polityka finansowa promująca eksport, to znaczy dokładnie odwrotna niż ta, jaką prowadzi minister finansów. Obszarem rokującym nadzieję na otwarcie nowych rynków są Niemcy. Ogromne potrzeby byłej NRD doprowadziły do zmniejszenia niemieckiego eksportu oraz wzrostu zakupów za granicą. Wprawdzie główną ich potrzebę stanowią obecnie kapitały, których Polacy nie posiadają, ale w niektórych dziedzinach można tam liczyć na interesujący rynek. Nowa koniunktura nadejść powinna w połowie lat 90-tych, po wstępnym postawieniu na nogi gospodarki wschodnich Landów. Jej wykorzystanie może wówczas zależeć w dużym stopniu od przygotowania ze strony Polski strategii integracyjnej już w tej chwili. Dotyczy to w szczególności *dossier* energetycznego, z natury rzeczy długoterminowego.

Niemcy będą potrzebowały energii. Tylko w ostatnim roku zamknęli u siebie pięć reaktorów atomowych. Rozważają likwidację szczególnie uciążliwych kopalń węgla brunatnego w Niemczech wschodnich. Wyprzedzając koniunkturę, Francuzi rozważają projekt budowy w Polsce dużej elektrowni, być może na węgiel sproszkowany, z której część energii sprzedawana byłaby właśnie do Niemiec. Ten projekt, przygotowywany w kontakcie z nowopowstałą spółką Polskie Sieci Energetyczne, jest atrakcyjny, bo zachodni partner gotów jest w całości sfinansować budowę. Nie można jednak na tym poprzestać, logiczne byłoby podjęcie rokowań z samymi Niemcami, dla rozważenia podobnych rozwiązań bezpośrednio z nimi.

EKSPORTOWAĆ SUROWCE CZY PRODUKTY

Trzeba się przy tym strzec pokusy prostego wykorzystania międzynarodowej koniunktury energetycznej przez masowy eksport energii do krajów ościennych. Stanie się to możliwe po

częściowym wygaszeniu w Szwecji, Niemczech, CS, na Węgrzech i w zachodnich republikach ZSSR niektórych źródeł energii nuklearnej oraz na węgiel brunatny. Także polityka Wspólnoty Europejskiej w stosunku do krajów postkomunistycznych zdaje się zmierzać do utrwalenia ich roli surowcowego zaplecza Zachodu. Rozważana jest w szczególności sprawa Europejskiej Karty Energetycznej, której projekt ma być gotowy do końca roku. Punktem wyjścia tej inicjatywy jest przekonanie, że zapotrzebowanie energetyczne Wspólnoty będzie rosło, natomiast rozwój gospodarczy na wschodzie Europy nie nabierze rozmachu przez długie lata. Stąd Europa postkomunistyczna wraz z Rosją stałaby się na dziesięciolecie dostarczycielem energii i ogólnie surowców dla Zachodu. W Polsce tendencji takiej sprzyjali zawsze komuniści, teraz zdają się ją kontynuować nowe władze. Rozumowanie byłego ministra Syryjczyka, przejęte przez jego następcę, opiera się na istnieniu w Polsce rezerw energetycznych, wynikających z głębokiego spadku produkcji. Spadek ten, zdaniem naszych ministrów przemysłu, stanowi szansę, a nawet warunek odrodzenia na gruzach starej struktury, a przy okazji wydzielić ma rezerwy surowcowe, pozwalające na eksport.

Jest to wizja katastrofalna, której niebezpieczeństwo narastać będzie w miarę, jak ujawniać się będzie cała bezradność rządu i pogłębiać stagnacja gospodarki. Pokusa sięgnięcia po najprostsze z rozwiązań jest w takich warunkach duża, a konsekwencje trudne do opanowania, zważywszy że w naszym kraju prowizorium zwykle przekształca się w najtrwalszą rzeczywistość. Znane od czterdziestu pięciu lat fatum rabunkowej gospodarki surowcowej jako panaceum na chroniczne braki budżetowe ciąży nad nami nadal. Inaczej planuje się rozwój struktury przetwórczej, a inaczej takiej, której celem jest eksport surowców lub półfabrykatów. Jasne jest, że bardziej opłaca się sprzedaż produktów przetworzonych i od początku szukać należy formuł gwarantujących harmonijny rozwój nowoczesnej gospodarki. Zachęty dla obcego kapitału nie powinny iść w kierunku przyciągania obcych inwestycji dla produkcji na eksport energii, czy ogólnie mówiąc surowców i półfabrykatów, lecz raczej sprzyjać powstawaniu wielofunkcyjnych instalacji produkcyjnych, dla których energia stanowiłaby konieczny składnik surowcowy przerabiany na miejscu. Można eksportować część energii — ale trzeba się strzec przyjęcia takiego rozwiązania jako głównego składnika strategii rozwojowej.

Sytuację na międzynarodowym rynku charakteryzuje dziś stosunkowo niekorzystna koniunktura popytu na towary. Amerykańska lokomotywa konsumpcyjna wyhamowuje swe szalone tempo, natomiast wschodnioeuropejska nadal nie może wystartować. Wielki kapitał zainteresowany jest rozwojem wielkich

struktur konsumpcyjnych i ogromne potrzeby krajów ekskomunistycznych stanowić mogą czynnik galwanizujący tendencje inwestycyjne. Zauważmy, że liczne na Zachodzie sympozja i konferencje integracyjne, namiętnie odwiedzane przez podróżujących polityków polskich, organizowane są zawsze wokół tematu — nowe RYNKI na Wschodzie. Ale pojęcie rynku jest dziś odległe od opisów zawartych w komunistycznych podręcznikach ekonomii politycznej. Historyczne pojęcie rynku odniesione do terenów zacofanych oznacza miejsce selektywnej wymiany handlowej, gdzie z jednej strony oferowane są surowce, rzemieślnicza drobica i tania siła robocza, a z drugiej maszyny, broń, luksusowe artykuły spożywcze i finanse. Środki prawne i finansowe w kraju, dławiąc wytwórczość, spożycie i eksport, a sprzyjając spekulacji i importowi, zmierzają do utrzymania takiej właśnie relacji pomiędzy gospodarką Polski i Zachodu. Tymczasem nowoczesne pojęcie rynku związane jest z międzynarodowym podziałem pracy, innymi słowy na rynku ma miejsce zarówno wyspecjalizowana produkcja, jak i pełne spożycie, oba wkomponowane na wielką skalę w światową wymianę handlową. W tym sensie rozumieć należy strukturalny — a nie tylko doraźny — interes, jaki wielki kapitał mógłby znaleźć na wschodzie. Nie chodzi tu więc o „tanią siłę roboczą”, czy możliwość spekulacji na krótkotrwałych koniunkturach politycznych, takich jak „trwały kurs” dolara ministra finansów albo zamykanie niepopularnych źródeł energii w krajach ościennych, lecz o stworzenie na własnym terenie możliwości produkowania, spożycia wewnętrznego oraz eksportu — produktów, nie zaś surowców.

Tak czy inaczej, nawet najprostsza z energetycznych opcji rozwojowych, oparta na eksporcie sztucznych nadwyżek energii, przygotowywana jest przez polski rząd nieudolnie. Zauważmy, że sztywny dolar w połączeniu ze spadającą złotówką doprowadzi do względnego podrożenia kosztów energii produkowanej na eksport, przez co polski kilowat nie będzie konkurencyjny na zagranicznym rynku. Pojawi się zatem konieczność utrzymywania płac na niskim poziomie za wszelką cenę, blokada rynku wewnętrznego i wzrost społecznego napięcia, nieodparta wizja przyszłości w ramach aktualnego modelu gospodarczego RP.

PIENIĄDZ ŚRODKIEM ROZWOJU GOSPODARKI

Podstawowym problemem monetarnym jest ustalenie paritetu walut. Trudno mówić o realnym stosunku złotówki do monet zachodnich, ponieważ nieporównywalne są realia gospodarcze. Paritet ów będzie miał zatem znaczenie operacyjne, wynikłe z roli, jaką chce mu się przypisać w stosunkach gospodar-

ki krajowej i międzynarodowej. Jak dotąd władze polskie zdają się w tej dziedzinie zmierzać do dwojakiego celu. W kraju drogą sztucznego potaniaenia dolara osiągają efekt psychologiczny związany z pozornym wzrostem siły nabywczej: robotnik, który za Gierka zarabiał 60 dolarów, dziś zarabia ich trzy razy więcej. W planie międzynarodowym zaś spadający dolar zmniejsza wartość polskiego długu, wyrażonego w przeliczeniowych złotówkach. W obu przypadkach mamy do czynienia z księżycową logiką cyfr, jak zawsze w poczynaniach rządu, dla którego moneta nie jest środkiem aktywizowania gospodarki, lecz rachunkowym celem samym w sobie.

Racjonalizacja polityki energetycznej nie może być oderwana od rozwoju całej gospodarki, to zaś wymaga najgłębszych więzi z gospodarką obszarów wysoko rozwiniętych. Rzut oka na mapę uzmysławia, że wynika stąd przede wszystkim postulat związku z Niemcami oraz całym regionem Bałtyku. Za opcją taką przemawiają liczne argumenty natury ekonomicznej, z których racje dotyczące wspólnoty energetycznej wysuwają się zdecydowanie na czoło. Terminal gazowy na wybrzeżu, rozładujący konkurencyjne napięcia między gazem brytyjskim i norweskim, którego budowa opłaca się tylko w przypadku, jeśli obsługiwać on będzie kilka krajów; możliwość ujednoczenia polityki nuklearnej wobec praktycznego moratorium dla energetyki jądrowej w Niemczech, Szwecji i w Polsce; konieczność ekologicznej racjonalizacji kopalni węgla w Niemczech, Polsce i Czechosłowacji; potrzeba częściowego uniezależnienia się republiki bałtyckich i Polski od surowcowego zaplecza sowieckiego; jednolitość klimatyczna, zwartość i geograficzna odrębność peryferyjnego regionu Europy, umożliwiające harmonijne sterowanie energią elektryczną — wszystko to są niebagatelne czynniki wspólnych interesów regionu. Praktycznego przyspieszenia na tym obszarze oczekiwać można od chwili, gdy zapoczątkowana zostanie integracja gospodarcza pomiędzy dwoma głównymi aktorami regionu — to jest Niemcami i Polską. Ze strony polskiej oznaczałoby to konieczność odejścia od opcji dolarowej na rzecz związania złotówki z marką i pełnego zwrotu w polityce gospodarczej i finansowej.

Punktem wyjścia byłoby ustalenie takiego kursu marki, który przyczyniłby się do konkurencyjności wybranej grupy towarów polskich na rynku niemieckim oraz zapewniłby kapitałowi niemieckiemu zyski z inwestycji na terenie Polski. Przy stosunkach towarowo-płacowych z zimy 90/91 paritet taki mógłby przekraczać początkowo 10 tys. zł za markę, ulegając przy tym zmianom według realnych wskaźników ekonomicznych. Zabłokowałoby to raptownie obserwowaną dziś w Polsce sztuczną koniunkturę importową opartą o spekulację monetarną, zastępując

ją nowymi możliwościami eksportowymi dla zakładów rozwijających konkurencyjną produkcję. Dotyczyłoby to nie tylko wytwórców o kapitale zagranicznym, lecz także — jeśli nie przede wszystkim — o kapitale polskim, ponieważ kredyt uzyskiwany na modernizację produkcji liczony i oprocentowany w twardej walucie, stanowiłby mocny bodziec rozwojowy dla krajowych inwestycji. Z drugiej strony dochody państw ulegną stabilizacji w przypadku, gdy wysokość odprowadzanych podatków odniesiona będzie do realnej waluty. Jedynie eksport i racjonalne podatki dostarczą mogą środki na import w priorytetowych działach, z energią na czele.

REGRES POLITYCZNYCH SZANS REGIONU BAŁTYCKIEGO

Krótko mówiąc, gospodarowanie oznacza aktywizację produkcji i wymiany w spójnym obszarze geograficznym. W tym względzie korzystnie prezentują się szanse regionu bałtyckiego. Rolę lokomotywy odegrałyby tu Niemcy w przypadku, gdyby ich tradycyjne ciążenie na wschód znalazło ujście w gospodarczym przenikaniu na zachodnie tereny Polski oraz w obszar sowieckich republik bałtyckich. Odnotowuje się również spore zainteresowanie Skandynawów tym terenem. Wreszcie wszystkie kraje obrzeża bałtyckiego muszą dopracować się wspólnej polityki gospodarczej, ponieważ dzielą los współistnienia geograficznego na terenie coraz bardziej wrażliwym pod względem równowagi ekologicznej, czego najdonioślejszym przejawem jest stopniowe przekształcenie Bałtyku w rynsztok.

Na razie tendencje integracyjne wynikają bardziej z motywacji politycznych, niż z uwarunkowań naturalnych. Szlagierem ostatnich dziesięcioleci jest w Europie oczywiście rozwój Wspólnoty Europejskiej, która powstała z dwojakiej inspiracji politycznej: jako reakcja na podział świata i jednocześnie próba odwrócenia historycznego fatalizmu wrogości europejskich potęg. Podobne próby znalezienia formuły zbliżenia krajów postkomunistycznych z resztą Europy są przejawem przede wszystkim woli politycznej, znacznie zresztą większej po naszej, niż po drugiej stronie. Przypuszczam jednak, że wraz ze znikaniem zagrożenia ze strony pogrążającego się w chaosie Związku Sowieckiego rozwinąć się mogą tendencje integracyjne zwartych terenów, z natury rzeczy skazanych na współistnienie gospodarcze. Politycznych motywacji takiego rozwoju doszukać się można w specyfice epoki konsumeryzmu, w której nie mocniejszy stanowi źródło zagrożenia, jak było dawniej — lecz słabszy, wystawiający sąsiada na takie plagi, jak zatrucie środowiska, mi-

gracja zarobkowa czy wreszcie przechwycenie rynku przez konkurencję. Motywacje gospodarcze wynikają z oczywistych tendencji do szukania zysku na pobliskich obszarach, gdy tylko przestaną je dzielić granice polityczne.

W ostatnim okresie jednak zbiegło się kilka czynników, które oddalają podobny scenariusz na kilka lat.

Ze strony polskiej wolę podtrzymania arbitrażu amerykańskiego i pan-europejskiego, raczej niż rozwijanie opcji regionalnej, wzmacnia marcową decyzją rządów zachodnich, aby zmniejszyć o połowę polski 33-miliardowy dług publiczny. Wypada wyrazić nadzieję, że minister finansów, który w ubiegłym roku zdołał wycisnąć kilkumiliardową nadwyżkę bilansu handlowego, nie przymierza się do płacenia pozostałej kwoty — na przykład z zysków za sprzedaży energii na Zachód. Nie zapominajmy przy tym, że do długu publicznego dorzucić należy 15 miliardów prywatnego. Marcowa decyzja Klubu Paryskiego o redukcji polskiego zadłużenia to korzystna nowina finansowa, zwłaszcza jeśli oznacza ona wstęp do dalszych posunięć tego typu, ale niekorzystna wiadomość gospodarcza. Wartość jej jest tylko symboliczna, obojętne bowiem, czy chodzi o 48, czy o 32 miliardy; Polska nie jest w stanie honorować komunistycznych długów. Praktycznym następstwem gabinetowej euforii, wynikającej z redukcji długu, będzie wzmocnienie wszystkich dotychczasowych opcji politycznych polskiego rządu, co oznacza, że na rzeczywistą reformę gospodarczą przyjdzie poczekać co najmniej trzy lata, to jest okres kolejnego planu Międzynarodowego Funduszu Walutowego dla uzdrowienia polskiej ekonomii.

Kolejnym czynnikiem, wzmacniającym wiarę władz polskich w amerykański arbitraż raczej niż własną zaradność, jest szczególnie sytuacja międzynarodowa po wojnie irackiej. Urokowi amerykańskiej siły poddali się nie tylko Polacy, międzynarodowy rynek reaguje wzmożonym popytem na dolara wbrew niekorzystnym wskaźnikom ekonomicznym za Atlantykiem: reakcje emocjonalne wzięły na jakiś czas górę nad oczywistością gospodarczą.

Od strony politycznej błyskotliwa demonstracja amerykańskiej techniki w Zatoce Perskiej prowadzi do czasowego zwarcia szeregów na Zachodzie. Francuzi rozpoczęli już dyskretne zabiegi, przygotowujące być może ich powrót do NATO. Niemcy, nie kwestionując roli amerykańskiego parasola, zmierzać będą do stworzenia europejskiej siły interwencyjnej, która podkreśli zalety zwartego obszaru zachodnioeuropejskiego. Praktycznie jedno i drugie prowadzi do osłabienia zarysowujących się więzi regionalnych: Francja wyraźnie zmniejsza zaangażowanie w południowym rejonie śródziemnomorskim, a Niemcy odwracają oczy od wschodu Europy. Ekspansja niemiecka na ten teren

uległa dodatkowej blokadzie na okres kilku lat wskutek wielkich kosztów zjednoczenia ich kraju. Wszystko to oddała zasadniczy rozwój więzi gospodarczych regionu Bałtyku, pozostawiając w Polsce wolne pole dla sterowanych z daleka formalnych programów rygoru gospodarczego. Ani dla ekonomii kraju w całości, ani dla jego energetyki nie wróży to nic dobrego.

W szczególności schematyzm dotychczas rozwijanych planów sprzyja rozpowszechnianiu się obyczajów wycinkowego traktowania problemów, co uderzająco wychodzi na jaw w wysiłkach zarysowania modelu technologicznego polskiej energetyki.

WYBÓR OPCJI ENERGETYCZNEJ TO NIE TYLKO TECHNOLOGIA

Jak dotąd, spór o energetyczne opcje w Polsce rozgrywa się na poziomie teorii technologicznej i dotyczących środowiska. Tym sposobem umyka uwagi aspekt finansowy i polityczny, bez których wszelkie rozważania zachowują charakter akademicki. Uderzający przykład cząstkowego traktowania problemu stanowi w Polsce sprawa energetyki nuklearnej, gdzie konserwatywna polityka finansowa i bezradność rządu wobec układów międzynarodowych ograniczają temat do kwestii szczegółowych i rodzą postawy zachowawcze. Jeśli sprowadzić dyskusję do syndromu Czarnobylu i problemów wytrzymałości kotłów żarnowieckich, to istotnie nie pozostaje nic innego, jak odrzucenie opcji nuklearnej.

W ubiegłym roku zamknięto w świecie 12 reaktorów: jeden w Hiszpanii, po dwa we Francji, Włoszech i Wielkiej Brytanii, pięć w Niemczech. Jednocześnie przyłączono do sieci dystrybucyjnych 10 nowych: po jednym w Kanadzie, Indiach i ZSSR, po dwa w Japonii i USA, trzy we Francji. Tym samym ilość reaktorów w świecie osiągnęła liczbę 424 w 25 krajach. Pojemność tego parku wynosi około 320 gigawatów i ocenia się, że do roku 2000 wzrośnie ona o 30 do 40%. Nic nie powinno powstrzymać rozwoju dziedziny, tym bardziej, że po okresie emocji wywołanych katastrofą w Czarnobylu zacięta walka wokół kryteriów bezpieczeństwa weszła w fazę konfrontacji technologicznej. W wyścigu o przyszłe rynki zwały się głównie dwie strategie: amerykańska, oparta na koncepcji reaktora wewnętrznie bezpiecznego, oraz francusko-niemiecka, promująca ewolucyjny rozwój istniejących zabezpieczeń. Szczególną aktywność handlową wykazują Francuzi, których państwowy monopol — EdF — zadłużony wewnętrznie mniej więcej na kwotę równą długowi polskiemu, chce na rynkach zagranicznych odzyskać równowagę

budżetową, między innymi przez sprzedaż energii z centrali budowanych własnym kosztem w krajach Europy wschodniej. Bliscy są oni podpisania umowy z Węgrami na budowę dwóch reaktorów i rozważają podobny kontrakt z Czechosłowacją. Polska nie jest brana pod uwagę, z uwagi na nieprzychylną atmosferę społeczną wobec elektrowni atomowych.

Przeciwnicy energetyki nuklearnej to rzecz normalna w każdym społeczeństwie; im sprawniej zorganizowane obie strony, tym lepiej dla rozwoju norm i racjonalnego zaplecza politycznych decyzji. W Polsce jednak brakło świadomej akcji lobby atomowego, które nie potrafiło dostosować się do wymogów demokracji, a przy tym nie posiadało chyba jasnej wizji technologicznej. Przede wszystkim jednak brakło politycznej woli. W ubiegłym roku minister Syryjczyk zaproponował zamrożenie opcji nuklearnej do końca stulecia, co bardziej odzwierciedlało zakłopotanie wobec techniczno-finansowej złożoności *dossier* i polityczną bezradność, niż rzeczowe przekonanie.

W konsekwencji rząd Mazowieckiego bez jednego głosu sprzeciwu przyjął rezygnację z programu nuklearnego na najbliższe dziesięciolecie. Rząd Bieleckiego podtrzymał tę decyzję, ponieważ, jak wyjaśnił mało skądinąd widoczny minister Zawisłak, opinie są „zanadto zróżnicowane”. Stanowi to ciekawy przykład zastawionej na samego siebie pułapki politycznej. W dynamicznie zmieniającym się świecie otwierają się różne układy: z Francuzami, Niemcami czy Szwedami można negocjować jednorodny front ewolucyjnych technologii europejskich, z drugiej strony warto zorientować się w intencjach Departamentu Stanu w sprawie ewentualnego przyczółka europejskiego dla przygotowywanej technologii amerykańskiej, przede wszystkim zaś należy z otwartą przyłbicą rozwijać wewnętrzną aktywność wokół życiowej konieczności zmian profilu polskiej energetyki. Tymczasem rząd całkowicie bezpłatnie odebrał sobie możliwość inicjatywy w ważnej dziedzinie.

Moratorium nuklearne dramatyzuje sprawę i otwiera pole dla batalii uchwał i petycji, w której można argumenty mnożyć w nieskończoność bez wpływu na rzeczywistość. Powstał już szereg dokumentów w sprawie polskiej energetyki nuklearnej, najbardziej znane wśród nich to raport ministerstwa przemysłu z czerwca 1990 o wariantowych kierunkach rozwoju polskiej energetyki, uchwała sejmu z listopada 1990 o założeniach polityki energetycznej do roku 2010, czy dość liczne opracowania i uchwały na temat Żarnowca. Obrazują one przede wszystkim stan pełnej bezradności wobec problemu energetyki nuklearnej. Winą za to obarczyć należy polityków. Opinie uczonych, przemysłowców i ekologów to konieczny czynnik kształtowania decyzji, ale na pewnym etapie ministrowie powinni już wiedzieć, czego

chcą. Energetyka nuklearna to sprawa polityczna, związana przede wszystkim ze znalezieniem źródeł finansowania i wyborem międzynarodowego sojuszu przemysłowego, wokół spójnego programu — nie „wariantowego”, lecz wykonawczego — dla którego należy uzyskać poparcie społeczeństwa i parlamentu. Zamknięcie sprawy na dziesięć lat trudno uznać za rozsądny punkt wyjścia do racjonalnych decyzji w przyszłości.

Bez intencji sprawienia zawodu ministrom RP dodajmy, że całkowicie bezpieczny reaktor nigdy nie powstanie, podobnie zresztą jak całkowicie bezpieczna kopalnia, zaporą wodną czy stanowisko rządowe.

Obok elektrowni nuklearnych temat polskiej energetyki obejmuje kilka innych *dossiers*, takich jak czyste spalanie węgla, w tym także węgla brunatnego, zwiększenie udziału paliw płynnych w spożyciu krajowym, znalezienie nowych kontrahentów w handlu zagranicznym, zmiana jego struktury. Jednak wszelkie rozważania o racjonalizacji systemu energetycznego w ramach aktualnej polityki finansowej rządu są bezprzedmiotowe. Absurdem jest wdrażanie organizacyjnych i technologicznych planów unowocześnieńa górnictwa w sytuacji, gdy sztuczny dolar izoluje polski węgiel do rynków światowych, na co rząd reaguje subwencjami, przyznawanymi jedną ręką i odbieranymi drugą — poprzez drakońskie podatki.

Same pieniądze jednak nie stanowią warunku wystarczającego. Magia finansowa — czy to pieniądza realnego, jak w przykładzie niemieckim, czy formalnego, uprawianego przez naszego ministra finansów — usuwa w cień istotny warunek podniesienia się z upadku: jest nim mobilizacja społeczeństwa wokół programu z prawdziwego zdarzenia, operującego nie kategoriami cząstkowymi, lecz spójną wizją aktywizacji ludzi i kapitałów.

Czy aktualną ekipę władzy stać na taki program? Niewiele za tym przemawia. Rządowe koncepcje nadal rodzą się i realizowane są w społecznej próżni. Według sondażu przeprowadzonego w lutym przez CBOS, za kontynuacją planu Balcerowicza bez poprawek opowiedziało się 6,4% ankietowanych, a z korektami — 29%. Ministrowi finansów nie odbiera to pewności siebie („Znam receptę na powrót kolejek i inflacji, ale jej nie podam” — Balcerowicz dla *Gazety Wyborczej* z 14 marca), a poparcie znajduje u luminarzy systemu („Jest pan znanym i uznanym autorytetem w światowych kręgach finansjery, dla krajów postkomunistycznych pański plan jest niedoścignionym wzorem...” — Kuśmierek w tym samym numerze *GW*). Zmiany, wprowadzane niekiedy do sposobu rządzenia przejętego od poprzedniej ekipy, mają charakter wycinkowy i niespójny. Za przykład może służyć sprawa ruchu kapitału przez granice. Od

kwietnia zniesiony ma być zakaz transferu zysku dewizowego. Zmianę tę postulowaliśmy od chwili wejścia zakazu w życie, lecz w żadnym wypadku nie jako formułę oderwaną od realiów. Swoboda dysponowania zyskiem dewizowym przy taniejącym bez opamiętania dolarze ministra Balcerowicza to samobójstwo systemu ekonomicznego, dla którego nie będzie już istnieć żadna ochrona przed spekulacyjnym zalewem importowym. Równie złudna jest reforma popiwku, gdzie przewiduje się możliwość naliczania go od całego funduszu płac. W stosunku do dotychczasowej praktyki liczenia go od płacy przeciętnej, co jak dotąd skutecznie hamuje zasadnicze zmiany w państwowych przedsiębiorstwach, nowy system pozwoliłby na prowadzenie bardziej elastycznej polityki kadrowej. Rzeczywistym jednak następstwem będzie przystosowanie strategii przedsiębiorstw do centralnie określanego poziomu środków finansowych wyznaczonych popiwkową barierą. Jak tą drogą minister finansów zmierzać chce do rynku, gdzie politykę firm określa przede wszystkim pula realnych zysków, nie sposób pojąć.

Nieudolności gospodarowania towarzyszą rosnąca mitomania w kontaktach ze światem: premier życzy prezydentowi USA, by „wróciła moda na Polskę”, minister współpracy z zagranicą widzi przyczynę słabego zaangażowania przemysłowców francuskich w ich „nadwrażliwości” (*frilosité*, p. *Les Echos* z 26.03.91), a minister obrony informuje ambasadorów państw zachodnich, że „RP czuje się jak człowiek, które chce pokonać burzliwą rzekę, a na drugim brzegu stoicie wy i doradczacie, jak płynąć, zamiast rzucić koło ratunkowe”.

Obyczaje polityczne i program rządu Bieleckiego są w gruncie rzeczy prostą kontynuacją praktyki poprzedniego — różnica polega jedynie na tym, że tamten funkcjonował w znacznie lepszej sytuacji gospodarczej i społecznej.

Paryż, 2.4.91

Robert KACZMAREK

Wspólna sprawa

Pobyt w Wilnie i na Wileńszczyźnie nastraja pesymistycznie co do szans utrzymania znaczenia Polski na tym obszarze. Niewielki ma na to wpływ obecny stan miasta, które zachowało polskie piętno, z czego było znane jeszcze w okresie panowania Rzeczypospolitej. Architektura pozostała prawie nietknięta, chociaż wiele znanych kościołów i domów w starej części Wilna wymaga renowacji. Remont kosztuje dużo i na razie małej Litwy nie stać na odnowienie miasta. Poprzednio przez lata litewskie finanse podlegały władzom sowieckim, pomimo nominalnej autonomii republiki. Socjalistyczny status państwa zaanektowanego siłą przez ZSSR w 1940 roku uniemożliwiał skupienie uwagi na potrzebach Litwy. Trzeba było łączyć na moskiewską centralę.

Dzisiaj sowieccy przywódcy mają dużo poważniejsze problemy na głowie. Grozi rozpad imperium, a Litwa jest w pierwszym szeregu republik, które pragną odzyskać niepodległość. Szanse są duże, gdyż zdeterminowanie Litwinów utrudnia stronie sowieckiej prowokacje i w sensie praktycznym uniemożliwia aktywną okupację. Pozostają jej manifestacje siły, nieustanne przemarsze wojsk i kolumn czołgów oraz posługiwanie się oddziałami komandosów. To jednak za mało, żeby odebrać litewskiemu narodowi wolność. Tym bardziej, że do tej pory nie udało się stworzyć alternatywnego wobec prezydenta Landsbergisa i parlamentu Litwy ośrodka władzy. Dawna partia komunistyczna jest w rozsypce, a ta jej część, która pozostała wierna linii Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego nie odgrywa żadnej roli. Pokazały to wyraźnie wydarzenia ze stycznia, gdy w ramach tzw. komitetu ocalenia nie ujawnił się nikt z bardziej znanych aktywistów partyjnych. Naga siła nie wystarczy, żeby zatrzymać naród litewski w obrębie Związku Sowieckiego, konieczne jest podzielenie społeczeństwa i zasianie nienawiści.

Divide et impera (dziel i rządź) jest zasadą, którą skutecznie stosowało już Cesarstwo Rzymskie. Do doskonałości doprowadzili tę metodę bolszewicy, którzy nawiązywali sojusze, potem zdradzali swoich sprzymierzeńców na rzecz innych, kłócili niedawnych sojuszników

między sobą i pragmatycznie traktowali każdą współpracę, poświęcając zasady na rzecz celu: zwycięstwa partii i utrzymania rządu. Szczególne mistrzostwo wykazali w wykorzystywaniu mniejszości narodowych. Łotysze, Polacy, Żydzi, a dużo później narody Azji stanowiły kolejno siłę uderzeniową rewolucji. Dzisiaj na Litwie w scenariuszu pisany bez wątpienia na Kremlu taka rola przypadła do odegrania Polakom.

Polska mniejszość spełnia na Litwie — o czym wydaje się świadczyć wiele ostatnich wydarzeń — zadanie swoistej piątej kolumny, za pomocą której władze sowieckie próbują zdestabilizować sytuację polityczną na litewskiej scenie. Skutki są widoczne w postaci nieustannych żądań, wnoszonych na forum parlamentu przez przywódców polskiej grupy. Zaczęło się od słusznych postulatów równouprawnienia językowego i kulturalno-oświatowego, dostępu do urzędów, w dalszym ciągu przyszło hasło autonomii zamieszczonego w większości przez Polaków okręgu Solecznik. Litwini z Sajudisu, którzy wcześniej popełnili sporo błędów politycznych wobec Polaków, ostatnio zgadzali się na całościowe rozwiązanie spraw. Po agresji styczniowej, w obliczu zwiększonego niebezpieczeństwa sowieckiego i jako rodzaj wyrównania krzywd polskich, parlament Litwy uznał za słuszne postulaty autonomii. Mogło się здаwać, że skończyły się kłopoty i polska strona uzyska swoje prawa. Część grupy polskiej poparła zresztą żarliwie niepodległość Litwy i przeciwstawiła się sowieckim atakom. Powstały szanse na współzycie i przekreślenie planów KGB, w których ramach Polacy mieli rozszarżyć republikę. Spokój trwał niedługo.

Czołowy przywódca Polaków z Solecznik, Czesław Wysocki, który zresztą bardzo źle mówi po polsku i woli przekonywać do swoich racji w języku rosyjskim, zażądał włączenia tego rejonu wprost do Związku Sowieckiego. Oderwanie znanych obszarów od Litwy byłoby początkiem rozpadu republiki i końcem marzeń o przywróceniu niepodległości. Jeżeli ponadto uwzględnić, że co pewien czas w prasie sowieckiej pojawiają się groźby przekazania Polsce Wilna i częściowo Wileńszczyzny, co ma naprawić straty terytorialne z 1939 roku (rzecz jasna nie należy tych enuncjacji traktować całkiem serio, są one raczej rodzajem propagandowego straszaka) i przywrócić dawny stan granic, również na rzecz Białorusi — ta z kolei pragnie zabrać spory szmat ziem litewskich — program Kremla jest jasny. To, czego nie daje się zniszczyć *manu militari*, ma zostać udaremnione przez odwołanie się do zagrożenia z zewnątrz. Litwie, otoczonej nieprzyjawnymi państwami, które dybią na jej terytorium i obciążonej mniejszością, która woli sowiecki komunizm od niepodległego państwa, pozostaje jedna droga. Powrót do „ojczyzny narodów”, do Związku Sowieckiego jako gwaranta wobec sąsiadów, którym nie w smak integralność obszaru litewskiego.

Po drugiej stronie Stalin w podobny sposób dzielił Europę środkowo-wschodnią, przesuwając granice, za każdym razem tworząc stan

zagrożenia. Węgrzy byli znienawidzeni przez Rumunów, Rumuni przez Węgrów, Polacy bali się ataku ze strony Niemiec, Niemcy oczekiwali inwazji Rosji, Bułgarzy mieli zatargi o Macedonię z Jugosławią itd. I dlatego cały ten rejon przypomina dzisiaj bałkański kocioł, który dyszy namiętnościami, nacjonalizmem, wrogością do siebie.

Szanse Wilna nie są jeszcze przekreślone. Maleją jednak z każdym nieprzyjawnym gestem mniejszości etnicznych i brakiem reakcji na te zachowania sąsiadów Litwy, którzy usurpują sobie prawo do opieki nad rodakami, a pomijają milczeniem kwestię lojalności grupy polskiej, rosyjskiej czy białoruskiej wobec państwa litewskiego. Znaczenie Polski jest dla rozwiązania litewskiego węzła bardzo duże. Warszawa nie może poprzestać na gestach, chociażby płynęły one ze szczerego serca. Słowa otuchy, pomoc charytatywna, wizyty parlamentarzystów w niewielkim stopniu likwidują źródło niepokojów na Litwie. Obawę Litwinów budzi nie tyle zagrożenie sowieckie z zewnątrz, ile możliwość sterowanego przez Kreml rozpadu wewnętrznego państwa litewskiego.

Na Litwie straszy duch rozbiorów. Wypędzić go może jedynie zdecydowana i jasna polityka Polski. Niezależnie od wszelkich sentymentalnych, a także racjonalnych uzasadnień polskości Wileńszczyzny w imię uregulowania na przyszłość stosunków polsko-litewskich, Polacy muszą się pożegnać z myślą o powrocie na te tereny. Wszelkie niewyraźne stawianie sprawy Wilna wzbudza niepokój Litwinów, którzy jako strona wielokrotnie słabsza są uwrażliwieni na pokusy odzyskania przez Polskę utraconych ziem. Tym bardziej, że w niektórych kołach politycznych kraju pojawiają się wręcz dążenia do przywrócenia granicy sprzed pierwszego rozbioru 1772 roku. Jedyną konsekwencją polityki resentymentów i rewanżu historycznego może się stać wzmocnienie na tym obszarze Związku Sowieckiego. Z konieczności Litwa, ale również Ukraina i Białoruś (wobec tych państw działania Polski są równie niemrawe i nieporadne, co w stosunku do Litwinów) będą musiały uznać, że w ich interesie lepsza jest federacja z Rosją od rysującej się groźby polskiej.

Z uświadomienia sobie przez Polskę skomplikowanej sytuacji na Litwie i roli odgrywanej przez polską mniejszość wynikają jasne przesłanki dla określenia zasad naszej polityki wschodniej. Czas zerwać z fasadowym charakterem polskiej obecności na Wschodzie i przyznać w ramach odpowiedzialności — również historycznej — za te sąsiednie narody (w tym nade wszystko za naród litewski) program pełnego uznania niepodległościowych aspiracji państw, które sąsiadują z nami od wschodu). Mniejsze znaczenie ma w tym przypadku formalna akceptacja prawna (też potrzebna, gdyż od stanu *de iure* łatwiej przejść do aktu przyznania suwerenności *de facto*), co zgoda Polski na dzisiejszy przebieg granic, zdecydowane zerwanie z błędami przeszłych prób zatrzymania siłą Wilna i wezwanie polskiej grupy narodowościowej do lojalności wobec Litwy. Takie pod-

jęcie sprawy wschodniej wymaga odwagi i determinacji, niewiele mniejszych od determinacji, z jaką naród litewski broni swojej niepodległości. Inaczej trudno jednak liczyć na pomyślne ułożenie sąsiedztwa od Wschodu.

Polityka nie zawsze opiera się na sile militarnej i gospodarczej, częściej potrzebne jest wyraźne określenie zasadniczych celów i precyzja w podejmowaniu i realizacji zadań, jakie stoją przed danym państwem. W obecnej chwili waży się kwestia dalszej obecności Polski na obszarze państw bałtyckich, na Ukrainie, na Białorusi. Również i od nas zależy los Litwy, za co nie trzeba płacić — wbrew niektórym uproszczonym sądom — koniecznością zerwania ze Związkiem Sowieckim i co nie naraża na szwank naszych interesów gospodarczych i politycznych. Jest przeciwnie.

Niepodległość Litwy jest wspólną sprawą Warszawy i Wilna, bowiem buduje system zabezpieczeń na przyszłość. Wyrównanie naszego historycznego rachunku z Litwinami, gdzie konto polskie jest mocno obciążone, nie może opierać się na wyciąganiu starych pretensji, nawet umotywowanych. W polityce nie ma powrotów. Zapewne niektóre skargi strony polskiej, także krzywdy Polaków wileńskich, są oczywiste. Na nich nie uda się jednak zbudować sensownie pomyślanej strategii wschodniej. Co najwyżej można spotęgować doraźne zadrażnienia i ograniczyć się do wzajemnego przedkładania sobie skryptów dłużniczych. W rezultacie jedynym ich egzekutorem może być — tak jak trwało to przez dziesiątki lat — Związek Sowiecki.

Taki skutek polityki resentymentów likwiduje możliwość obecności Polski na Wschodzie. Jest zabójczy dla Wilna, ale groźny także dla Warszawy, która co najwyżej odegra rolę stolicy Przywiślańskiego Kraju. Co wydaje się za mało jak na dzisiejsze czasy.

Marek ZIELIŃSKI

Przejść suchą stopą

O NASZYM MIEJSCU W EUROPIE*

Jesteśmy w trakcie rozpadu więzi, jakie wytworzyło sowieckie imperium. To był także system powiązań gospodarczych i społecznych. Kraje postkomunizmu stają wobec świata zachodniego w podobnej sytuacji i będą miały podobne problemy. Dlatego zaczynają się rodzić pomysły tworzenia federacji krajów środkowej Europy, które zrzuciły komunizm. Te inicjatywy usprawiedliwia nasza sytuacja. Każdy z krajów postkomunistycznych bacznie obserwuje Zachód, bo widzi w nim ocalenie i myśli, że uzyska stamtąd ratunek. W czym wszystkie się mylą.

Niemcy pospieszają z pomocą Związkowi Sowiekiemu, ponieważ mają w tym interes. Wysuwane były pod adresem rządu Tadeusza Mazowieckiego zarzuty, że nie skłonił on Niemców do poświęcenia tych pieniędzy nam. Są to pretensje bezzasadne. Gdyby NRD okupowały wojska polskie, a nie sowieckie, to można by oczekiwać, że oni nam dadzą marki, które dają za wycofanie Rosjanom. Bez tego najteższy umysł nie jest w stanie zaproponować innej alternatywy, niż realizowana przez ministra Krzysztofa Skubiszewskiego. Pewnych osiągnięć w polityce nie uzyskuje się przy pomocy burzy mózgów, tylko dzięki mocarstwowej pozycji.

Myślę, że Związek Sowiecki ulegnie dezintegracji i każda z republik imperium będzie miała podobne jak my problemy, tylko w bardziej dramatycznym wymiarze. Lada moment zaczną je tak samo ciężko jak my odczuwać Czesi, Słowacy i Węgrzy. Nielatwo będzie zastąpić powiązania gospodarcze w ramach RWPG, choć były to powiązania pod wieloma względami absur-

dalne. Na przykład nie można było policzyć, ile co naprawdę kosztuje. Pieniądz nie był pieniądzem. Towary, którymi handlowano, były lichutkiej jakości, nieefektywnie produkowane. Ale na przykład przemysł łódzki jest w tak głębokim kryzysie między innymi dlatego, że przy nowych przeliczeniach dewizowych przestał się opłacać eksport do Związku Sowieckiego, a tam przestało się opłacać kupowanie wyrobów łódzkiego przemysłu. Za dolary to oni mogą sobie kupić wszędzie.

Okazuje się, że nie jesteśmy w stanie sprzedać tej produkcji nigdzie poza Rosją, nawet u siebie, bo to są zbyt wielkie buble.

Według dowcipu chciano wydrążyć dziurkę w rurociągu przyjaźni, żeby zobaczyć, w którą stronę płynie ropa. Teraz już nie mamy wątpliwości, wiemy w którą stronę ona płynie, od momentu, kiedy Związek Sowiecki drastycznie zmniejszył dostawy i nie bardzo mamy czym je zastąpić. Musimy płacić dolarami, a nie mamy skąd ich wziąć.

Myślę, że przyjdzie koza do woza i będziemy musieli szukać rozwiązań we wspomaganie się, mimo że nasze gospodarki nie są komplementarne, bo budowano je wedle dogmatu, na obraz i podobieństwo „matuszki”. Jednak przez współpracę gospodarczą będziemy musieli znajdować sposób na łagodzenie dramatu.

Nie wiem czy Czecho-Słowacja, Węgry, Polska to będzie trio szczególnie ważne politycznie. Nie wiem jak ułożą się nasze stosunki z republikami bałtyckimi. Przestał istnieć pewien układ, a nowy jeszcze się nie wytworzył. Moim zdaniem zasadniczą przesłanką naszej polityki powinno być przeprowadzenie kraju z jak najmniejszymi ofiarami przez ten trudny okres. Przejść suchą stopą przez okres przejściowy od socjalizmu do gospodarki rynkowej, a będzie to okres długi, i nie zniszczyć tego nieefektywnego potencjału gospodarczego, jaki zbudowaliśmy za socjalizmu, ale go zmodernizować. Do tego będą konieczne różne formy współpracy wschodniej Europy. Liczenie, że Zachód weźmie nas, każdego z osobna, na garnuszek, na zasadzie preferencyjnej, jest niezmiernie naiwne.

Jeśli chodzi o naszą suwerenność, to otrząsamy się z resztek podległości sowieckiemu imperium, z relikwów tej podległości w postaci garnizonów sowieckich i w postaci struktur układu warszawskiego. Garnizony będą wycofane a struktury zapewne zlikwidowane.

Stary system polegał nie na dominacji ekonomicznej czy kulturowej, lecz na dominacji politycznej, policyjnej, militarnej. Teraz jesteśmy wolni, ale nasza suwerenność jest wystawiona na inne zagrożenia. Od naszego wyboru, od naszej decyzji, a także od obiektywnych uwarunkowań będzie zależało, czy my tym zagrożeniom możemy sprostać. Jest mało prawdopodobne, że

* Przedruk z miesięcznika *Odra*, nr 2, luty 1991.

ktoś przyjdzie i zabierze nam militarnie Ziemię Zachodnie, albo będzie nas okupował. Natomiast pewne jest, że będziemy nierównorzędnym ekonomicznie partnerem Zjednoczonych Niemiec, największej potęgi gospodarczej Europy zachodniej i jednej z trzech największych potęg gospodarczych świata. Przez najbliższą epokę nie możemy liczyć na to że dorównamy Niemcom. Natomiast możemy i powinniśmy zabiegać o to, aby w stosunkach z nimi nie stracić samodzielności ekonomicznej, a to zależy od naszej wewnętrznej polityki gospodarczej i kulturalnej. Jeżeli będziemy obstawać przy polityce *laissez-faire*, oczekując, że wolny rynek (nie istniejący u nas wskutek monopolizacji) i rynek światowy doprowadzą do samorzutnej restrukturalizacji naszej gospodarki, to stanie się, może tylko w dłuższym czasie, to co w NRD: upadnie wszystko, co nie odpowiada światowym standardom efektywności. Recesja zniszczy potencjał ekonomiczny zbudowany lub przebudowany przez 45 lat. Jest on kiepski, ale innego nie ma, więc bez niego spadniemy do rzędu krajów Trzeciego Świata, skąd już nie trafia się do Europy. Wtedy wobec Niemiec będziemy partnerem nie tylko słabszym, ale nie-samodzielnym. Jeśli będziemy obstawać przy twierdzeniu, że książka to taki sam towar jak gwóźdź, to będziemy zatracać korzenie naszej tożsamości i zaleją nas tandetne produkty standaryzowanej kultury, raczej zresztą amerykańskiej niż niemieckiej. I nawet bez złej woli niemieckiego partnera staniemy się od niego zależni. Będzie to ten typ zależności, który w mało widoczny sposób ogranicza suwerenność narodową, ale jest dotkliwy.

Zawsze pozostaje dla nas ważna relacja Niemcy-Rosja. Dotychczas tak było i jest nadal aktualne, mimo zmian na świecie, że było dla nas niebezpieczne, gdy dochodziło do zbliżenia rosyjsko-niemieckiego, jak to się mówi: nad naszymi głowami, ale rozumie: naszym kosztem. W tej chwili jest to możliwe właśnie w dziedzinie gospodarczej, a mało prawdopodobne w dziedzinie polityczno-militarnej. Dlatego należy utrzymywać równowagę w stosunkach z Niemcami i republikami Związku Sowieckiego, w tym Rosją. Nawet w kryzysie pozostanie ona wielkim mocarstwem militarnym i co ważne, wielkim rynkiem zbytu, o czym żaden *businessman* i żaden polityk niemiecki nie zapomina. Nie myślą o tym przywódcy krzykliwych ugrupowań, które w Polsce zamierzają wygrać parę miejsc w samorządzie gminnym, lansując hasła: „Sowieci niech się od nas odczepią, a my od nich”.

Elementy takiego wyżycia się, odreagowania są pewnie psychologicznie zrozumiałe, choć czasem przybierają odrażające formy, jak na przykład uchwała krakowskiej Rady Miejskiej (nie mająca zresztą mocy prawnej) o usunięciu grobów żołnierzy sowieckich spod Barbakanu. Dowiedziałem się, że inicjator tej

uchwały był kilkanaście lat instruktorem Komitetu Wojewódzkiego w Krakowie, więc chyba miał co odreagowywać. Tego typu symboliczne przyjemności nie mogą być traktowane lekko, jak humoreska, bo wcale nie lekko wpływają na nasze stosunki z Rosjanami. Oni też mogą być przywiązani do symboli. Jeżeli to kogoś dziwi, to niech pomyśli o naszym stosunku do lwowskiego Cmentarza Orłąt.

Bez polityki rosyjskiej, a także bardzo ważnej litewskiej, łotewskiej, białoruskiej, ukraińskiej, bez współpracy gospodarczej z imperium i ratowania naszej obecności na tamtejszym rynku, nie wyobrażam sobie, abyśmy mogli skutecznie zapobiegać przykrym niespodziankom. Mogą one wynikać również ze zbliżenia rosyjsko-niemieckiego nad naszymi głowami.

Karol MODZELEWSKI

Zanotowała Elżbieta Pomorska

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Nad Niewiażą, wiek dziewiętnasty

Kupiłem w Krakowie na Grzegórkach offsetowe wydanie *Pamiętników* Jakuba Gieysztor, zrobione w 1985 roku. Pierwsze ukazało się w Wilnie w r. 1913, kiedy w następstwie rewolucyjnego wrzenia w Cesarstwie, można już było takie zakazane dotychczas pisma drukować*. Postanowiłem zaraz, że napiszę coś na marginesie tego dzieła, bo Jakub Gieysztor, właściciel majątku Ignacogród nad Niewiażą, był najbliższym sąsiadem i przyjacielem mego rodzzonego pradziadka Szymona Syrucia, właściciela Szetejń, skąd się wywodzę. Rodzinne strony Gieysztor, to właśnie dolina Niewiaży, i jeśli następnie działał w Kownie i Wilnie, po czym został zesłany na Syberię, to właśnie tam, w powiecie kiejdańskim, były jego początki, nawet pierwsza szkoła — pięcioklasowa szkoła szlachecka w Kiejdanach, do której oddano go w 1836 roku.

Pamiętniki Gieysztor są mało znane. Offsetowe wydanie ma nakład 1.300 egzemplarzy, czyli tylko dla historyków. Ja jednak usłyszałem w młodości o Gieysztorze od mego dziadka Zygmunta Kuneta, właśnie żonatego z córką Syrucia, Józefą, i mieszkającego w Szetejniach. Mówił o nim z szacunkiem i lubił go czytać, a ja nie zdradzałam żadnego zainteresowania tą przeszłością, zajęty moim wiekiem dwudziestym, ruchami awangardowymi, Pudowkina „Burzą nad Azją”, Chaplinem, Apollinaiem i tak dalej. Zresztą gdyby mi się chciało przeczytać te dwa tomy, znalazłbym tam co innego niż znajduję teraz, kiedy jestem stary, wiek dwudziesty się kończy i mieszkam w Kalifornii, daleko od miejsc w których żył i działał pamiętnikarz. To stałe odślanianie się nowych aspektów w dziejach krajów i ludzi

* *Pamiętniki* Jakuba Gieysztor z lat 1857–1865 poprzedzone wspomnieniami osobistymi prof. Tadeusza Korzona oraz opatrzone przedmową i przypisami. Wilno, Biblioteka Pamiętników, 1913.

jest jednym z dziwów upływającego czasu, a drugim dziwem jest nasze stopniowe pozbywanie się zahamowań, tak że czując się bardziej wolni możemy zdobyć się na bardziej niezależne sądy.

Jakub Gieysztor, urodzony w 1827, uczył się w Kiejdanach, w Instytucie Szlacheckim w Wilnie i następnie studiował prawo w Petersburgu, gdzie jego kolegą i przyjacielem był późniejszy dowódca powstania na Litwie, Zygmunt Sierakowski, z którym w studenckich dyskusjach toczył boje. Był przeciwny czynowi zbrojnemu i za swój cel stawiał uwłaszczenie chłopów, co według niego było pierwszym warunkiem jakichkolwiek działań niepodległościowych. Czytać Gieysztor, to zanurzyć się w świat ziemianstwa na Litwie czyli, jak to się wtedy nazywało, obywatelstwa, a ponieważ głównie zajmuje się Żmudzią, pewno tu nazwisk, które słyszałem w dzieciństwie, choć to wtedy już byli synowie albo wnukowie tamtych.

W roku Wiosny Ludów, 1848, petersburscy studenci z obywatelskich rodzin przeżywali chwilę entuzjazmu i jeden z nich, Sierakowski, wyruszył żeby wziąć udział w rewolucji. Schwytany na granicy austriackiej i posłany w żołdacki oddział na Kaukazie wyróżnił, że zrobił wojskową karierę i doszedł do stopnia oficera sztabu generalnego. Tymczasem Gieysztor objął majątek należący do rodziny jego matki, Leokadii z Zawiszów, Ignacogród, tak nazwany na cześć Ignacego Zawiszy, który był oficerem w powstaniu Kościuszkowskim, a później został pochowany w należących dawniej do Zawiszów Opitołokach.

Dolina Niewiaży nie tylko w moim wspomnieniu jest piękna, zawsze za taką w pisemnych świadectwach uchodziła. Prawdopodobnie jej czarnoziem (lasy liściaste, dębowe i brzożowe) przyciągał od dawna osadnictwo rolne, bo na swojej mapie historyk początków Litwy, Henryk Łowmiański, umieścił szereg osad wzdłuż Niewiaży, datujących się sprzed 1422 roku. Wszystkie to są nazwy z mego dzieciństwa, poczynając od Szetejń, które po raz pierwszy są wzmiankowane w 1371 roku, tak jak leżące obok Kujany i naprzeciwko, po drugiej stronie rzeki, Kałnoberże, a też o kilka kilometrów na południe Opitołoki, parafia w której mnie chrzczono. Pierwsza wzmianka o Kiejdanach rok później, w 1372 roku. Zupełnie nie mogę sobie wyobrazić tych miejsc wtedy i tylko zadaję sobie pytanie, czy niektóre stare dęby mogły tamte czasy pamiętać.

Gieysztor ożenił się w 1851 roku ze swoją ciotką, rodzoną siostrą swojej matki. Nie myślałem, że w ogóle możliwe jest małżeństwo z tak bliską krewną. W dodatku on miał wtedy lat dwadzieścia cztery a ona trzydzieści jeden i brak wiadomości o ich sprawach uczuciowych otwiera pole domysłom. W każdym razie Gieysztorowie mieli sześcioro dzieci, pięciu synów i córkę. Później, po powrocie z Syberii i osiedleniu się w Królestwie, Gieysztor ożenił się po raz drugi i miał jeszcze dwóch synów.

Właściciel Ignacogrodu, gospodarz staranny ale raczej zmuszający się do rolniczych zatrudnień, miał pasję, a były nią książki. Dostarczali mu ich antykwariusze z Wilna i stopniowo zgromadzili dużą bibliotekę, umieszczoną w specjalnym budynku, o której zawartości mogę sądzić na podstawie tego, co pamiętam z szaf w Szetelniach, gdzie i polskie i francuskie tomy datowały się głównie z lat 1820–1860. Ich czytelnikami byli Szymon Syruć, zapewne dzielący upodobania swego przyjaciela, i jego siostra Tekla Syruciovna, b. aktywna, prawa ręka Gieysztor w 1863 roku.

W 1858 Gieysztor wyjechał za granicę, „do wód”, ale tam, w Niemczech, nie zwiedzanie i nie zabawa go obchodziły. Napisał tam broszurę *Głos szlachcica o wolności i własności kmiemiej* i przesłał wydawcy Żupańskiemu w Poznaniu. Czyli znów książki, tym razem jako ich autor. Miał jeszcze napisać sporo, ale tylko część tego ukazała się drukiem. Jego pamiętniki opublikowane obejmują jedynie lata 1857–1865 i dotyczą prawie wyłącznie jego działalności publicznej. Można by było dać im podtytuł: w jaki sposób zdecydowany przeciwnik powstania zostaje w 1863 roku komisarzem rządu narodowego na Litwie.

Gieysztor był obywatelem światłym i prawym, patriotą gorliwym. I nie mógł po prostu egzystować nie działając. Z *Pamiętników* dowiadujemy się o głównych fazach jego działalności. Była to najpierw walka o uchwalenie przez szlachtę Litwy apelu do cara o uwolnienie chłopów z nadaniem im ziemi, tę walkę przegrał, został przegłosowany. Następnie wraz z kilkoma innymi przygotował adres do cesarza, w którym proszono o przywrócenie języka polskiego jako wykładowego w szkołach i otwarcie uniwersytetu wileńskiego; adres nie został doręczony. Najaktywniejszy był w 1861 roku, kiedy po manifestie uwalniającym chłopów utworzone zostały komitety gubernialne złożone z częściowo mianowanych, częściowo wybranych przez szlachtę członków. Wybrany ze swego powiatu, jeździł i doglądał wcielenia manifestu w życie. Szczególne też znaczenie przywiązywał do starań, swoich i swych najbardziej aktywnych sojuszników pośród obywatelstwa, o utworzenie, wzorem Warszawy, Towarzystwa Rolniczego i Towarzystwa Kredytowego. Ale nie piszę tutaj pracy historycznej i nie muszę przebiegu wydarzeń streszczać.

Co mnie ciekawi, to moja ignorancja. I to u kogoś, kto nieraz podkreślał znaczenie świadomości historycznej. Ja jednak mało wiedziałem z tego, o czym opowiadają *Pamiętniki*, mimo że dotyczą one w znacznej mierze mojego powiatu, mimo że przechodząc co dzień przez wiele lat ulicą Sierakowskiego w Wilnie mógłbym chcieć poznać bliżej jego biografię, zwłaszcza, że zawsze słyszałem o nim jako dowódcy mego dziadka Artura

Miłosza. Ale przecie uczono nas w szkołach historii, i to z należytą dozą martyrologii dziewiętnastego wieku? Trzeba więc zastanowić się nad moją ignorancją. Wydaje mi się, że młodzie mają dużą trudność z przeniesieniem się w przeszłość, która, niezależnie od jakości podręczników, pojawia się jako „ogólny zarys”, w dodatku skażony teoriami, według których przyszyrzyga się materiał. Czyli to, co się działo dawno nie zostaje odtworzone w wyobraźni i dopiero z wiekiem ćwiczy się nasz dar uwagi, tak że jeden jakiś szczegół „wybucha”, oświetlając całą scenę. Do tego trzeba dodać, że tamte dawne przeprawy z niewolą nadawały się do tego, żeby o nich zapominać, skoro chodziliśmy do szkoły w niepodległym kraju, nieświadomi jego kruchości.

Były jednak powody bardziej indywidualne i te są dla mnie teraz najciekawsze. Ziemianstwo na Litwie — a tym wyłącznie środowiskiem zajmuje się Gieysztor — było za jego czasów takie jak o kilka dziesiątków lat wcześniej, za belfrowania Mickiewicza w Kownie, w tych samych majątkach siedzieli potomkowie jego współczesnych, no i Kowno było takie samo, małe miasto dla zjazdów szlachty kontynuującej tradycje sejmików. Ale ziemianstwo to, pamiętające o swoim wkładzie w walkę wyzwoleniczą, o swoich synach, którzy szli do kolejnych powstań, płacąc nieraz życiem, zesłaniem, konfiskatą majątków, było niezbyt różne w moich latach szkolnych, prawie wszyscy w mojej klasie z niego się wywodzili, tak jak siedzący w sąsiedniej ławce Emil Gieysztor, z tego samego przecie rodu co Jakub, choć z bocznej linii. A III część *Dziadów* dotyczyła nie tyle Polski, co wielkiej rodziny obywatelstwa, w której wszyscy byli jakoś spokrewnieni, może nawet ja z Emilem, tyle że puszczałem mimo uszu te różne stopnie pokrewieństwa, zmuszany do wizyt u pani Strawińskiej albo pani Stulgińskiej, słysząc o Eysmontach, Mohlach, Łopacińskich i tak dalej. Puszczałem mimo uszu: właśnie o to chodzi, że nie chciałem do mojej kasty należeć, że buntowałem się przeciwko niej, że unikałem przyznania się: jestem szlachcicem.

A przecie wchłaniałem poezję Mickiewicza dla obywatelstwa na Litwie tworzoną, jemu przyświadczałą, z niego wziętą, i przemawiającą tak potężnie, że co raz to nowe pokolenia na nią przysięgały. Ta jednak poezja romantyczna działała wielorako i ona to mogła zalegać we mnie sprzeciw. Wstąpiwszy na Uniwersytet Stefana Batorego dokonałem wyboru. Mój ojciec studiując na Politechnice Ryskiej należał do „korporacji”, czyli organizacji burszowskiej, choć nie jestem pewien czy była to „Welecja” czy „Arkonja”, chyba „Arkonja”. Wzorem Rygi i Dorpatu korporacje były aktywne też w nowoutworzonym uniwersytecie wileńskim, a najstarszą i najdostojniejszą była „Polonia” wywodząca

się z Dorpatu. Ponieważ jeden z Miłoszów był tam współzałożycielem, miałem „kwalifikacje” i byłem raz nawet w ich lokalu. Obrzydzony, uciekłem i odtąd czynnie występowałem jako wróg „korporacji”, czego zewnętrznym znakiem była przynależność do Akademickiego Klubu Włóczęgów.

Niestety, trzeba drążyć dalej i doskonale rozumiem, że kryją się tutaj głębokie konflikty. Los nasz kształtuje się w dzieciństwie i w latach dojrzewania; myślę, że już był gotów, kiedy zdawałem maturę. Jeżeli poezja romantyczna pomagała tradycyjnym złożom patriotycznym, to inne jej składniki sprzyjały memu indywidualizmowi, którego jaskrawość dotychczas mnie zastanawia. Jedno jest dla mnie pewne: moja skrzywiona emocjonalność, ze skłonnością do obsesji i fanatycznych urojeń. A reszta musi pozostać mniej lub bardziej wątpliwą rekonstrukcją. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu moje poczucie, że jestem inny od moich rówieśników, kimś z garbem czy skazą, brało się z faktów, a w jakim powstawało niejako samoczynnie. Tym niemniej dostarczało napędu do szukania kompensaty poprzez rojenia o losie takim jak romantycznych poetów. To zresztą dokładnie tak jak u bohaterów Tomasza Manna, u którego twórczość literacka czy artystyczna jest zawsze połączona ze skazą czy chorobą. Teraz, kiedy to piszę, oceniam zalety feleru, bo przecie pozwolił mi wyłamać się z pojęć w moim otoczeniu obowiązujących, poczynszy od moich dzikich ataków na Sienkiewicza, w czym byłem jedyny w klasie. Jednak skaza wyłączająca z własnej kasty nie jest czymś, z czego należy być dumnym. Przyjmuję ją dzisiaj spokojnie, choć wolałbym, żeby jej nie było.

Trochę inne anteny. Chwytały one to, obok czego inni przechodzili obojętnie. Ostatecznie całkiem możliwe, że ten skrót czasowy, od młodzieży obywatelskiej w Wilnie Filomatów, poprzez młodzież Petersburga, Rygi i Dorpatu, po wileńskie „korporacje” jest mylny, i że zmieniała się świadomość owego obywatelstwa, stopniowo zamykając się w kręgu sklerotycznych pojęć. A tak po prostu, to czy szlachcic o czystym sumieniu mógłby być poetą awangardowym w Polsce międzywojennej Dwudziestolecia? Chyba nie. Byłem szlachcicem zakompleksionym, świadomym groźnych napięć klasowych i narodowościowych. Wskutek tego po bardzo wielu latach piszę o Jakubie Gieysztorze z sympatią i trochę z zazdrością, że jego sumienie było takie czyste.

„Jeden tylko, jeden cud / Z szlachtą polską polski lud” — to było najświętsze zawołanie dla Sierakowskiego i jego przyjaciela Gieysztora, tyle że różnili się wyborem metod. Szlachta miała do naprawienia wielowiekową krzywdę chłopów, ale jej rola przywódcza nie była podawana w wątpliwość. Toteż ogrom-

na energia, jaką Gieysztor wkładał w swoją pracę członka gubernialnego komitetu po manifestacie carskim 1861 roku tłumaczy się jego przekonaniem, że w ten sposób najlepiej służy Polsce. Formowany przez poezję romantyczną, przyjaźniący się z Syromką (kiedy ten umiera, wychowuje jednego z jego synów razem ze swymi synami), bierze na siebie społeczne obowiązki nie bez pewnego osobistego powodu, który sam rozumie, wspominając o zawodzie miłosnym, o jakiejś dawnej decyzji wyrzeczenia się szczęścia. W swoich pamiętnikach występuje jako człowiek stałej religijnej i moralnej refleksji, kierujący się również w sądach o innych poziomem ich moralnej odpowiedzialności, zwykle, według niego, spotykanej u osób „z dobrego gniazda” („Od dzieciństwa nie miałem uprzedzeń kastowych, lecz bardzo silnie wpojoną wiarę w poczciwe lub złe 'gniazdo'”). Najcięższy zarzut, jaki stawia Konstantemu Kalinowskiemu — choć uważa go za najwybitniejszą postać 1863 roku — to nieznamość ludzi i otaczanie się pochlebami, miernotami, osobnikami o wątpliwym charakterze.

Gieysztor osądzał surowo „dusicieli chłopów”, jak to nazywa. Jednym z nich był bliski jego sąsiad, po drugiej stronie Niewiaży, Edward hr. Czapski, właściciel Kałnoberży. „Czapscy od dawna byli znani jako obywatele najgorzej obchodzący się z ludem; stary słynął z ucisku włościan; pan Edward z Kałnoberży też pędził na pańszczyznę od niedzieli do niedzieli”. Kiedy chłopci odmówili pańszczyzny po manifestacie 1861 roku, „nadcignęły wojska ze sprawnikiem; włościan katowano i w rezultacie okazało się, że lud miał za sobą słuszność, bo i w inwentarzu nawet było tylko pięć dni pańszczyźnianych!” Tak, ale Czapski znalazł się w panteonie narodowym: aresztowany w 1863 roku, oskarżony (być może niesłusznie) o stosunki z partią Sierakowskiego i partią Kasperowicza, otrzymał wyrok śmierci, zamieniony na 12 lat ciężkich robót i pozbawienie praw stanu, a więc i konfiskatę dóbr. Kałnoberże zostało skonfiskowane i otrzymał je generał Stołypin. Za młodości mojej matki należało do ministra Stołypina. Kiedy byłem podrostkiem, należało do rządu republiki litewskiej, który założył tam kolonię dla małoletnich przestępców. Z Szetejń do Kałnoberży jeździło się albo chodziło przeprawiwszy się promem, który był w należącej do Szetejń Legmiadzi.

Nie tylko „dusiciele” dręczyli chłopów. Musiało to robić obywatelstwo obciążone obowiązkiem dostarczania rekruta na służbę wojskową, trwającą połowę życia. Zajmował się tym też Gieysztor. „...przykry był dla mnie dzień, bom musiał cały ranek przyjmować rekrutów. Tu muszę zapisać dziwny psychiczny fakt. Obywatel Józef Bitowt zjawił się do Izby urzędowej wprost w celu przypatrywania się tej smutnej czynności! Na uwagę prokuratora poprosiłem tego pana, aby ustąpił”.

Przyznaję się, nie mam jasnego obrazu sytuacji chłopów na Litwie przed manifestem cara z 1861 roku i zmian, które nastąpiły po jego zastosowaniu, tzn. w czym nowe porządki na wsi litewskiej różniły się od tego, co działo się na wsi rosyjskiej. Ani jak to wypadło w porównaniu z Królestwem, gdzie przecież uwolnienie chłopów nastąpiło jeszcze za Napoleona. Nie będę udawać erudycji. Wiele majątków już dawno przeszło na czynsz, oczynszował też swoich chłopów Gieysztor. I rzeczywiście Żmudz, być może dlatego że katolicka, czy z innych przyczyn, nie była widownią takich scen jak Białoruś, Wołyń czy Ukraina, gdzie wybuchała nienawiść do Lachów czyli panów.

Warta zacytowania jest rozmowa Gieysztora z baronem Grothusem (bo wśród właścicieli ziemskich na Żmudzi był też nieduży procent Niemców): „Grothus w szczerzej rozmowie dotknął bardzo delikatnie naszych stosunków do rządu, mówiąc, że od rozbioru kraju szlachta polska nie umiała postępować z rządem i stawał za przykład szlachtę niemiecką w prowincjach nadbałtyckich. 'My mamy prawie wszystko — mówią, że rządzymy nawet Rosją, a panowie po każdym powstaniu tracicie resztę przywilejów'. Na to odpowiedziałem: 'Panie baronie, nam to właściwie zawdzięczacie swoje dotychczasowe wyjątkowe położenie'. 'Jak to być może?' 'Najpewniej, bo (wykropkowane przez carską cenzurę) gdyby nasza szlachta pogodziła się z losem i zechciała zostać szlachtą rosyjską, to wówczas, panie baronie, wasze przywileje nie potrwałyby i roku!'. Baron się roześmiał: 'Panowie jesteście narodem szlachetnym, ale zaślepieni w swoim patryjotyzmie, sądzicie, żeście potrzebni nie tylko nam, ale i całemu światu'. Na tym skończyła się rozmowa”.

Zdaje się, że baron Grothus grzecznie nazwał pewną polską cechę, którą jest wygórowane przekonanie o własnej ważności.

„Z polską szlachtą polski lud”. Dla Gieysztora jego kraj nie był już częścią Rzeczypospolitej, ale po prostu Polski. W czym dzielił opinię chyba większości obywatelstwa. Litwa była oddzielona od Korony rzeką Niemnem pod Kownem i wielka manifestacja religijno-patriotyczna w 1861 roku, która rozkołysała nastroje, polegała na spotkaniu się dwóch procesji, z tej i z tamtej strony Niemna, na znak trwałych więzów Litwy i Korony. Tłumy wtedy śpiewały „Boże coś Polskę”.

Po czym urządzono procesję w naszym zakątku nad Niewiażą, co Gieysztor tak opisuje:

„Po demonstracji kowieńskiej nie mogło być innej rady, jak wszędzie lud pociągnąć i hymn w litewskim języku rozpowszechnić, żeby wiedzieli, o co idzie. Zaraz też w moich stronach odbył się uroczysty obchód. W dzień Przemienienia Pańskiego w Świętobrościu zebrało się ośmiu księży i mnóstwo

ludu. Z Surwiliszek i Opitołok przynoszą zwykle ołtarzyki. Gdy dano znać, że idzie procesja z Opitołok, na jej spotkanie wyszedł ksiądz z tłumem ludu ze Świętobrościa i spotkał procesję pod moim dębem ignacogrodzkim. W chwili spotkania zaśpiewano hymn 'Boże coś Polskę' i z nim wrócono do kościoła. Był to początek jeszcze nabożeństwa. Setki egzemplarzy litewskich hymnów rozrzucono ludowi. Po nabożeństwie kilku księży wyszło z zakrystii, uklękło przed ołtarzem i po litewsku zaintonowało ten sam hymn. Z tysięcy piersi ludu i w kościółku i na cmentarzu popłynęła modlitwa do Boga! Najzimniejszy człowiek poruszył się! Bez łez trudno było słuchać tej wzniosłej prośby narodu... tak zawsze pełnego nadziei i zapału! Od tego dnia zwykle w kościele śpiewano ten hymn, śpiewano go i w domach!”

Więc jakże z tym polskim ludem, któremu słowa hymnu trzeba było na litewski tłumaczyć? Czy znaczyło to, że szlachta była Polakami świadomie, a lud nieświadomie? Gieysztor opowiada o swoich przeprawach w dobrach Retowo księcia Ogińskiego, gdzie bawił jako urzędnik gubernialnego komitetu. Natrafił tam na niechęć, kiedy przyszło do protokolowania po litewsku: „Widząc Giedgowda, pytał: 'Co ten pan tu robi?' Objąsałem, dlaczego go przywiózł. 'Lecz lud tutejszy rozumie po polsku i, sądzę, że pan w tym języku i przemawiać i pisać będzie'. 'Ja, mości książe, mówię po polsku, piszę urzędowo po rosyjsku, akta zaś gminne prowadzę po litewsku, bo to język ludu, dla wszystkich zrozumiały'. Lecz to nie 'patriotycznie'. Mnie o formy nie idzie, zresztą patriotyzm prawdziwy na poszanowaniu każdego plemienia zależy”. Niemniej sam książe Ogiński wygłosił przemówienie do zebranego ludu „po żmudzku”.

Rządził on swoimi chłopami autokratycznie i paternalistycznie, przekonany, że wie, co dla nich dobre i stosując swoje metody oburzające Gieysztora: „Powracając był rozmowny i prawdziwie szczerzy, bo opowiadał mi o swoim sposobie rządzenia, o koniecznej potrzebie szpiegostwa. 'Radziłbym nawet na małej gospodarce tak samo postępować: dana jedna krówka, beczka zboża, opłaci się sowicie, a raz, drugi ukarane nieposłuszeństwo, fałszywa wiadomość, zobaczy pan, jaki posłuch i porządek wprowadza'. Jeśli trudno było z nim walczyć na upór i przebiegłość, to jakże obrzydliwym mi się wydał w tej swojej szczerości”.

Później, podczas śledztwa w więzieniu Gieysztor zeznaje, że miał u siebie w Ignacogrodzie szkołkę, w której dzieci uczono przede wszystkim po litewsku. „Po litewsku? — mówi generał. — Tak panie, odparłem — moim zdaniem, lud powinien pierwsze początki odebrać w tym języku, w którym mówi, czy to po polsku, czy po rusińsku, czy litewsku: człowiek kochający swoją narodowość — zawsze uszanuje i inną”.

Czyli Gieysztor nie przesadzał z polskością ludu i uznawał jego inną narodowość — „rusińską czy litewską” — a jednak wszystko to byli dla niego państwowo Polacy i był przeciwny wszelkiemu separatyzmowi zdolnemu zerwać trwały związek Litwy z Koroną. Swojego stanowiska nie ukrywał na śledztwie: „Toś pan Litwin, a nie Polak, toś zawsze odstępca od swej narodowości. — Jenerale, zostawmy próżne słowa, gdyby można było analizować każdą kroplę krwi dzisiejszego Litwina, nie wiadomo, ile byłoby tam polskiej, ile litewskiej, cztery wieki nas złączyły, poczekajcież tyle, a dziś zostawcie nas w spokoju”.

Kluczem do takiego przekonania jest oczywiście *Pan Tadeusz*. Czy można sobie wyobrazić jego bohaterów zastanawiających się, jakiej są narodowości? Sędziemu Soplicy, choć na pewno tak jak całe tamtejsze ziemiaństwo rozmawiał z chłopami po białorusku, nie przyszłoby to nawet do głowy. Tym niemniej, przekonanie Gieysztor, że mieszka w Polsce, bo w obrębie jej granic z 1772 roku, wydaje się dzisiaj trochę nielogiczne, skoro sam stwierdza: „bo każdy myślący człowiek musi przyznać, że polskość na Litwie, Białorusi, Ukrainie i Wołyniu przeważnie przedstawia szlachta. Lud może zachowywać pamięć lepszych polskich czasów, ale pociągnąć do ofiar i walki może tylko przykład poświęcenia i patriotyzmu obywateli i szlachty”. Nasuwa się tutaj konieczność wyciągnięcia jakichś wniosków. Tylko jakich?

Z pewnością nie walki zbrojnej. Gieysztor wierzył w pracę „powolną a rozumną”. Nadzieję na to dawało uwolnienie chłopów, czyli możliwość, nareszcie, współdziałania z ludem. Pisał: „Tak się skończył ten 1861 rok, pamiętny w dziejach Polski, a w życiu mojem jeden z czynniejszych, może też i najszcześliwszy! Żył się całą piersią, a choć czasem smutne przecucie ścisłało serca, to jednak widok pracy, rozwijającej się dobrej woli większości, wzrastającego dobrobytu ludu, pokrzepiał, a nadzieja wstępowała do duszy”. Był to jednak też rok, kiedy zaczął się „szał demonstracji”, napelniający Gieysztor obawami: „Trudno było na Litwie powstrzymać popęd patriotyczno-religijny, lecz obowiązek nakazywał, o ile można, nie dopuszczać do tych manifestacji, które musiały przypominać ludziom rozsądnym niebezpieczeństwo bawienia się z ogniem. Litwa bowiem odczuła głęboko słowa pieśni, a gdy ją powtórzyły tłumy, zabiły goręcej serca i ręka mimowoli zaczęła szukać miecza... Opisywać wrażenia, jakiego się doznawało wobec modlitwy tysięcy, któż się poważy...”

Komitet „białych”, którego głównym twórcą był Gieysztor, próbował hamować. Ale oto w Królestwie wybucha powstanie:

„Wieść ta razila mię jak grom. Ani przedtem ani potem, nigdy największe osobiste nieszczęścia takiego wpływu na mnie

nie wywarły. Dwa dni nie wychodziłem z mieszkania; w głowie mieszało się; serce ścisnęło się dziwnym niepokojem; cała nić żywota zerwana, jakby się człek na nowo rodził — lecz ten nowy świat nie miał już uroku, żadna nadzieja nie rozświetlała przyszłości”.

„Tak, nie wiem czy był drugi człowiek równie przynębiony tą wieścią, tak zrosły z życiem swego kraju, iż zdało mu się, że już dalej nie ma co robić na świecie. Byłem już pewny, że kraj wszedł na drogę prawdziwego postępu, wybuch zaś wszystko zniszczył”.

Okazało się, że „komitet ruchu”, czyli „czerwoni”, nie zrobił żadnych przygotowań, jego zapas broni składał się z „kilkunastu nędznych fuzijek”. „Biali” stanęli wobec konieczności kierowania powstaniem i podporządkował się im „komitet ruchu”, widząc własną nieudolność. Pamiętniki nie odpowiadają na pytanie, dlaczego Gieysztor nie tylko przystąpił do powstania, ale został kierownikiem tajnej sieci na Litwie (Wydział Zarządzający Prowincjami Litwy), mieszkając w Wilnie i rozwijając tam działalność zawodowego konspiratora. Jeżeli uważał powstanie za nieszczęście, zachowałby się chyba logicznie, nie przykładając do niego ręki? Odpowiedzi pamiętniki udzielają pośrednio: była to gotowość złożenia z siebie ofiary Ojczyźnie, tak jak składali z siebie ofiarę ci, co szli do oddziałów powstańczych. Nacisk opinii publicznej był tak silny, że młodzież od udziału nie mogła się uchylić. Zupełnie inaczej było po drugiej stronie Niemna, w Suwalszczyźnie. Znajoma Gieysztorów stamtąd powiedziała, że idzie tylko szlachta, nie synowie obywatelscy, na co żona Gieysztor sarkastycznie zapytała, czy obywatele to nie szlachta. Pośród Gieysztorów tamtejszych żaden nie poszedł do powstania.

Wiary w zwycięstwo Jakub Gieysztor nie miał żadnej, najwyżej starał się ograniczyć straty. „Na Litwie nasz wpływ nie mógł powstania powstrzymać. Z zupełnym więc samopoznaniem i niebezpieczeństwa i konieczności walk, przejęliśmy kierunek sprawy, aby jako wybrani przez współobywateli, chronić ich cześć i osoby o ile można wobec strasznej katastrofy”. Aresztowany 31 lipca 1863 roku został tylko zesłany do Ufy, dlatego, że nie zdołano go rozszyfrować. Sprowadzono go z powrotem do Wilna (opisuje te podróże końmi) gdzie przebywał długo w więzieniu i groziła mu kara śmierci. Wreszcie otrzymał wyrok — 12 lat robót ciężkich i pozbawienie praw, a więc konfiskata majątku. Karę zaczął odbywać w r. 1865 w warzelniach soli w Ussolu koło Irkucka, warunki jednak nie były tak ciężkie jak w stalinowskich gułagach, a dzień pracy trwał 5 godzin. Miał sporo wolnego czasu i tam zaczął pisać pamiętniki. W 1868 pozwolono mu mieszkać w Irkucku, gdzie prowadził handel obuwem.

W 1872 został zwolniony i osiadł w Suwałkach, następnie w Warszawie.

Moje zapisy można traktować jako materiał do powieści, która mogłaby być napisana, a w każdym razie może być wyobrażona. Gdyby ograniczyć się do samej doliny Niewiaży, znalazłoby się w niej dosyć wydarzeń i postaci. Gieysztor znowu odwiedził te strony wracając z zesłania i ogłosił „Wycieczkę nad Niewiażę” w *Upominku wileńskim*, księdze zbiorowej ofiarowanej J.I. Kraszewskiemu, Wilno, 1879.

Cień drzew

Oto czym mogę posłużyć się, próbując sobie przedstawić jak zmieniało się miejsce mego urodzenia:

„Przed nami obszerna osada, budowle ze wszystkich stron otaczają śliczne drzewa, jakby las naturalny — to są Szetejnie. Jednakże, gdym był dzieckiem, pamiętam dobrze, jak na wzgórzu nagim, ocienionem tylko dwiema wierzbami, kilka lichych budowli wcale oka nie nęciło. Dziś Szetejnie są jedną z najwdzięczniejszych miejscowości, dzięki wytrwałej pracy i gustowi Szymona Syrucia. Jakż to przykład dla naszych ziemian, aby upiększali swoje siedziby i czynili je ponętne dla oka: kraj nasz przybierze postać cywilizowaną, a może też własne dzieci i wnuki, korzystając z cienia drzew, z wygodnych zabudowań, pamięć ich błogosławić będą”.

I stało się. „Korzystałem z cienia drzew” i błogosławię. Byłbym kim innym, gdyby nie moje szczęście dziecka w parku szeteńskim. Za rządów sowieckich drzewa wycięto. Gieysztor dużo zajmuje się Syruciami, a wobec Szymona miał dług wdzięczności. Oto po konfiskacie Ignacogrodu ten uratował jego bibliotekę, przewożąc ją do Szetejń. Wykorzystując swoje zbiory, Gieysztor mógł założyć w Warszawie, pod firmą swego syna Stanisława, antykwariat, który zyskał sławę wśród bibliotekarzy i zbieraczy wielu krajów.

Świętobrość

„Piękniejszej miejscowości w tym rodzaju wiejskim, pejzazowo ożywionym, nie znam nad Świętobrość”. Gieysztor odmienia „w Świętobrościu”, u nas mówiło się „w Świętobrości”, „ta Świętobrość”. Dalej Gieysztor: „Za świętobrodzkim ruczajem, na podniosłej górze stoi kościółek Świętobrości drewniany, fundacja Zawiszów, murowane skrzydło wzniesione przez Jankowskich, dzisiejszych właścicieli. W każdą stronę najponęt-

niejszy widok. Tu na lewo wieś Łajwiszki i dwór Ignacogrodzki, osadzony drzewami, za nim widnieją inne folwarki, od lewej ręki na prawo Kałnoberż, a naprzeciwko Suryszki ze śliczną lipową aleją; za niemi lasek brzoźowy, Surwiliszki, dalej kościół i mieszczyna. Na prawo w dole bór Kamieńczyński i zabudowania Zawiszyna, a tu pod nami rzeka wijąca się wstęgą, a tam parów głęboki osadzony odwiecznymi dębami. Oko oderwać się nie może, pięknie, cudnie, co to za widok, co za żyzna ziemia, jacy tu ludzie mieszkają, a jaki lud prosty!”

Drewniany kościół jest dzisiaj chroniony jako zabytek architektoniczny. Dostałem niedawno piękne fotografie starych dębów i dość okazałego grobowca — Szymona Syrucia. Niepokojące, do jakiego stopnia nasza uwaga jest selektywna: moje „puszczenie mimo uszu” opowieści rodzinnych tłumaczy podaną gdzieś przeze mnie błędną datę jego śmierci, przed 1863 rokiem, zamiast po. Teraz muszę to naprawić. Dzięki Gieysztorowi.

Mój pradziadek Syruc z grobowca w Świętobrości, syn Michała i Józefy z ks. Druckich-Sokolińskich, urodził się w r. 1809. Jak podaje Gieysztor, w młodości służył w wojsku rosyjskim. Brał czynny udział w działalności na rzecz reformy i w 1861 został zastępcą pośrednika do spraw chłopskich ze swego powiatu. Był uwięziony kilka miesięcy w Kownie za sprzyjanie powstaniu, „wszakże przychylne zachowanie się włościan miejscowych i służby podczas śledztwa dopomogło mu do ocalenia od konfiskaty majątków”. Nie został skazany i jego majątki (Szetejnie, Syrutyszki, Bagatela) nie uległy konfiskacie. Był żonaty dwa razy: z Eufrozyną hr. Kossakowską (córką Wanda i Elwira, zapewne te Syruciowny w Wilnie, o których wspomina Gieysztor) i z Weroniką Bohdanowiczówną, *primo voto* Kossakowską (miał z nią jedną córkę, Józefę, moją babkę). Zginął w katastrofie kolejowej w Niemczech w 1870 roku, kiedy wracał z kuracji za granicą. Jego siostra Tekla nigdy nie wyszła za mąż, zajmowała się córkami brata, leczeniem chłopów i odznaczała się słodyczą charakteru. Kiedy Gieysztor kierował konspiracją w Wilnie, była jego bliską współpracowniczką, przechowywała dokumenty i pieniądze.

W Szetejniach wisiał portret innego Szymona Syrucia, kasztelana, z osiemnastego wieku. Pamiętam perukę, jak mi się wydaje pancierz, i wstęgę orderu. Jak podaje Gieysztor w „Wycieczce nad Niewiażę”, był on synem sędziego ziemskiego kowieńskiego, wojskiego Józefa Syrucia, który żonaty był z Zabiellówną i żył jeszcze w 1711, „jak świadczy list z Szetejń pisany”. Jeden z synów wojskiego, Szymon, był osobistością malowniczą choć nieco dwuznaczną, tak jak pokazuje go Gieysztor, krytyczny wobec pazerności szlachty na bogactwa i zaszczyty. „Nie mając jeszcze lat 20, został pisarzem grodzkim

w 1706 r., a w 1733 był oboźnym i podskarbin kowieńskim. Jako szczerzy stronnik Stanisława Leszczyńskiego, w Lotaryngii był przybocznym sekretarzem tego króla. Tam pod okiem filozofa i polityka, sam jeszcze młody, czerpał naukę polityki i siostrzana swego Prozora miał też przy sobie". Zbierał następnie jedną godność po drugiej, aż „posiadł w końcu kasztelanję witebską i order Orła Białego”. Umarł bezpotomnie. Ja osobiście najbardziej byłbym ciekaw naszych okolic w r. 1706.

Książd Antoni Mackiewicz

Zawsze zastanawiałem się, kim był ten legendarny dowódca powstańców na Żmudzi i nigdy nie umiałem go sobie przedstawić. Teraz już trochę umiem. Był to młody romantyczny zapaleniec, trzydziestokilkuletni, rodem spod Cytowian, więc czysty Żmudzian. Studiował na uniwersytecie w Kijowie, ale „przejęty ideałami demokratycznymi, marząc o bliższym obcowaniu z ludem” (nie bardzo religijna motywacja), wstąpił do seminarium. Które brzmienie jego nazwiska jest poprawne, czy, jak chce litewska pieśń gminna sławiąca bohatera, Mackus, czy Mackiewicz, nie będę rozstrzygać. Musiał być znakomitym mówcą w obu językach, bo po każdym jego kazaniu mnóstwo ludzi, przeważnie chłopów i drobnej szlachty, szło do jego oddziałów. Okazał też duże talenty wojskowe, bo jego oddziały walczyły przez cały rok 1863, wtedy kiedy wiele innych dawno zostało rozbitych. Zdaje się, że obchodziła go głównie ziemia dla ludu i zaczął działać zaraz po tym, kiedy na Litwę dotarła wiadomość o manifestie uwłaszczeniowym Rządu Tymczasowego z 22 stycznia 1863 roku. A gdzie to się stało? Właśnie tu, gdzie niedawno odbyła się procesja ze śpiewem „Boże coś Polskę” opisana przez Gieysztorą: w Surwiliszkach, o parę kilometrów od Świętobrości i w Świętobrości samej.

Gieysztor skarży się na niesubordynację „ludzi skądinąd wielce krajowi zasłużonych”, bo kiedy „biali” objęli kierownictwo, wyznaczili komisarza wojewódzkiego, który podał dzień powstania. „Nie czekając na tę datę ks. Mackiewicz odczytał manifest wzywający lud do broni i razem nadający własność; w Surwiliszkach, ks. Szlagier w Świętobrości. Okoliczni obywatele, wiedzący o terminie późniejszym powstania, obecnymi w kościele nie byli, manifestu o uwłaszczeniu nie ogłaszali i nie namawiali włościan do powstania. Żona moja była jednak w kościele i gdy razem potem wszyscy gospodarze z Łajwiszek przyszli do dworu, w moim imieniu oznajmiła im, że uwłaszczenie uważa za fakt dokonany. Prawie cała młodzież wiejska oświadczyła się z chęcią pójdąca do partii, lecz rządcą Śmiarowski,

stosownie do rozkazu komisarza, zapowiedział, że jeszcze nie pora, nauczyciel zaś moich dzieci Miecz. Ambrożewicz poszedł z dwoma młodymi parobkami. Pocziwy Śmiarowski w dniu oznaczonym podążył też do oddziału, lecz także zaledwie z dwoma towarzyszami. Mały to ale wymowny przykład, jakie skutki wywarło nieposłuszeństwo”.

Używam tak dużo cytat, bo w nich są te wybuchające w wyobraźni szczegóły, które więcej mówią o okolicznościach niż jakiegokolwiek uogólnienia.

„Mackiewicz — organizacja nerwowa, unoszący się, gwałtowny — sam pełen wiary, umiał nią natchnąć lud i lud mu wierzył ślepo. Mackiewicz, zaprawdę, był duchem ożywczym powstania na Żmudzi. Gdy partię rozbijają, kłęska dotknąć powstańców, Mackiewicz uda się nad Niewiażę do swojej Laudy — przemówi do ludu i już nowe seciny prowadzi do oddziałów. Jak Piotr pustelnik prowadził przed wieki sfanatyzowane tłumy, tak Mackiewicz wiodł Żmudzinów”. Został schwytany z 4 na 5 grudnia, stracony w Kownie 16 grudnia 1863 roku.

Wy, bracia chłopie

Teraz pozwolę sobie na dygresję, wyprawiając się w dalszą Żmudź, za rzekę Dubisę, po to żeby stamtąd wziąć kilka szczegółów pozwalających zobaczyć „jak to było” — z powstaniem i z rozpowszechnieniem języka polskiego na Litwie. Świadectwo jest zawarte w autobiografii powieściopisarki, klasyka literatury litewskiej, która pisała pod pseudonimem Żemaitė czyli Żmudzinka. Julia, Żimontas po mężu, urodziła się w r. 1845 w drobnoszlacheckiej rodzinie Beniuszewiczów. Jej ojciec był rządcą w jednym z majątków hrabiego Platera koło Płungian. Jak łatwo zauważyć, polski język i wszystko co polskie było uważane za wyższe, pańskie, ale powstanie, w przeciwieństwie do Białorusi, ludność uznała za swoje. Żemaitė opowiada o swoim dzieciństwie i młodości. Tłumaczę z oryginału:

„Nas, dzieci, czytać uczył ojciec. Nauczyłam się wcześniej. Czytać lubiłam, jednak w naszym domu było mało książek: były polskie książki do nabożeństwa i kilka żmudzkich książeczek o religijnej treści. Te dała nam ciocia, siostra ojca, dewotka ze żmudzkiej kalwarii.

Matka pisać nie umiała, a jeżeli czytała, to polskie książki do nabożeństwa. Szczyciła się swoim szlacheckim pochodzeniem i wysoko ceniła polski język, dbając o to, żebyśmy umieli pięknie mówić po polsku.

My, dzieci, choć chronione, lubiłyśmy potajemnie biegać do fernali i bawić się z ich dziećmi, które przynosiły im jedzenie.

Z nimi, oczywiście, i nasza polska mowa jakoś się ulatniała. Kiedy skończyłam dziesięć lat, oddano mnie na naukę do stryjki. Opłacała ona nauczycielkę dla swoich dzieci i przyjęła mnie na naukę z łaski, jako dziecko krewnych. Tam to dopiero miałam, bo wszyscy ciągle żartowali z mojego polskiego, choć tak dobrze, zdawałoby się, mówiłam po polsku. Uczyłam się z dziećmi stryjki. W wolnym czasie czytałam książki, jakie tylko wpadły mi w ręce. A książek było tam dużo wyrzucanych jako niepotrzebnych, więc miałam dosyć do czytania.

U stryjki byłam kilka lat. W owym czasie zaczęły się zamieszki: żałoba u panów, pieśni pań i panów w kościołach, zebrania panów szlachty, zjazdy we dworach, polskie narodowe tańce, polskie patriotyczne pieśni, zbliżenie się szlachty do chłopów... Panowie okazywali się bardzo łaskawi. Ciągłe słyszało się: 'Wy, bracia chłopie' albo: 'teraz panowie i chłopie, wszyscy będziemy równi' i tym podobne hasła.

Wtedy i ja zaczęłam myśleć, że w rzeczy samej szlachcic od chłopca niczym się nie różni, że i wśród szlachty i wśród chłopów są dobrzy i bezbożni ludzie. Później, kiedy zaczęli strzelać powstańców, zaraz w moim sercu, i oczywiście wszystkich moich przyjaciół — Polska stała się najukochańszą ojczyzną, a bojownicy — uświęconymi bohaterami naszej wolności, męczennikami.

Zaczęły się i tu w lasach zebrania i zbiórki. Posyłałiśmy im odzież, niesiśmy i woziliśmy do lasów żywność; jeżeli znany nam był postój Polaków i dowiedzieliśmy się, że zbliżają się ruscy, biegliśmy nocami ostrzec powstańców. Wylaziliśmy ze skóry, żeby wszystko dać do lasu. Tam gdzie ruscy rozbili jakiś oddział, staraliśmy się zebrać rannych, później ich chronić, sprowadzić lekarza... I wszystko ze strachem, potajemnie, w lesie".

Ślub w Kiejdanach

Kiejdany, sławna niegdyś stolica kalwinizmu na Litwie, przechowywały dość długo ślady swojej świetności, także praktyczne, bo ciągnący tutaj różnowiercy, przeważnie Szkoci, zakładali różne przedsiębiorstwa i warsztaty rzemieślnicze. Było to poza tym miasto szkół, poczynając od kalwińskich za Radziwiłłów, a kończąc na tych, w których zaprawiał się w naukach Gieysztor. W dziewiętnastym wieku Kiejdany stawały się stopniowo jedynie małym, przeważnie żydowskim, miasteczkiem. Sięgając w przeszłość, Gieysztor w „Wycieczce nad Niewiażę” nie szuka żadnych okoliczności łagodzących dla przejścia Janusza Radziwiłła na stronę Szwedów (jak separatyzm litewski czy chęć

ratowania protestantyzmu przez sojusz z protestancką Szwecją), dla niego jest on po prostu zdrajcą, odpowiedzialnym za oddanie Litwy pod protektorat szwedzkiego króla. Czyli przedstawia go dokładnie tak, jak wkrótce zrobi to Sienkiewicz w *Potopie*.

Kiejdany były miastem na granicy Litwy i Żmudzi, granicą była Niewiaża, jej prawy brzeg to Żmudź, lewy Litwa czyli Auksztota, tak więc Ignacogród Gieysztor i jego sąsiedztwo, jako że na lewym brzegu, były litewskie, choć, jeżeli się nie myli, Surwiliszki już żmudzkie. Największy kościół w okolicy, kiejdańska fara, stoi na lewym, litewskim, brzegu. „Otóż nasza fara — pisze Gieysztor w 'Wycieczce nad Niewiażę' — potężna ogromem, poważna architekturą i wieków ciężarem, boć to jedna z najdawniejszych świątyń na Litwie, pamiątka panowania Krzyżaków nad Niewiażą. Fara, oszpecona później przyczółkiem, wzniesiona na wzgórzu, panuje nad całą okolicą; u stóp jej cisną się dworki i liche domy, na tej stronie Niewiaży przeważnie zamieszkałe przez chrześcijan”. Lewy brzeg, prawy brzeg: różnica nie bez znaczenia, bo Żmudź była przez pewien czas pod władzą Krzyżaków. Wiedząc o tym, nie umiem jednak sobie uzmysłowić jak daleko poza rzekę sięgały ich posiadłości, a widocznie sięgały, bo nie budowałiby kościoła na samej granicy.

W tej to farze odbył się 31 lipca 1862 roku ślub Zygmunta Sierakowskiego z Apolonią Dylewską, ze znanej rodziny konspiratorów i zesłańców. I dzięki temu wydarzeniu opisanemu w pamiętnikach Gieysztor, Sierakowski przestał być dla mnie nazwiskiem wyłącznie z podręczników historii. Byłem skłonny uważać go za coś w rodzaju zawodowego rewolucjonisty długo działającego w podziemiu. W rzeczywistości mieszkał w Petersburgu, pracował w sztabie generalnym, a jego stopień wojskowy pozwalał mu na podróże nie tylko do Litwy ale i za granicę. Inteligencja rosyjska po Wojnie Krymskiej przeżywała okres wielkich liberalnych nadziei, euforii zebrania, dyskusji i projektów; całą tę aurę wyszydził Dostojewski na pierwszych stronach *Biesów*. Roilo się wtedy od obłąkanych pomysłów, jak na przykład likwidacja armii, powszechne rozbrownienie i wolność dla Polski. W tym wszystkim uczestniczył Sierakowski i zdawał się poważnie traktować zapewnienia swoich rosyjskich przyjaciół, że wkrótce zrobią u siebie rewolucję.

Z Petersburga przyjechał na swój ślub. „Ślub ten odbył się w Kiejdanach, bo tam mieszkali Berkmanowie i cała rodzina tam przybyła. Ze strony Zygmunta byłem tylko ja i Staniewicz Jan”.

„Z Zygmuntem przez te dni dyskutowaliśmy długo, on wierzył w życzliwość dla nas pewnych partii w Rosji i w możliwość powstania z ich pomocą. Ja nie podzielałem tej wiary, zresztą zgadzałem się działać z nimi wspólnie, byle Rosjanie

pierwsi zaczęli. Zygmunt miał mię za niewyleczonego z uprzedzeń..." Wydanie *Pamiętników* z 1913 roku jest ocenzurowane. Kropki oznaczają zapewne niepochebną opinię Gięsztora o Rosjanach.

Jak wiadomo, powstanie 1863 roku przyniosło klęskę liberalnej inteligencji rosyjskiej, bo opinia publiczna poparła wojsko wysłane dla *usmirenija polskiego miatieża* (nb. w bitwach z powstańcami odznaczył się bohater *Biesów*, Stawrogin). Był to też koniec wpływów Aleksandra Herzena i jego pisma *Kołokol*. Wystarczyło, że opowiedział się za Polską, a został okrzyknięty zdrajcą działającym przeciwko świętej Rosji.

Sierakowski z nowopoznańską żoną wrócił do Petersburga. W marcu 1863, kiedy na Litwie zaczęło się powstanie, Aleksander Oskierka, członek Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy, przywiózł mu wiadomość o tym. „Zygmunt, jak mi opowiadała jego żona, gdy zobaczył Aleksandra Oskierkę, zrozumiał o co idzie, powiedział, że ten mu śmierć przyniósł. Lecz, naturalnie, Zygmunt nie mógł i chwili się wahać, jak nam powiadał. 'Z waszej (mojej i Oskierki) strony nieprzyjęcie udziału w powstaniu byłoby dowodem braku patriotyzmu, lecz z mojej nikczemnością'. Widział on niewczesność wybuchu, wiedział, że idzie na pewną zgubę, ale ni chwili się nie wahał”.

Gięsztor relacjonuje rozmowę z Sierakowskim po przyjeździe jego i jego żony do Wilna i jego plany wojskowe. Zmudza miała być terenem operacji ze względu na największą liczbę ochotników. Z powodów, które tu mogę pominąć, oddział Sierakowskiego posuwał się na północ i do decydującej bitwy doszło na granicy Litwy i Kurlandii, pod Birżami, 25, 26 i 27 kwietnia (starego stylu). Wojska rosyjskie zwyciężyły, Sierakowski został ranny. „Pod Birżami zginęła wyborowa nasza młodzież i wielu ze znaczniejszych wojskowych; ja tam straciłem brata Józefa”. Rannego Sierakowskiego można było ukryć. Oto szczególnie u Gięsztora: „Ciężko ranny, schronił się on do majątku Skrobiszki, Komorowskich. Właściciele nie było. Na próżno Jarosław Kossakowski i kilku innych, a także stary sługa Syrciów, Leopold, nalegali na niego, by uciekał; lada chwila bowiem czekano oddziałów rosyjskich. Zygmunt był zmęczony i ciężko ranny, a żadnego powozu w Skrobiszkach nie było, posyłano dwa razy do Kościalkowskich, ale daremnie. Zygmunt chciał, aby Kossakowski sam jechał do Ratkun, co by go, jako cioteczne go brata Komorowskiej, ocaliło, ale Kossakowski nie chciał opuścić swego wodza. Wkrótce nadeszli Rosjanie i obu aresztowali”.

Sierakowski został powieszony 15 czerwca 1863 roku na Placu Łukiskim w Wilnie. Jarosław Kossakowski otrzymał wyrok śmierci, ale zmieniony z powodu niepełnoletności na 8 lat katorgi. Po kilku latach wrócił na Litwę.

Niektórzy sąsiedzi

Kudrewiczowie. Jednymi z najbliższych sąsiadów Ignacogrodu (i Szetejń) byli Kudrewiczowie (nazwisko pochodzenia litewskiego) w majątku Suryszki. Miejsce to jest dla mnie pamiętne z przyczyny wizyty w dzieciństwie, na którą mnie zabrano. Starsi toczyli rozmowy, a mała dziewczynka, robiąc honory domu, wzięła mnie ze sobą żeby pokazać park. Wtedy, patrząc na nią, doznałem przeraźliwego oczarowania, nie wiedząc, że nazywa się miłością i nie łącząc tego z żadnym romanowaniem dorosłych. Było to dławiące w gardle uczucie czułości i zachwytu na pięknem jej drobnej figurki i nad jej kruchymi nagimi ramionkami. Nigdy później jej nie widziałem. Wyniosło mnie z Litwy i nawet nie obchodziło mnie, co dzieje się w Suryszkach. W latach niepodległej Litwy Kudrewiczowie gospodarzyli w swoim majątku. U Gięsztora figuruje Jan Kudrewicz jako pośrednik do spraw włościańskich w r. 1861. Aresztowany w 1863, był więziony w Kownie, ale, podobnie jak Syruc, nie został zesłany i Suryszki nie zostały stracone. Zabrano je, kiedy wojska sowieckie położyły koniec niepodległości Litwy w r. 1940. Kudrewiczów deportowano. Tyle wiem, że młody Kudrewicz przeżył łagry, dostał się do armii Andersa i leży na cmentarzu pod Monte Cassino.

Landsbergowie. Tuż koło Świętobrości i Surwiliszek, Lauda, a tam nazwy znane z *Potopu*: Wodokty, Pacunele. Gięsztor opowiada o swoich bliskich współpracownikach z 1862 roku, a byli to Napoleon Jeleński, „K. Landsberg, towarzysz z Kaukazu Napoleona”, Adam Medeksza, Djonizy Skarzyński. Otóż Kazimierz Landsberg gospodarzył wtedy na Laudzie, w swoim folwarku Szabiszki pod Pacunelami. Rodzina Landsbergów nie była już niemiecka, niczym nie różniła się od całego po polsku mówiącego obywatelstwa. Kazimierz Landsberg, urodzony w 1805, ukończył wydział prawa na uniwersytecie wileńskim, pracował następnie w Warszawie i odbył całą kampanię 1831 roku jako podoficer ułanów. Następnie, za udział w spisku Konarskiego, został zesłany w żołdacy na Kaukaz. Po piętnastu latach wojowania, odznaczony orderem św. Jerzego i awansowany na oficera, wystąpił z wojska i osiadł w Szabiszkach.

Brat jego, Karol Landsberg, urodzony w 1800, wspomniany jest u Gięsztora jako jeden z pośredników z powiatu poniewiejskiego. W 1863 był jakiś czas więziony. Rodzinny majątek Landsbergów, Tryszkany, położony był na północ od Laudy, w stronę Poniewieża. Jeżeli pogląd Gięsztora na jedność Litwy i Korony był wtedy dość powszechnie przyjęty, nie znaczy to, że

tak miało być i później, bo niektóre rodziny miały opowiedzieć się za Litwą. Gabriel Landsberg (1852-1916) studiował w Moskwie, gdzie ukończył wydział prawa. Powróciwszy na Litwę, zaangażował się w narodowym ruchu litewskim i został przez władze carskie deportowany do Rosji. W 1904 osiedlił się w Wilnie i działał tam jako publicysta, aktor i reżyser początkującego teatru litewskiego. Pisał pod pseudonimem Żemikalnis i jest autorem paru sztuk teatralnych w języku litewskim. Jego syn, Vytautas Żemikalnis-Landsbergis, ur. 1893 w Linkajciach pod Poniewieżem, studiował architekturę na Politechnice Ryskiej i następnie na uniwersytecie w Rzymie. Czynn timer działał na rzecz niepodległej Litwy, w latach międzywojennych wykładał architekturę na uniwersytecie kowieńskim. Na emigracji od 1944 r. wrócił z Australii w 1959 na Litwę i zdołał zrealizować wiele swoich urbanistycznych projektów, m.in. nowe rozwiązanie Placu Katedralnego w Wilnie. Vytautas Landsbergis, działacz Sajudisu, jest jego synem.

Gombrowiczowie. Nie znam pochodzenia nazwiska Gombrowicz. W lutym 1863 roku odbył się zjazd obywatelstwa w Kownie, który posłużył za pretekst do aresztowań. Gięysztor wymienia następujących aresztowanych: „Z Kowna Konrada Chmielewskiego, z Wilkomierza Ignacego Wielickę, z Poniewieża Bolesława Czerniewskiego i Onufrego Gombrowicza, z Szawel Kazimierza Piłsudskiego i Feliksa Rymkiewicza, z Telsz Dominika Bonarskiego i Zenona Wojszwillę, z Rosień Franciszka Billewicza, Konstantego Przeciszewskiego i wszystkich ich wywieziono do fortecy Dyneburskiej”.

Ten zestaw nazwisk: Gombrowicz, Piłsudski, Billewicz, jest dla mnie smakowity. Z przypisów wydawcy do *Pamiętników* dowiadujemy się tylko, że „Gombrowicz Onufry, z Linogir w powiecie poniewieskim, był na wygnaniu w gubernii tambowskiej. Po powrocie do kraju mieszkał w Jakubowicach w Królestwie”. Witold Gombrowicz nazywa udział swego dziadka w powstaniu „rzekomym”. I rzeczywiście zjazd w Kownie był zwołany przed wieścią o powstaniu w Koronie, a kiedy powstanie na Litwie wybuchło, Onufry Gombrowicz siedział już w twierdzy. Chyba że go zwolniono i znowu został o coś oskarżony. W każdym razie stracił majątki, które Witold Gombrowicz wymienia jako Lenogiry, Mingajłów, Wysoki Dwór.

Krewni Gięysztor. Do powstania poszli dwaj bracia cioteczni Gięysztor, szesnastoletni Edmund i piętnastoletni Ignacy Sztengelmejerowie. Byli uczniami gimnazjum w Kiejdanach. Dziadek ich, niemiecki lekarz, słabo mówił po polsku. Jego syn, Ignacy, osiedlił się nad Niewiażą i ożenił z Emilią Zawiszanką,

ciotką Jakuba Gięysztor. Edmund Sztengelmejer poległ w 1864 roku nie chcąc złożyć broni, jego brat przedostał się do Francji, gdzie pracował jako robotnik, następnie studiował matematykę i umarł młodo na chorobę piersiową „której go nabawiły przejścia poprzednie”.

Z siódmej klasy gimnazjum w Wilnie poszedł do powstania dziewiętnastoletni Otton Zawisza, ale musiał wycofać się z powodu słabego wzroku. Następnie studiował w Petersburgu i jako inżynier pracował w głębi Rosji. „W ciągu ostatnich lat mieszkał w Wilnie; w zatargach polsko-litewskich należał do jaskrawych separatystów litewskich. Jest autorem osławionego w swoim czasie „Hymnu litewskiego”, gdzie uczucia niechęci do społeczeństwa polskiego aż nazbyt wyraźnie podkreślił. Zmarł w r. 1910 w Nervi (pod Genuą) dokąd się udał na kurację”. (Przypisy).

Pamiętniki w kilku rozdziałach dotyczą też sporu o stosunki między Litwą i Koroną, bo nie wszyscy, jak Gięysztor, byli zwolennikami jednej Polski, zamiast Rzeczypospolitej. Tutaj głównym jego przeciwnikiem był Konstanty Kalinowski. Wypadki dwudziestego wieku całkowicie zmieniły tę postać, a że „umarli szybko jadą”, niewiele zostało z jego prawdziwych poglądów i dążeń. Ponieważ był najradykalniejszym w „komitecie ruchu” i chciał oprzeć powstanie wyłącznie na ludzi, nawet z wyłączeniem szlachty, znakomicie nadawał się na białoruskiego bohatera narodowego. W istocie nie był synem tkacza tylko szlachcica zarządzającego zakładem tkackim i jego językiem był polski. Pochodził z Grodzieńszczyzny i tak jak większość tamtejszych panów i szlachty swobodnie zapewne mówił po białorusku. Wydał w tajnej drukarni Rządu Narodowego kilka numerów pisma *Mużyckaja Prawda* i pisał odezwy po białorusku, np. *Pismo ad Jaśka Hospodara s pad Wilni da muzykow ziemli polskoj*. Istotne dla jego biografii są lata spędzone na studiach w Petersburgu w okresie największego wrzenia wśród postępowej inteligencji, której wyrazicielem był Czernyszewski. Gięysztor zarzuca mu uleganie obcym wpływom i niewątpliwie dla Kalinowskiego „ruch” w jego kraju rodzinnym był jedynie częścią szerszego ruchu wyzwolenia chłopów. Jego międzynarodowość widocznie wyczuwano, skoro w Wilnie lat międzywojennych miał swoją ulicę Sierakowski, ale nie było ulicy Kalinowskiego.

Gięysztor wystawia jego zdolnościom organizacyjnym i odwadze najwyższe świadectwo, pasując go na najczynniejszego przywódcę powstania. Chwaląc nawet jego dyscyplinę, bo kiedy „komitet ruchu” podporządkował się „białym”, Kalinowski pod-

legał Gieysztorowi. „Była to natura gwałtowna, lecz prawa, bez najmniejszej obłudy. Oddany duszą i sercem ludowi i ojczyźnie, lecz przesiąkły krańcowymi teoriami, przytem litewski separatysta, a w słowach demagog krwiożerczy. Był on nieporównanym, wzorowym konspiratorem, duszą Komitetu, doskonałą ręką do wykonywania rozporządzeń, któreby sam podzielał. Lecz za mało miał wykształcenia, prócz tego zaś cechował go brak szczerego, politycznego poglądu i, co najważniejsza, zupełna niezajomość ludzi”.

Ale co Gieysztor rozumie przez „separatysta litewski”? „Gdy powstanie wybuchło, przeważnie on z Rządem warszawskim spierał się o powiaty zachodnie gubernii grodzieńskiej, bo Kalinowski był przytem separatystą do pewnego stopnia”. Czyli był zwolennikiem odrębności Litwy historycznej. Doprowadziło to do ostrego sporu w łonie konspiracyjnego Wydziału, z powodów praktycznych, bo zarzucając Warszawie niezajomość stosunków na Litwie, część organizatorów, z Kalinowskim na czele, chciała ukonstytuować się jako Komitet Rządzący Litwą, czyli niezależny rząd. Nb. Kalinowski już poprzednio, przed połączeniem się „czerwonych” i „białych”, zaraz po manifestacji Rządu Tymczasowego z 22.I.1863 utworzył Litewski Komitet Prowincjonalny i wydał manifest do ludności. Pewnie dlatego ks. Mackiewicz, z tej samej radykalnej grupy, nie czekał na „wyznaczony” dzień. Gieysztor z wielkim trudem zdołał przekonać wręczcie swoich podkomendnych i utrzymać zależność Wydziału od Rządu w Warszawie. Litwę Kalinowski pojmował jako obszar geograficzny, nie językowo, bo zresztą sam pochodził z ziem białoruskich.

Niemalże w ustach Gieysztor, który był przecie „biały”, pochwała męstwa Kalinowskiego, zwłaszcza w końcowej fazie powstania: „Był to wzór wytrwałego konspiratora; on jeden tylko mógł całe miesiące w Wilnie, w czasie największego terroryzmu, pracować jak umiał. On, którego gorliwie szukano, na każdą egzekucję przychodził do bram Dominikańskich, widział prowadzonych na śmierć i pod grozą zaarrestowania codziennego ani na chwilę energii nie stracił”. „Od 1 sierpnia 1863 roku do zaarrestowania w styczniu 1864 Kalinowski był ożywym duchem dogorywającej litewskiej demonstracji”. „Po arestowaniu odpowiadał z całą godnością, mieniąc się dyktatorem Litwy, a jeżeli prawdą było, że wyrzekł na ostatnich w komisji zeznaniach, iż umiera spokojny, bo w znacznej części dopiął celu: 'lud ma ziemię, a szlachty o połowę się zmniejszyło', dowodziłoby to, że został wierny słowom, które mi mówił u Franciszka”. Stracony 22 stycznia 1864 roku.

Nie powinienem zapominać o czasie i miejscu, gdzie to piszę. Na amerykańskim zegarze tamto powstanie to czas Wojny Domowej. Oglądałem w telewizji rzetelny film dokumentarny o tej najkrwawszej z wojen dziewiętnastego wieku i zastanowił mnie jeden szczegół. Otóż zakład fotograficzny specjalizujący się w fotografiach z pola bitwy, w których nie szczędzono okropności, zrobił na tym fortunę, ale z chwilą ustania działań wojennych zainteresowanie publiczności skończyło się jak nożem uciął i zbankrutował. Możliwe są różne tłumaczenia, jedno z nich to chęć szybkiego odsunięcia w przeszłość wojny bratobójczej.

Powstanie na Litwie jest trudniejsze do odsunięcia. Zanim zrosło się z Mickiewiczem i procesem Filomatów, z Wilnem za Murawiewa-Wieszatiela i szubienicami na Łukiszkach, z mitologią stworzoną przez Grottgera w „Lithuanii” i ciągle odnawianą w literaturze. Nie można do niego nie wracać, kiedy myśli się o najnowszej historii dwóch krajów, Litwy i Polski. Paradoks polskich dziejów polega na tym, że wszystko zostało *tam*; Wilno Mickiewicza i nawet grottgerowskie obrazy powstańców w litewskiej puszczy. Żeby chociaż rok 1863 w Polsce był ludowy. Gdzie tam, chłopci wiązali powstańców i dostarczali Rosjanom, a bili się chłopci litewscy. Jak z tym dziedzictwem radzić sobie będą nowe polskie pokolenia, trudno przewidzieć. Ale i litewskim nie będzie tak znów łatwo.

Kiedy Gieysztor z uporem stara się utrzymać jedność Litwy i Korony, na miejsce Rzeczypospolitej Obojga Narodów podstawiając słowo „Polska”, wyraża poglądy obywatelstwa na pewno obce ich przodkom. Nie mam danych żeby sądzić, że mój pradziadek Syruć, o czysto przecie litewskim nazwisku — Syrutis — był innego zdania. Oceniając te poglądy, nie można nie myśleć o ich konsekwencjach w dwudziestym wieku. Przedłużając linię polityczną Gieysztor, otrzymalibyśmy zapewne stanowisko polskich nacjonalistów. Stanowisko to było popularne wśród mówiącej po polsku ludności Wilna, a zwłaszcza wśród młodzieży z „korporacji” ale nie obiecywało żadnego rozwiązania narodowościowych sporów i godziło w jakiegokolwiek próby wskrzeszenia Wielkiego Księstwa. Współcześni Gieysztorowi „separatyści litewscy” byli bardziej dalekowzroczni, choć też mieli przegrać. Ich spadkobiercą był Piłsudski, patriota Wielkiego Księstwa, który szczerze dążył do federacji, pojmowanej jednak zbyt paternalistycznie, żeby mogła przyciągać Litwinów i Białorusinów. Być może gdyby w dziewiętnastym wieku powstał ruch „krajowców”, dążących do równouprawnienia języków i narodowości, sprawy te w wieku następnym wyglądałyby nieco inaczej. Wileńscy „krajowcy” w okresie międzywojennym byli jednak zupełnie izolowani.

Wątpię czy Gieysztor mógłby przewidzieć, jak potoczy się historia jego rodzinnego kraju i co będzie działo się kiedyś nad Niewiażą. Może nawet niesprawiedliwe jest umieszczanie go wśród nacjonalistów, skoro wykazywał taką wrażliwość na potrzeby mówiącej innym językiem wsi w jego stronach. Obcując z nim odkrywamy ogólne prawo takich spotkań w czasie: tamci ludzie żyli wśród sprzeczności, które tylko dla nas są sprzecznościami.

Czesław MIŁOSZ

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00
natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept
krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,

12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Z ukosa

Co było złe — pogorszyło się. I potwierdza się zasada, że co jeszcze całe, podzieli się. To już niemal wojna domowa, na skalę naszego M6. Klóćą się w salonach, w pokojach, w przedpokoju, a w toalecie czasem dochodzi do opluwania. I to wszystko nasi, nasi, nasi. Nie wiadomo, kto ma rację, zresztą przestaje to być ważne, bo kiedy zaczyna się konflikt, emocje są tak duże, a formy tak brzydkie, że już tylko to staje się paliwem dla niechęci, a nawet nienawiści. „Spektakl naszych sporów, nasze dziwne igrzyska. Tej zawziętości nie pojmuję” — dziwuje się intelektualista Jacek Woźniakowski, właśnie wygryziony z funkcji prezydenta miasta Krakowa. Ta zawziętość ma podłoże neurotyczne, panie Jacku. Wiem, że to niewiele wyjaśnia, ale każe szukać odpowiedzi nie tylko w sferze racjonalnej.

Horror w telewizji, rozłamują się redakcje pism, dzielą polityczne partyjki (ROAD, PPS, nawet „Solidarność Walcząca”), zaraza schodzi na dół, do biur i fabryk. Konflikt zasadniczy jest pomiędzy ogólnie pojętym Centrum a równie ogólnie pojętym ROAD, zaś dwie przeciwstawne idee to akceptacja Wałęsy lub jego negacja. W szczegółach jednak nie wiadomo, o co idzie spór, ale wiadomo, kto po której jest stronie, nie ma więc walki koncepcji, jest walka osób. Ile kwiatów zostanie zasadzonych? Na górze króluje polityka bez polityki, na dole myśli się tylko o pieniądzach, ale one jeszcze nie w pełni prawdziwe. Gdyby więc jakieś dziecko zapytało, czym dzisiaj zajmuje się Polska, należałoby odpowiedzieć: dwiema bajkami. Nic dziwnego, że w tej sytuacji autorytet wszystkich Autorytetów osypuje się jak piasek z piaskowych babek. Popularność prezydenta zsuwa się po belwederskiej skarpie, gdzie nocą słychać jak kaszle i szpetnie klnie duch Marszałka pochylony nad nieudanym pasjansem.

Po aborcji na problem nr jeden w kraju wysunął się popiwiek. Cóż za niezwykle słowo, apetyczne jak piana zwisająca z kufła pełnego piwa. Ten „popiwiek” ma jednak wewnątrz o paskudnej nazwie „podatek od ponadnormatywnych wynagrodzeń”. Popiwkowy problem, najwyraźniej bękart przedwyborczych obietnic, wyrzusza strajkową falę i podobno może nawet poderżnąć gardło naszej reformie, za którą głaszcze nas po głowie bogaty wuj z Ameryki — tacy dzielni, inni by nie wytrzymali. Nie wytrzymują.

Obiecana likwidacja popiwku to tylko jedna z wielu obietnic cacanek przedwyborczych. Miało być wymiatanie nomenklatury, a o mały włos na prezesa NIK-u nie mianowano, po prezydenckiej protekcji, ekspozycyjnej posłanki. Na szczęście nie widać nigdzie robotniczych brygad, które miały zwalczać panoszącą się przestępczość. Wymieniać nomenklatury nie można, bo już coraz częściej nie wiadomo co to takiego — a jeśli wiadomo, to nie ma ludzi na wymianę, bo nadal nie działa żaden mechanizm wyłaniania kadr oprócz towarzyskiego. Zresztą w kuźni na górze wielki kowal wykuł formułę, że starzy są doświadczeni i boją się ścięcia, a ta mieszanek znakomicie im służy w pracy — to nie koniec ich zalet — nowi ludzie to amatorzy, a do tego goli, a więc ulegną wdziękowi władzy. Napisałem to lekko, ale serio, bo cytuję nie byle kogo. Co gorzej, z moich własnych obserwacji niestety wynika, że ta prymitywna wizja ma w sobie twarde korzenie prawdy.

No tak, ale masy głosowały na te wszystkie niespełnione wizje, więc co teraz? Masy mają krótką pamięć, ale długie łaknienie, a łaknienie karmi pamięć.

Załamanie zainteresowania polityką i ekonomią, poza ekonomią własnej kieszeni, jest dotykalne jak guz na głowie. Ilekroć pytam znajomych, co słychać w kraju — nie wiedzą o czym mówić. B., jeszcze wczoraj roznamietniona politycznie, po długiej chwili namysłu odpowiada: „Sprzed naszego bloku ukradziono 8 samochodów i było 6 włamań do mieszkań”. Potem skarży się na brak czasu i pogoń za pieniędzmi. Żadnego zainteresowania życiem publicznym. Jej autokomentarz — „przez tyle lat mój kraj nie interesował się mną, więc sama zaczęłam interesować się sobą i rodziną, i na nic więcej już nie mam siły”.

Od rabinów naszej ekonomii można dowiedzieć się, że jest dobrze, chociaż leżymy w samym środku kilkunastu błędnych kół. Pacjent już niemal umarł, ale operacja niemal na pewno jest udana. Medyczne terminy czepiają się jak rzep naszej sytuacji. Zabiegi jakie się czyni przypominają leczenie choroby nowotworowej przy pomocy naświetlania, pacjent łysieje, słabnie, ale póki co nie ma przerzutów. Nagle rentgen wykazuje ślady inflacji. Szepty — co będzie, daj Bóg niezłosiwa?

Nadal nie ma odbudowy tkanki gospodarczej. Podobno wykonanie jakiegokolwiek ruchu dającego szansę na pobudzenie rodzimej aktywności ekonomicznej zniszczy subtelny welon naszej finansowej stabilizacji. Trzeba więc stać zupełnie nago na północnym wietrze i patrzeć, jak cwaniacy spluwają, a z ich śliny rosną fortuny. Natomiast kraj nadal utrzymują wielkie postkomunistyczne mamuty, problem w tym, że skazano je na śmierć. One jednak wykazują nadprzyrodzoną odporność, a to prowadzi do rozpaczliwych reformatorów. Co będzie, jak w końcu padną?

Nie ma w sklepach kolejek, ale życie znowu coraz cięższe. Nawet jeśli te wszystkie okropne niedogodności są konieczne, to nadal nikt nie potrafi tego wytłumaczyć prostemu człowiekowi. Człowiek skomplikowany nawet jak nie zrozumie, to będzie udawał, że rozumie, opierając się o ramię zaufania do specjalistów. To zaufanie jest czymś ogromnie niepokojącym, bo ewentualny błąd dotyczy 40-milionowego organizmu. Człowiek prosty u nas jak nie rozumie, to z nawyku jest przekonany, że go oszukują. Jeśli więc nie daje się tłumaczyć w słowach, to należy na obrazkach. Potrzebę języka obrazkowego dostrzeżono na wyżynach naszej władzy, co stwierdziłem osobiście, ale jak na razie istnieje trudność obiektywna, bo nikt nie umie tego narysować.

Każdy nowy, który wchodzi na szczyty władzy, z reguły wpada w dołek zostawiony przez cierpienia poprzedników — jeżeli uczciwy, to mówi — łatwo było przedtem krytykować, trzeba tu wdrapać się, by poczuć, jak trudno jest wykonać jakikolwiek ruch na tych wysokościach, gdzie brakuje tlenu.

Kiedy czytam polskie pisma, z *Kulturą* włącznie, mam wrażenie, że wszyscy wszystkich pouczają. Oto wielka szkolna klasa, gdzie w ławkach siedzą tylko plecy, a za to przy tablicy jest tłum gestykulujących gąb i każda ma przyklejony wyraz zacierzonej dydaktycznej pewności siebie. Ja też tam stoję i mądrzę się.

Podejrzewam czasami, że to odmienianie na wszelkie sposoby — nie tak, ale głupota, nie wolno — to tylko różne formy ucieczki od odpowiedzialności. Są owszem takie sytuacje, kiedy odpowiedzialności wziąć się nie da, nawet za pieniądze, nawet po alkoholu i przy muzyce, ale czy właśnie taką przykrość teraz mamy? Prościej nasza słabość, wyczerpanie organizmu i niemoc pokrywana wzdęciem klatki piersiowej.

Spotkania znajomych po dłuższym czasie niewidzenia, to najpierw delikatne chodzenie wokół, nie za blisko nie za daleko, potem subtelne zbliżenie z baczeniem na szczęki i nagle pod ogon: wachać kto jest kto. Szukanie woni Mazowieckiego, Bujaka, *Gazety Wyborczej*. Zapach *Gazety* dla wielu szczególnie ostry, jak czosnkowa esencja. Inni poszukują zapachu Endecji, Chadecji, święconej wody i mecenasa Chrzanowskiego. Co za bogactwo zapachów ujawnia nasza wolność, jak atrakcyjne stały się nasze polityczne podogonia.

Wznoszenie partii politycznych na personalnych niechęciach jest możliwe, ale czy budowle stojące na takim fundamencie mogą mieć okna i drzwi?

Niemal wszyscy moi znajomi są już na dworach, bo w Polsce nie ma kapitału, nie ma majątków, ale są dwory wokół osób i ideek, bo idei też nie ma. Dwory są małe, raczej ubogie, tylko emocje na nich bogate. Największy oczywiście jest dwór Wałęsy, ten z prawdziwego zdarzenia. Tam krążgankami prze-myka się w środku nocy Stefan Kisielewski uzbrojony w całodobową przepustkę. I coraz częściej słyszę, jak bije dla wielu ostatni dzwon, by wywinąć się spod nożyczek, które strzygą, zmieniając wczorajsze lwy podziemia w strzyżone pudle z kokardkami. Poprzedni reżim naprodukował niezwykłą ilość takich podstrzyżonych, kręcą się teraz szukając nerwowo dla siebie miejsca w nowej sytuacji, ale od razu widać, że to nie pudle, a kundle, z kompromitującymi strzępkami czerwonej wstążeczki.

Spotykam D. Od niedawna ważna figura. Pamiętam go z czasów gdy stał bezradnie na peronie, cierpiał i czekał, ale nie powiem, że cierpliwie. W końcu pojechał, a może nawet poleciał samolotem, i jego oczy już nie mają rozpaczliwego wyrazu młodzieńca umówionego na randkę, któremu nie przyjeżdża tramwaj. Zdążył za to w ciągu miesiąca złapać fatalną opinię. To się teraz w Polsce łapie łatwo, jak chorobę weneryczną. A przecież D. ma świetną biografię. Ciągnie ją teraz za sobą jak skrzydła sflaczałe i wytysiałe z piór. Nie wiem kto ma rację w tym jednym z miliona sporów. On jednak niespokojny, bo niepewny po której stronie barykady jestem — kraj cały w barykadach — więc idzie ku mnie ostrożnie jak saper do miny. Odnajduję w jego giętkich ruchach własne obawy, gdy zbliżam się do tych, których dotknąłem albo mogłem dotknąć czułką swojego tekstu. A co do wytysiałych i sflaczałych biografii, to ich liczba rośnie epidemiologicznie. U byłych więźniów, działaczy różnych podziemi, kształt tego zewłoku przypomina skrzydła. Należy ostrożnie chodzić, by nie nadepnąć, bo to jednak świętość. Ale nawet

te włączone twory wzbudzają wielką zazdrość właścicieli biografii nomenklaturowych. Oni ciągną za sobą żalodne wola, nabrzmiałe i sine. Znam takich, co próbują je gdzieś ukryć, pracują po nocy, ale nie dają rady, zawsze jakieś paskudztwo wystaje. Co za cierpienia, jakby ktoś chciał pumeksem zmyć grzech pierworodny.

Wyżej wspomniane dramaty dotyczą oczywiście towarzystwa, które porusza się w okolicach szeroko pojętej władzy, czy w rejonach nabrzmiących moralnie jak tereny artystyczne i naukowe. Bo poza tym wąskim marginesem króluje sfera przełyku i odbytu, gdzie biega się wokół pieniędzy albo ich braku.

Sejm nie zaplanował samobójstwa na maj, chce jeszcze pożyć, zabije się na jesieni. Wałęsa dąsa się, a z jego okolic dochodzą połajanki, które przypominają odgłosy klapsów, jakie dawał niegdyś sejmowi Piłsudski. W obozie Centrum, chrzczonym właśnie na Chadecję, wielki zgilek. „Odwołanie wyborów na jesienne słoty to nóż wbity w serce naszej wolności. To zdrada narodu, to hańba”. Wczoraj oskarżani o zdradę dzisiaj to zwracają, jak łatwo im przychodzi, nie trzeba nawet wkładać palca do ust. Krzyczą też o spisku nomenklatury, którą podejrzewa się, że po kryjomu przylazi nocami do łóżka Road i Unii. Spisek, spisek, spisek. A profesor Geremek też mówi, że to spisek, ale spisek obozu władzy wymierzony w siły mazowiecko-podobne. Jego wielka inteligencja ubrana jest w ton tak kaznodziejski, że dławię się kłakami z tego karakułowego futra. Co ja na to poradzę, że ci, których muszę cenić, którzy nadal mi najbliżsi, a wczoraj nawet kochani, teraz tamują mi oddech plastikowym tonem i ostrym zapachem perfum na pawich ogonach. Gdzie teraz pójść, do kogo się przytulić?

Wydaje się, że nomenklatura zaczyna dzielnie przejmować funkcje Żydów. Będzie więc można wkrótce nawiązywać kontakty wymianą ciepłych uwag, jak to drzewiej bywało z żydkami.

— To panie przez tą nomenklaturę, nawet pogodę zepsuli.
— Wszędzie wepchnie się tałatajstwo.

Gdyby trzeba było dzisiaj skonstruować monstrum narodowe, źródło wszelkiego zła, byłby to nomenklaturowy Żyd homoseksualista zarażony aidsem.

Porozumienie Centrum i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe deliberuje nad ustawami antykomunistycznymi, gdzie sprawdzano by czystość krwi aż do żłobka. Ciekawe, czy niemowlę karmione skażonym mlekiem z komunistycznej piersi wedle tych projektów będzie mogło w stanie dorosłym piastować państwowe funkcje?

Kościół polski nieustannie chwalony, że chociaż triumfujący i mógłby pójść jeszcze dalej, jednak nie idzie. Nie wiem czy włożenie do łóżek obywateli to pójscie daleko czy blisko? A na prowincji są już miejsca, gdzie księża zaczynają współwładać, co zresztą nastawia wrogo wiernych. Faktem jest, że w skali kraju szybko ostatnio rośnie liczba zwolenników aborcji, co wykazują badania opinii publicznej, i maleje autorytet Kościoła. Problem aborcji, jeszcze nie ujęty w prawny pas cnoty, budzi żywe namietności. Prasa doniosła o pewnym młodzieńcu w Szczecinie, który, cytując: „W piątek rano, przy jednym z bocznych ołtarzy szczecińskiej katedry (...) obciął sobie narządy płciowe, protestując w ten sposób przeciwko zakazowi aborcji”. Zakończenie komunikatu jest wyraźnie optymistyczne, bo chociaż medycy ocenili stan poszkodowanego na średni, to okazało się, że „pacjent jest trzeźwy i szczęśliwy z tego co zrobił”.

Dotychczas w tej sprawie pisano petycje i szarpano się przed Sejmem za włosy, teraz jak widać czas przejść do czynów. Stronnictwo Narodowo-Chrześcijańskie zapowiada atakowanie miejsc, gdzie sprzedaje się pornografię i środki antykoncepcyjne. Wydaje się, że obie strony mogą dojść do porozumienia. Jeżeli rzesze naszej młodzieży ruszą śladem dzielnego kolegi i złożą na ołtarzach w ofierze źródło wszelkiego zła, pornografia i jej obrzydliwa kuzynka antykoncepcja umrą śmiercią naturalną.

Spotyka mnie przyjemność rozmowy z postacią ze szczytów. Na jej czole jeszcze lśni szron zdziwienia, że nagle tak wysoko. I wyraźna pociecha, że to pewnie na chwilę. Poczucie bliskości, bo mamy oczywiście bliźniacze biografie, wspólne wesole zabawy ze strażnikami dawnego ustroju i można się popieścić wspomnieniami.

— No i co, przekabacił Pan już wszystkich na Mazowieckiego? — pyta On z ironicznym uśmiechem. Mówię, że nie, bo nie kocham Mazowieckiego. Spojrzał i usłyszałem w Jego spojrzeniu pianie koguta. Zacząłem się tłumaczyć, że owszem głosowałem na Mazowieckiego, ale łzy płynęły mi ciurkiem po wewnętrznej stronie policzka. Bo jak na mniejsze sło były premier wydawał mi się okropnie duży. Bez sensu, że się tłumaczę, bo On i tak nie wierzy i czytam w jego oczach — „zaparł się”. A ja myślę — wiedziałem, że w kraju duże emocje, ale że tak duże, iż zalewają nasze szczyty, to jednak zaskoczenie. Ta nowa Góra o wiele mniej nadęta od Góry poprzedniej, ale o ileż bardziej prowincjonalna i chuda w konwersacji. Naprawdę jednak ważne na ile są fachowi, co możliwe, ale niepewne. A nasza szarża do Europy wymaga od nowych ekip napoleońskich talentów. Nie ma Napoleona, nie ma jego generałów, już nawet naszych szwoleżerów nie ma. Jest Wisła, ale w stanie, pozał się Boże.

Ojcowie naszej operacji ekonomicznej Leszek Balcerowicz i Jeffrey Sachs są nadal optymistyczni, szczególnie na wynos. Balcerowicz trochę spuszcza z tonu przestrzegając, że tak powszechny pesymizm i propaganda kłęski uruchamiają prawo samospelniającej się przepowiedni. Jako pesymista i kłęskowiec speszyłem się nieco, że a nuż dokładam się do nieszczęścia. Ja ten amerykański optymizm rozumiem i nawet popieram, bo *keep smiling* ma swój leczniczy sens, maska uśmiechu uruchamia mięśnie i ścięgna, które automatycznie wyciskają soki optymizmu z ukrytych w mózgu owoców.

Jeffrey Sachs, którego spotykam, robi stanowczo za dobre wrażenie, młody, przystojny, inteligentny, uśmiechnięty. Gdybym był poważnie chory na wstydlivą chorobę, chciałbym żeby mnie leczył. Problem tylko, że nasza choroba należy do chorób wstydlivych, ale orientalnych, gdzie nie wystarczy najwybitniejszy nawet amerykański internista. Rozmawiamy przez chwilę, ale wystarczająco długo, bym zaczął obawiać się czy nie ucierpi na tym nasza reforma. Staram się wyluszczyć swoje niepokoje. A więc wyjmuję z worka polskiego cielaka o wielogłowej duszy. Skoro kłopot z tym polskim pokrętem miał nawet Dostojewski i ograniczył się do niechęci, to nic dziwnego, że biedni mieszkańcy drugiego pośladka ziemi zdają się bezradni. Pytam, czy dostrzegł w naszym kraju ten neurotyczny smutek, który potrafi zepsuć wino najbardziej wytrawnej reformy. Zastanawia się i przyznaje, że to go chyba najbardziej uderzyło, gdy był w Polsce po raz pierwszy — smutek. „Przez cały czas mego pobytu w Warszawie ciężki smutek zasępiał me czoło. Chociaż sklepy i kawiarnie były otwarte, ulice pełne przechodzących, smętność jakaś wisiała nad całym tym miastem”, zanotował rodak Sachsa bawiący przejazdem w Warszawie w roku 1839. Kilkanaście lat później duński krytyk Brandes pisał o pobycie w Polsce: „Każdego cudzoziemca uderzyć musi okoliczność, że ilekroć spotyka on większą masę ludności np. na spacerach niedzielnych po głównych ulicach, nigdzie nie widać u mieszkańców owego zadowolonego i wesołego świątecznego wyglądu, który cechuje ludność innych wielkich miast. Tu przeciwnie, gdzie spojrzysz, oblicza posępne i frasunku jakiegoś pełne”.

Spotkanie grupy intelektualistów z Europy Wschodniej. Jest Serb, Węgier, Słowenicy, Estonka, Rumunka, są Rosjanie. Nasza wschodnia arytmetyka wolności — bezradność i smutek — dodawane, mnożone, dzielone. W najlepszej kondycji są Rosjanie, upijają się i oczywiście zaczynają śpiewać, nadymają się przy tym jak patetyczne balony, obnażając nomenklaturowe złote i srebrne zęby. Ale w ich barytonach nie ma już potęgi imperium — tańczące hipopotamy w cyrku. Nie wiem, co o nich myśleć

— mieszam współczucie i sympatię z pogardą, po czym piję z trudem ten napój. Trącają się ze mną kieliszkami Słoweńcy, zdają się pić to samo — są chyba najbardziej europejscy z całej naszej gromadki.

Nasze wielkie magazyny zawiści — bo kto się w Polsce zrealizował, kto ma poczucie spełnionego życia? Poczucie przegranej dotyczy tak przeszłości, to pół biedy, jak i przyszłości. Kiedyś młody człowiek wiedział, że będzie czekał na mieszkanie 10 lat, potem 20. Gdy terminy zmierzały w kierunku półwiecza, przyszła nagle wolność, miała twarz młodej dziewczyny, ale bezębne usta starca — tymi ustami powiedziała — nie ma żadnych mieszkań, żadnych terminów. Jak się wszystko poprawi, to dostaniecie.

Nasza młodzież (ta inteligencka) — to osobny temat wart rozwinięcia. Ich gwałtowna i łapczywa ucieczka od polityki, ich brutalność, która jednak dotyczy tylko podważania wszelkich autorytetów. Ładnie to widać na polu literackim. Co za przyjemność kopnąć np. Miłosza, ale ten bucik, jaki on mizerny. I gdzie wasze dzieła, nawet wasz bunt cherlawy. Słabość tej negacji, bo stoi za nią tylko bezradność. Jako że to są już nasze dzieci, zgryzota podwójna. A właściwie potrójna, bo o ile byłoby gorzej, gdyby akceptowali zastany świat.

Polska nacja to szczególne skrzyżowanie szlacheckich ambicji z chłopskim niechlujstwem, które jednak uparte i nie strawi własnej gorszości wobec sąsiada. Tak oto 40 milionów schłopiałej szlachty obudziło się nagle na brzegu, od którego odpływa Europa. Na pokładzie bawią się, zrą, piją, tańczą, a my na brzegu, chociaż wolni, ale źle ubrani i bez pieniędzy — nie wpuszczają.

Na takiej glebie, gdzie wielkie ambicje przeplatają się warstwami z poczuciem przegranej, rosną najbardziej wyrafinowane okazy zawiści. To uczucie jest szczególne, bo jego obrzydliwość każe je ukrywać przed samym sobą. Maski, pod którymi kryje się zawiść, tworzą niebywałą różnorodność zasłon. A pod tą pokrywą następuje efekt cieplarni i zawiść rozwija się jeszcze pełniej i bujniej.

Zawiść zwykle objawia się jako mały guzek, nie większy od główki szpilki, i dopiero jakiś wielki zabieg chirurgiczny może ujawnić, że ta główka ma tułów dinozaura. Suma naszych indywidualnych zawiści zdaje się tworzyć zawiść zbiorową — cały kraj więc leży na zawiści wobec świata, któremu się udało. To poczucie gorszości uruchamia mechanizm obronny w postaci deprecjonowania tamtego świata — udało im się, ale są głupi, albo podli, albo źli. I te nieznośne roszczenia — nam się należy,

bo skrzywdziła nas historia. Pod ciśnieniem okoliczności wyciskane jest to z rodaków, w kraju czy na emigracji, jak pasta z tubki. W rzeczywistości jednak prawdziwe jest przede wszystkim poczucie niższości, które mieni się wszystkimi barwami upokorzenia i rodzi depresję. Wolność miała być cudownym lekarstwem na wszystko — połknęliśmy... i jeszcze nam smutniej. Minęło zbyt wiele lat, śmietnik za nami, śmietnik przed nami. Tam gdzie stał nasz romantyzm zbudowano bar alkoholowy. Tylko to tłumaczy romantyczną cikliwość rzesz naszych alkoholików.

Odideologizowanie naszego życia, naszej polityki, naszego myślenia o przyszłości ma swoją szczęśliwą stronę, ale i stronę nieszczęśliwą. Liczą się już tylko fakty i konkrety, a nie nadzieje i złudzenia, które w gruncie rzeczy stanowią o przyjemności życia. I dają siłę do przetrwania złych czasów albo do pogodzenia się z faktem, że lepsze czasy będą dla potomnych.

Jeszcze raz wracam do stanu wojennego. To jednak on zламаł nam w kilku miejscach kręgosłup; po latach zróśł się, ale zostały trwałe uszkodzenia w systemie nerwowym. Przyznał mi się kiedyś do podobnych intuicji jeden z głównych architektów zabiegu łamania kości: „Nie było innego wyjścia — zasmucił się — ale zgadzam się — przyznał — że to źle się zrosło”. O tak, zrosło się fatalnie, organizm był zbyt osłabiony na regenerację. Ja też czuję w sobie zgrubienia po tamtych dramatach, dzisiaj już w środku pustych, bo wyjeżdżonych przez to, co dzisiaj wiemy o ich zapleczu, wyszydzonych przez wspólny taniec na balu u senatora z wczorajszymi oprawcami.

Zawieszenie „Obserwatora”, niezależnego dziennika telewizyjnego, przez nowe energiczne kierownictwo telewizji, spowodowało burzę, jakby publicznie na stole wolności zgwałcono wolność słowa. Wzruszył mnie odruch naszej inteligencji, niemal odruch bezwarunkowy ukształtowany w latach opresji, gdy wszyscy siedzieli w okopach wojny z komunizmem. Oto pojawiły się znowu zbiorowe protesty, gdzie nazwiska pisarzy wdzięcznie mieszają się z imionami zasłużonych działaczy społecznych. „Uważamy, że jest to drastyczny przykład naruszenia wolności słowa w Polsce przywodzący na myśl niedobre praktyki z przeszłości. Nie tędy prowadzi droga do demokracji”. Kogo tak pouczają weterani walki o wolność, naznaczeni wieloma bliznami, niektórzy nawet bez nóg, ale z licznymi medalami? A no przede wszystkim Mariana Terleckiego i Lecha Dymarskiego, czyli ich towarzyszy broni, sygnatariuszy wielu bliźniaczych protestów z przeszłości, nieugiętych działaczy podziemia od narodzin tego niezależnego świata. Czy to możliwe, by mogli oni zagrażać drodze do demokracji? Czyżbyśmy mieli różne demo-

kracje, do których dążymy odmiennymi drogami? Jak na razie o wiele łatwiej wydawać wszystkim wyroki niż stawiać pytania i wysłuchiwać odpowiedzi.

W jednym krótkim dzienniku radiowym dwie informacje z jednym mianownikiem. Minister stanu do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jacek Merkel, podaje się do dymisji z powodu przemęczenia. Szybko nabawił się tego bólu głowy. Rzecznik prasowy prezydenta zapewnia nas, że to normalne w normalnym kraju, w jakim już żyjemy. A Lech Wałęsa spotyka się z byłym prezydentem Jaruzelskim. Generał zapewnia, że to normalne w normalnym kraju. A ja zapewniam, że w żadnym normalnym kraju nie zapewnia się tak często o swej normalności. Jesteśmy nareszcie normalni — mówimy po przebudzeniu, w czasie dnia i przed zaśnięciem. Jesteśmy już zupełnie normalni.

A na marginesie warto by zapytać, po co właściwie Wałęsa spotyka się z generałem? Rozumiem, że generał uważa to za normalne, w jego środowisku niezwykle popularne było słowo normalizacja, o tak, normalizowano nas na słono, na słodko i w occie przez wiele lat. Generał twierdzi, że Wałęsa konsultował się z nim. Na Boga w jakiej sprawie — czyżby jak wprowadza się stan wojenny? A może to spóźnione pojednanie „Solidarności” z WRON? Ten znak zapytania powinien bardzo dużo ważyć, a unosi się nad naszymi wodami jak nieważki owad. Do tego już doszło.

Karol Modzelewski wydaje mi się postacią bardzo szczególną w naszej powojennej historii. Ten wybitny mediewista spędza tradycyjnie swe życie pół na pół w mrokach średniowiecza lub w blasku więziennej żarówki. Niezwykła ciepła inteligencja. I w jego oknie nie majaczy łeb zwierzęcia ambicji, które jak pasożyt rośnie w domach najszlachetniejszych polityków. Modzelewski był chyba najlepszym rzecznikiem prasowym „Solidarności” w jej pierwszym wcieleniu, a teraz na progu III Rzeczypospolitej ostrzega.

„Pogarszanie się warunków życia, któremu rząd nie przeciwdziała w odpowiednim stopniu, łączy się z poczuciem bezsilności, z przeświadczeniem o braku wpływu na to, co rząd czyni. A stąd może wynikać nieufność do instytucji demokratycznych, które dopiero zaczęły się kształtować. Zaś lęk przed przyszłością i nieufność do demokracji rodzą skłonność do poddania się rządowi autokratycznemu (...) Obawiam się, że proponowana w tych warunkach przez Wałęsę koncepcja prezydentury może sprzyjać zesłiznięciu się naszego kraju w kierunku autokratycznej dyktatury. A gdyby tak się miało stać, musiałbym zadać sobie pyta-

nie, które dotychczas tylko inni mi zadawali — po co osiem i pół roku siedziałem w więzieniu?”

Przesiedziałem z tych ośmiu i pół lat wspólnie z Karolem zaledwie kilka bardzo długich tygodni, może dlatego jestem w stanie poczuć ciężar tego pytania i czuję gdzieś z tyłu chłód, jakby włożył mi na plecy buldożer.

Spotkaliśmy się w miejscu, gdzie nawet szarość ma wiele odcieni, a każdy dźwięk posiada kilka warstw. Zaś skrzydła ptaków za przekreślonym oknem wydają się ciągnąć za sobą przestrzeń jak przezroczysty welon. Spotkaliśmy się tam, ludzie ze wszystkich warstw geologicznych kraju. Łączyła nas „Solidarność” i solidarność, sprzeciw, niezgoda, bunt... we wszystkich kolorach, jakie zna polska tęcza. Łączyły codzienne dziecińskie gesty i dojrzałe wieczorne rozmowy. Jak cała ówczesna Polska, ten obóz był pokracznym skrzyżowaniem cherlawego więzienia z dobrze zbudowanym i zdrowym sanatorium. Gdyby powiedzieć wtedy niektórym pensjonariuszom, że po kilku latach będą nawzajem bardziej się nie lubić, niż klawiszy, ministra K. i generała J., to nie zdziwiliby się — nie uwierzyliby.

Pamiętam przeprowadzkę do innej celi. Dla więzionych ogromnie ważne jest rozpoznanie kalekiego świata, nawet okrutne ograniczenia są do zniesienia, gdy znamy ich kształt. Zmiana miejsca to zastrzyk niepokoju, który sięga do trzewi dzieciństwa, jak odsunięcie od sutka. I otóż ta przeprowadzka, niewinna, bo przecież już widać było światła wolności, skończyła się pogonią za lepszą pryczą i wygodniejszym miejscem. Moje odstanie w tym biegu tłumacząc gapiostwem i brakiem doświadczenia, bo w dołku dusiła mnie złość, że się spóźniłem. Ale nie tylko. Ogarnęło mnie muskularnym ramieniem przerażenie — bo nagle ujrzałem jak rozpada się nasza solidarność i biegniemy do konfitur władzy.

Narasta w kraju chaos gospodarczy i polityczny. Jako że chaos jest wyższą formą bałaganu, nie przyjmuje lekarstw i na ogół poddaje się tylko cięciom chirurgicznym, to zastanawiam się, co może przeszkodzić ciemnym przepowiedniom. Czy przeszkodzi fakt, że skrajne rozwiązania na progu wolności nie mieszczą nam się w głowach? Jeżeli to nie pomoże, grozi nam stan wojenny, który będzie miał oczywiście inne imię, a czy wprowadzać go będą ofiary nocy długich łomów? — ironia historii nie zna litości, więc kto wie? W poprzednim tekście upierałem się, że nie będzie u nas dyktatury tylko dyktaturka, i stoję przy tym, ale niepewnie, jak pijany przy latarni, której stłuczono światło.

List z kraju od niezwykle w Polsce popularnej postaci i osoby wielkiego talentu. Mówiono kiedyś o takich ludziach — wielkiego serca. Dzisiaj serce kojarzy się raczej z mięśniem sercowym i z zawalem. Pisze: „Mam wszystkiego dosyć co dotyczy życia publicznego, mam dosyć Polski, narodu, polskiej kultury, reprezentacji i wszystkiego co bliskoznaczne”. Muszę powiedzieć, że mój mięsień sercowy skurczył się, bo byłem na wiele przygotowany, lecz nie na takie słowa z tej właśnie strony. K., zawsze tryskająca energią, zapalem i optymizmem, może być czujnikiem stanu rzeczy. Jeżeli błoto podeszło tak wysoko, że nawet K. nie ma czym oddychać, to moja wyobraźnia bije wszystkimi dzwonami na alarm.

Fragmencie listu: „Ludziom całkiem odbiło i już nawet sami sobie ze sobą nie radzą. I śmierdzi coraz bardziej faszyzmem w wersji azjatyckiej. Coś nam to poszukiwanie demokracji nie wychodzi”. Z jakiego kraju jest ten list? Mogę odpowiedzieć, że pisany jest po polsku. Ale oto następne zdanie, które myli pozornie łatwy trop: „Co do burdelu w eks-PRLu, to istotne abyś wiedział, co się dzieje tutaj. Pierze leci, a na dokładkę mamy jeszcze pod bokiem drugi naród wybrany”.

To list z Izraela. Cytuję go na pociechę, że kłębowska problemów są wszędzie, a my nadal mamy skłonność, by demonizować własną sytuację, a idealizować sytuację innych. Bo w końcu jak na Irak, czy nawet na Albanię, to bardzo u nas kulturalnie. Nadszedł czas, by przejrzeć na oczy — w Europie siedzimy tylko fragmentem siedzenia. Bądźmy więc dumni, że nasza pokojowa rewolucja nie dokonała żadnego mordy; z tego co wiem, nikt nie stracił nawet zęba. Opluwamy się tylko jak dzieci w piaskownicy. A poza tym... wielka kultura. I są miejsca w pobliżu, gdzie patrzą na nas jak na pełnogębną Europę.

Pouczająca lektura „Dziennika” Izaaka Babla pisanego w siodle armii Budionnego, która przesuwawała się ku Warszawie. Szarpane zdania jak kawałki surowego mięsa wyrwane wprawnymi palcami z tamtego czasu. Co najbardziej porusza pisarza w naszych zawszonych i rozpadających się miasteczkach? Ich europejskość.

„Bristol, kelnerki, zachodnioeuropejska kultura, człowiek na to zachłannie się rzuca. (...) I te opowieści — tu były dolary, pomarańcze, sukna. (...) Wiele by o tym pisać, uroda tej fasady Polski, to wzrusza, pani hrabino. Przeznaczenie, honor, Żydzi, hrabia Ledóchowski (...) Jak wchłaniam ten zapach Europy, to ciągnie stamtąd”.

I tak już zostało. Gdy nasze nosy skierowane na zachód krzywią się na tak liczne u nas azjatyckie zapachy, dla wzbierającej fali sowieckich uchodźców pachnie u nas obywatelsko Zachodem.

Naukowiec został przewodniczącym „Solidarności”, polonista jest ministrem pracy, robotnik siedzi na prezydenckim fotelu, muzealnik jest ministrem kultury (to nawet logiczne, ale pachnie XIX wiekiem), dwie partie polityczne skupiające inteligencję też oczywiście kierowane przez byłych robotników. Pojęcie „były robotnik” jest bliźniacze do pojęcia „były inteligent”, patrząc na naszą społeczną panoramę widzę wielu byłych inteligentów, byłych moralistów, byłych pisarzy, byłych opozycjonistów, byłych przyjaciół, byłych świętych, byłych komunistów, wszyscy w nie swoich rolach. Można by to mnożyć i nawet udowadniać, że nareszcie ruszyliśmy naszą bryłę z posad i wszystko jest możliwe. Czasami jednak wydaje się, że po trzęsieniu ziemi głowy pospadały z karków, a kiedy je powkładano, to widać, że zaszło wiele pomyłek. Ale największy problem, że w tym zawirowaniu nie wiadomo, kto czyje interesy reprezentuje, a są w kraju interesy, aż od nich huczy, jakby wolność wzburzyła rzeki i strumienie, którym nie dano brzegów, więc katastrofalna powódź w każdej chwili jest możliwa. Na razie zerwało już pierwsze mosty, o co nie trudno, bo dłonie tych mostów nie miały brzegów, by się ich chwycić.

Darowano nam sporą część długów, radosna wiadomość, z powodu której nikt się nie upił. (Miałby ochotę tylko sztab specjalistów, ale oni ascetyczni). Ten dług i tak przekraczał wyobraźnię obywateli, więc i jego redukcja jest poza światem pojęć. To trochę tak, jakby ktoś dostał podwójne dożywocie i jest wiadomość, że ma teraz tylko jedno. Wiem, że bluźnię przeciwko prawom ekonomicznym i że stało się dobrze. A więc wiem, że stało się dobrze, ale tego nie czuję i okropnie mi wstyd.

Dzwoni do mnie znajomy lekarz, jak zwykle nudzi mu się, gdy tak siedzi w szumie reanimacyjnej aparatury, gdzie ciemne i jasne moce toczą niewidzialną walkę o dusze unieruchomionych postaci podłączonych do okrutnej aparatury XX wieku. Mówi, że ma dosyć, przeraża go dzisiejsza Polska, ta spirala konfliktów, wszechogarniająca demagogia, nieuchronna katastrofa ekonomiczna, obojętność ludzi, która zmienia się w bezradność, a potem w gniew. „Tak śpieszyliśmy się do demokracji, że jak się wydaje już ją minęliśmy, nawet nie wiedząc o tym. Równie okropnie nie było za komunistów. Bo wtedy wydawało się, że to zły sen. Teraz jesteśmy już przebudzeni i wiemy, że koszmar nie minie”. On sam ma dosyć swojej pracy — nawet choroba i śmierć zbrzydły — zarabia teraz nieźle, ale pieniądze też chore. Nagle przerywa i słyszę w zamglonym tle niespokojne kobiece głosy, mówi, że musi kończyć, bo przywieźli kogoś w

bardzo ciężkim stanie. Krzyczę do niego — jak możesz narzekać, idziesz teraz ratować ludzkie życie, czy jest coś bardziej niezwykłego? — Ach — zachnął się. I tak zostałem trzymając w rękę stygnącą słuchawkę, przedmiot już nie z tego świata.

SMECZ

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Postłowie*.

Str. 276

Cena F. 145,00.

TOM 457

**POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA
W LATACH 1926-1939**

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

Wiersze

Tadeusz CHABROWSKI

PORANNY PACIERZ

Muszę do śniadania nakryć Ci obłok
cepeliowski, malowany garnuszek do kawy
dzbanek ze świeżo ubieranymi jagodami
bitą śmietaną z cynamonem i cukrem,
srebrną nitką wyszywane lniane serwetki
i postawić na straży niecierpliwą mrówkę
żeby weszła Ci w źle sfastrygowany rękaw
jak na chwilę zapomnisz o mnie.

FORMUŁKA KSIĘDZA WACŁAWA KATECHETY

Za pokutę wypijesz wywar z tataraku, przepłyniesz
Atlantyk na wielorybie, najesz się gryczanej kaszy;
nogę podstawisz siekierze jak się pokłóci z przydrożną
sosną, przez tydzień nie podrapiesz się za uchem;
swojej ciasnocie jak dziecku przebaczysz; na białym
prześcieradle uczuć, od czasu do czasu, pajęczynkę
mózgu podkarmisz aforyzmem; po każdym ciężkim grzechu
odciski palców zaniesiesz na policję a sumienie
jak kozła uczepisz do klamki kościelnej na powrozie.

Furlong, 91

Tadeusz CHABROWSKI

zować interesy — społeczne, państwowe, kultury polskiej, a tymczasem tam wszystko dopiero się kształtuje, zmienia. Wiemy już, że jesteśmy zupełnie inni niż byliśmy, i z każdą chwilą staje się to wszystko inne.

R. G.: — *Ale listę priorytetów mimo wszystko trzeba ułożyć...*

A. J.: — Przede wszystkim zmieniła się zasada: nastąpiła zmiana państwowego systemu organizacji wszystkiego, co było w Polsce, na zupełnie nowy system — prywatnej i osobistej odpowiedzialności. Wprawdzie jesteśmy przedstawicielami państwa i oficjalnymi osobami, co nam się zdarzyło po raz pierwszy w życiu, ale przede wszystkim opieramy nasze przekonanie, że mamy tutaj coś do zrobienia, na tym, że mamy własne poglądy, własny dorobek, własną pozycję w życiu, w zawodzie — twórczą, publicystyczną czy polityczną. Więc jesteśmy tu nie tylko reprezentantami, lecz przyjechaliśmy — chyba po raz pierwszy w historii powojennej Polski — będąc zarazem sobą. Czyli ja w żaden sposób nie mogę się wyzbyć tego wszystkiego, w czym wyrosłem, czego się dorobiłem, jeśli mogę tak powiedzieć. To samo dzieje się z całym naszym państwem, społeczeństwem, z naszym życiem. To życie się gwałtownie odpaństwia. Czyli jeżeli dawniej ktoś stąd chciał nawiązać jakąś więź z Polską — koncertować, zainwestować w przemysł filmowy czy zaprosić teatr — była na to prosta reguła: tam były ministerstwa, urzędy, od których decyzji wszystko zależało. Jeden zasługiwał na wyjazd, inny nie, jeden mógł się kontaktować z zagranicą, inny nie mógł, i tak dalej. Była więc pewna regulacja spraw. Teraz byłoby najszcześniejszym dla mnie wyjściem, gdybym mógł człowieka skontaktować z człowiekiem. W tych sprawach byłoby najwłaściwsze, aby odpowiedzialności nie ponosiły instytucje państwowe, lecz ludzie, tak jak ja staram się ponieść odpowiedzialność za to, co tu robię nie jako państwowy urzędnik, tylko jako ja. A co do zakresu spraw — to rzeczywiście jest ich ogrom. Poza reprezentacją tego, co dobre w Polsce — co nie jest łatwe, bo tego dobrego czy najlepszego nie mamy w nadmiarze — mamy sprawy centralnej wagi, a mianowicie: co chcemy zrealizować jako kraj, naród, państwo: żeby po latach nieobecności, po latach zepchnięcia nas (z powodu takiego a nie innego losu historycznego, który nas spotkał) do roli satelity ponurego mocarstwa, które zapisało się w historii pasmem zbrodni i przemocy, znaleźć się znowu w rodzinie europejskiej demokracji. Żebyśmy nie byli spychani na boczny tor. To nie są frazesy, proszę mi wierzyć — kiedy mówię o naszym głębokim przywiązaniu do ideału ludzkiej wolności, co się bierze i z chrześcijaństwem, i z tradycji średniowiecznych miast, i z wolności kmiecia

Wywiady „Kultury”

Nasz człowiek w Waszyngtonie

ROZMOWA Z ANDRZEJEM JARECKIM

RENATA GORCZYŃSKA: — *Pozwoli Pan, że Pana przedstawię: radca prawny ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Waszyngtonie od jesieni 1990 roku, poprzednio — dyrektor Programu II Polskiego Radia za prezesury Andrzeja Drawicza, z zawodu dramaturg, w młodości współzałożyciel Studenckiego Teatru Satyryków w Warszawie. Jak się Pan czuje w nowej roli, na tak odpowiedzialnej placówce?*

ANDRZEJ JARECKI: — *Prawdę mówiąc, jestem w Stanach Zjednoczonych bardzo krótko, więc byłoby przekroczeniem wszelkich norm przyzwoitości, gdybym uważał, że wiem, co należy zrobić albo że to co myślałem sobie wcześniej, tu się jakoś ugruntuje. Dopiero staram się w tym wszystkim zorientować.*

R. G.: — *Stał się Pan dyplomatą w zupełnie nowych okolicznościach: mamy koniec zimnej wojny, odmienne stosunki międzynarodowe...*

A. J.: — *No, ale przede wszystkim zupełnie inną Polskę. To na nas też spadło — mówię o sobie i moich przyjaciółach, z którymi tutaj razem się znaleźliśmy, kiedy [ambasador] Kazimierz Dziewanowski zaproponował mi, abyśmy przyjechali tu razem. A kiedy się sprawa realizowała, to jednocześnie w tle naszych przygotowań działo się mnóstwo — przecież to jest wulkan w dalszym ciągu. Mamy tę nową Polskę i reprezentować, i reali-*

kiedyś, i z wolności szlacheckich, z tego wszystkiego, co nas kształtowało i co w nas zostało mimo wszystkich koszmarnych doświadczeń i ciągów, kiedy siłą i zalewem głupoty próbowano nas pozbawić tego. To jest główny nasz plan — zrobić wszystko, aby się z powrotem znaleźć w naturalnym obiegu, żeby nikt nie patrzył na nas jak na tych, dla których tu nie ma miejsca. I chcemy wszystko zrobić, żeby to miejsce się znalazło. Jak to zrobić: naszą obecnością tu, i każdym sposobem, który ludzi stąd będzie wiązał z nami. Czy interesem, czy przypomnieniem rodzinnych więzów, ciekawością, zainteresowaniem, przeżyciem artystycznym, słowem, muzyką, — absolutnie wszystkim, co tylko można zrobić. Chcemy nawiązać wszystkie porwane, pęknięte — na ogół nie z naszej winy — więzy. Ale czasem i z naszej, z powodu zaniedbań, głupoty czy policyjnych restrykcji, a także — między nami mówiąc — ciemnoty i głupoty tegoż Zachodu, do którego tak bardzo tęsknimy, a który na złość sobie jakby, może nieświadomie, robił przez wiele lat wszystko, żeby zachować swój dobrobyt i swoje ciepłe gniazdo kosztem nas i innych takich jak my, ale myślę, że dużo na tym stracił.

R.G.: — *Jak Pan ocenia swoją znajomość Stanów Zjednoczonych?*

A.J.: — Nie byłem tu nigdy w życiu — to jest mój pierwszy pobyt. Muszę powiedzieć, że z tego powodu propozycja ambasadora Dziewanowskiego była dla mnie tak atrakcyjna. Już nie jestem w tym wieku, kiedy się zaczyna rzeczy od nowa. A tu robię rzeczy, których nigdy w życiu nie robiłem. Trochę to było ryzykowne pod każdym względem.

R.G.: — *Jak się odbywa przygotowanie do nowych obowiązków dyplomatycznych? Otrzymał Pan nominację, a następnie musiał Pan chyba przejść jakieś szkolenie?*

A.J.: — Nie wiem, czy dobrze robię zdradzając takie tajemnice kuchni, ale odpowiem, że było to parodniowe szkolenie. Musiałem poznać, jak działa ten urząd. To jest jednak biuro, które ma swoje zasady, technikę rządzenia — nie mnie sądzić, czy dobrą czy złą, ale jest, trzeba się do niej przystosować. To dla mnie było nowe — nigdy nie byłem urzędnikiem państwowym, do tego w tak specyficznej dziedzinie. To, że po raz pierwszy w życiu przyjechałem do Ameryki — nie wiem czy to jest zaleta czy wada. Może tym, którzy ją dobrze znają, brakowałoby nowych bodźców. Tak się pocieszam. Znam natomiast

dość dobrze Europę — i zachodnią, i środkową, i wschodnią. Zaczęło się to poznanie w czasach STS-u, moje pierwsze kroki za granicą były związane z tym, że studenckie teatry, takie troszkę nieformalne, pokazywano chętnie za granicą jako dowód na to, że i w Polsce istnieje pewna niezależność. Więc myśmy trochę funkcjonowali jako legitymacja dla systemu. Ale korzystaliśmy na tym i my, i ci, co przychodzili do teatru; nam się trochę poszerzało w głowach, a myśmy poszerzali w głowach innym.

R.G.: — *Gdyby Pan miał idealne warunki do wypełniania swoich nowych obowiązków, to znaczy stabilną sytuację w Polsce, spore zaplecze finansowe (domyślać się można, że jest akurat odwrotnie pod względem budżetu) i chłonny rynek w Stanach Zjednoczonych, na co chciałby Pan położyć zasadniczy nacisk w wymianie kulturalnej między obu krajami? Czym miałyby się ona przede wszystkim wyrażać?*

A.J.: — Jak by to było, gdyby było idealnie... Myślę, że pieniądze w tym przypadku nie grają największej roli. No, pieniądze przydałyby się na przykład w następującej sprawie: mamy zamiar i mamy umowę z rządem amerykańskim o wzajemnym otwarciu ośrodków czy instytutów kultury.

R.G.: — *Czy strona polska już się zdecydowała, w jakim mieście miałby funkcjonować ten ośrodek w Stanach Zjednoczonych?*

A.J.: — W zasadzie panuje powszechne przekonanie, że polski ośrodek powinien się znajdować w Nowym Jorku. Bo to jest wielka stolica kulturalna w sensie światowym. Więc na pewno nasza stała obecność w Nowym Jorku byłaby bardzo ważna — bo to i okno wystawowe, i miejsce, w którym zawsze można by się dowiedzieć czegoś o Polsce, jeśli kogoś to ciekawi, przyciągające ludzi. Co nie znaczy, że tylko Nowy Jork się liczy. Na przykład mamy równoległe tu, w Waszyngtonie, taki projekt, aby wspólnie ze środowiskiem polsko-amerykańskim też utworzyć nieco odmienny ośrodek — tu przecież mamy do czynienia z elitą polityczną. Spotkaliśmy się z taką propozycją — w Waszyngtonie jest ciekawe środowisko polskie, składające się na ogół z Amerykanów polskiego pochodzenia, tu urodzonych, albo wrośniętych od kilku pokoleń w Amerykę. Są to ludzie często dobrze zakorzenieni w życiu miejscowym i wpływowi. Oni uważają, i do tego nas przekonali, że powstanie takiego ośrodka, który byłby czymś w rodzaju polskiego lobby, promieniującego na różne elity amerykańskie, przyciągającego te elity, działającego

tutaj stale z dobrą biblioteką, byłoby bardzo pożądane. To byłoby miejsce spotkań, dyskusji, wymiany politycznej i artystycznej. Są w to zaangażowane pewne społeczne środki, chcemy pomóc tej inicjatywie, ale nie występując, jak już wspomniałem, w roli państwowego kontrahenta, tylko znaleźć z Polski także kontrahenta społecznego, partnera, który równałby się temu środowisku. Żeby to zrobić tak, aby państwo się do tego nie mieszało — owszem, my, jako państwowa agencja, ambasada, jesteśmy gotowi pomóc pod każdym względem, ale wolelibyśmy, aby to było wspólne dzieło tutejszej grupy i jakiegoś towarzystwa w Polsce. Natomiast w Nowym Jorku byłaby to agenda dyplomatyczna, ośrodek państwowy polski.

R. G.: — *Kiedy można się spodziewać otwarcia tych ośrodków?*

A. J.: — Daty są uzależnione od pieniędzy. Plan polega na tym, aby środowisko polsko-amerykańskie kupiło w Waszyngtonie dom, który trzeba wyposażyć, zatrudnić personel itd. Ten plan ma pewne szanse powodzenia wcześniejsze. Jeżeli chodzi o Nowy Jork — to mamy dom, piękny dom, w którym mieści się konsulat. Ja nie chcę kolegom, którzy pracują w konsulacie i mają mnóstwo pracy mówić przykrych rzeczy, ale oczywiście urząd nie musi znajdować się w tym pałacu, a po prostu w biurowym lokalu, który byłby funkcjonalny. A w tym świetnie położonym centralnie budynku mógłby się znaleźć instytut kultury polskiej. Mógłby on być klubem, który pomógłby wytworzyć środowisko. W Nowym Jorku jest przecież wiele polskich instytucji oraz ogromna liczba ludzi, którzy wyemigrowali z Polski w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

R. G.: — *I dodajmy do tej liczby liczną emigrację z 1968 roku...*

A. J.: — Tak, myślę o tej emigracji, która nadal silnie jest związana z tym duchem Polski, jaki i my reprezentujemy. Są to rozliczne więzy, także pokoleniowe. Istnieje wspólny język — tych ludzi i nasz. Jest tutaj bardzo duża grupa polskich profesjonalistów, jak się mawia w Ameryce, a w Polsce byśmy po prostu określili ich jako inteligencję. Tu można by rozpocząć całą dyskusję: czy oni mają wracać czy nie wracać, ale to są ich sprawy; dla nas szkoda, że oni nie są w Polsce, ale z drugiej strony dobrze, że są tu. Nie muszę dodawać, że oni są nam potrzebni. Zajęli stanowiska w różnych instytucjach, cieszą się szacunkiem swojego środowiska, znają się na robocie, potrafią dobrze pracować. Są wielkim kapitałem, mało wykorzystywanym dla polskich spraw, to jest do tego, o czym mówiłem — by

umieścić Polskę na należnym jej miejscu. Więc instytuty — to jeden z konkretnych projektów, ale — rzecz jasna — trzeba na to mieć zasoby. Musimy znaleźć pieniądze na urząd konsularny; w samym Nowym Jorku mieszka 200 tysięcy ludzi, którzy są w orbicie polskich spraw. A dodajmy do tego Amerykanów. I obszar ogromny. Wprawdzie ma powstać nowy konsulat RP w Los Angeles, co odciąży Chicago, ale to jest z kolei druga ogromna metropolia ludzi, spraw i polskich interesów.

R. G.: — *Czy już Pan odwiedził Chicago?*

A. J.: — Jeszcze nie, na razie pojechałem na Zachodnie Wybrzeże i spotkałem tam masę ludzi, którzy czekają, aby Polska się tam zjawiła, żeby miała tam swoje miejsce. Więc konsulat jest w Kalifornii bardzo potrzebny, przecież to jest w gruncie rzeczy osobny kraj.

R. G.: — *A jakie nawiązała ambasada kontakty z uczelniami, z wydziałami sławistyki w Stanach Zjednoczonych?*

A. J.: — Pani zaczyna od góry, a ja bym powiedział, że trzeba zacząć od szkółki w polskiej parafii. Przecież to są niesłuchane możliwości, kompletnie zaniedbane i niewykorzystane. To zresztą jest zjawisko bardzo amerykańskie, prawda, że ludzie są Amerykanami, a ponadto poczuwają się do wspólnoty czy kontaktów z kulturą przodków, kraju pochodzenia, i posyłają w soboty dzieci na zajęcia stwarzające jakąś wartość dodatkową. Czy my to umiemy wykorzystać? Starają się księża jak mogą, bo w każdej parafii jest jakaś szkółka. Starają się jeszcze szlachetni ludzie, matki, które dowożą kilometrami dzieci. Ale z kolei z naszej strony powinna się pojawić pewna oferta — edukacyjna, kulturalna. Przede wszystkim książki, taśmy, sposób uczenia języka polskiego. Bo metoda uczenia nie może być taka sama jak w szkole podstawowej w Polsce. Na to są potrzebne pieniądze i ogromna praca, której jeszcze nie wykonujemy, ale o której myślimy. No i kto ma to robić?

R. G.: — *Tu, jak myślę, można by zachęcić do współpracy tych polonistów amerykańskich na uniwersytetach, którzy zajmują się metodyką nauczania polskiego. Jest grono świetnych specjalistów; mam na myśli np. profesora Mikosia. Sądzę, że opracowanie takiego kursu podstawowego dla dzieci polsko-amerykańskich byłoby dla nich interesującym projektem, także z naukowego punktu widzenia.*

A.J.: — Tak, należałoby to wziąć pod uwagę. Prawdę mówiąc, na razie czasu ciągle nie starcza, ale to wszystko trzeba zrobić. A co do uniwersytetów z wydziałami slawistycznymi i bibliotekami uniwersyteckimi: byłem ostatnio na Uniwersytecie Stanford w Kalifornii, gdzie pracuje Wojciech Zalewski. I tamtejsza biblioteka slawistyczna robi doskonałe wrażenie...

R.G.: — *Tak, i podkreślić wypada, że powstała z jego inicjatywy.*

A.J.: — To jest imponująca instytucja naukowa, ale takich instytucji powinno być więcej — na taki wielki kraj! Ale wiem jednocześnie stamtąd, że jest poważny problem utrzymania polonistyki na slawistykach. A sprawa utrzymania studiów polonistycznych jest dla nas bardzo istotna, bo przecież nie możemy eksportować ludzi z Polski. Tu z kolei byłoby więcej chętnych na ten kierunek studiów, gdyby istniały lepsze szanse utrzymania katedr.

R.G.: — *Czy pan planuje w najbliższym czasie zaproszenie wykładowców polonistyki na rodzaj zebrania czy sesji roboczej?*

A.J.: — Mamy taki pomysł wspólnie ze Stanisławem Barańczakiem. Planujemy zwołanie takiej konferencji polonistów w 1991 roku. Barańczak służy w tych sprawach ogromną pomocą jako doradca, znający już doskonale życie uniwersyteckie w Ameryce. Chcemy na przykład zastanowić się nad stanem przekładów literatury polskiej, nad tym co można w tej dziedzinie zrobić i jakie są luki. Bo jest na przykład Pasek przełożony na angielski...

R.G.: — *I to nawet dwukrotnie, wydany niezależnie przez dwie firmy w latach siedemdziesiątych...*

A.J.: — No właśnie. I jest Witkiewicz przetłumaczony, a pośrodku niewiele. To nie jest łatwa sprawa, bo istnieją takie a nie inne przyzwyczajenia rynku amerykańskiego. Książki z dalekiego, niedużego kraju w tej masie wydawniczej giną.

R.G.: — *Moim zdaniem, w ciągu ostatnich dziesięciu-piętnastu lat wiele zmieniło się pod tym względem na lepsze. Nawiasem mówiąc, jeden z najlepszych tłumaczy literatury polskiej, Richard Lowrie, nosił się z zamiarem wprowadzenia seminarium dla tłumaczy z polskiego. Może by podtrzymać tę inicjatywę?*

A.J.: — Z pewnością należałoby wziąć to pod uwagę. Zobaczymy, jakie będą wnioski z tego spotkania, które planujemy na przełomie maja i czerwca tu, w Waszyngtonie. Oczywiście nie marzymy o tym, żeby literatura polska opanowała tutejszy rynek czytelniczy, ale chodzi o to, aby dotarła do tych, którzy wpływają na ten rynek.

Jest też sprawa filmu polskiego, naturalnie, ale film przeżywa teraz kryzys. To jedna z tych gałęzi sztuki, które kiedyś nas legitymowały. Coś te filmy mówiły — może nie tyle szerokiej kinowej publiczności, ile tym, którzy wpływają na jej gust. Myślmy o szerszym zaprezentowaniu tych twórców, którzy są tu mniej znani.

R.G.: — *Nie tak dawno w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku odbyły się przeglądy „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego, bardzo dobrze przyjęte.*

A.J.: — Tak, jego filmy zrobiły duże wrażenie, wydaje się że większe niż w Polsce, gdzie zawsze krytyka lubi się wybrzydzać. Ciekaw jestem przyjęcia „Korczaka” Andrzeja Wajdy. Pokazywano ten film w Waszyngtonie na Jewish Film Festival, zorganizowanym przez tutejsze środowisko żydowskie. Udało się sprowadzić kopie dosłownie na koniec, i ostatniego dnia festiwalu pokazano film na dwóch seansach, przy zapełnionej do ostatniego miejsca widowni. Publiczność oglądała film z ogromnym przejęciem. Naturalnie, temat bardzo na to wpływał, no i była to szczególna publiczność, która wiedziała, na co przyszła.

R.G.: — *Podejrzewam, że filmy sobie drogę przetrą — ostatecznie niektórzy polscy twórcy współpracują z Hollywoodem. Ale jak by Pan widział współpracę skromniejszego medium, jakim jest radio? Przecież był Pan redaktorem naczelnym Warszawy II...*

A.J.: — A, to był krótki epizod w moim życiu. Tak, zgoda, taka współpraca jest potrzebna, ale pamiętajmy, że obecnie system radiowy w Polsce znajduje się w trakcie głębokich zmian. Będzie się odpaństwowiał, jak już mówiliśmy. To znaczy cały ten państwowy moloch radiowo-propagandowo-telewizyjny będzie się rozpadał i uzyska nareszcie poważną konkurencję: prywatną. Mam nadzieję, że coś dobrego z tego wyniknie, chociaż bywa, że wynikają także rzeczy złe, to znaczy komercyjne, reklama zaczyna dominować — tu jest jej za dużo jak na wymagania człowieka, który lubi posłuchać muzyki.

R.G.: — *W Stanach Zjednoczonych jest zresztą zupełnie inny*

system radiowy — stacje są lokalne, o lokalnym zasięgu, daleko wyspecjalizowane...

A.J.: — No, my też będziemy przechodzić na ten system, bo to jest kierunek rozwoju współczesnego świata. Są ludzie, którzy chcą inwestować w sieć radiową i telewizyjną w Polsce stąd, i to może spowoduje także wymianę, już potem merytoryczną. Bo na razie, jeśli chodzi o współpracę programową, są to porozumienia pewnych instytucji, które wysmakowują sztukę radiową. I w Ameryce są takie ośrodki, które coś wiedzą o europejskiej sztuce radiowej, robiącej zresztą duże postępy, bo nastąpił nawrót do tego środka komunikacji. Pod tym względem Polska jest bardzo doświadczona, ale te kontakty są w istocie studyjne jak na razie, nie mają wpływu na odbiorców. Być może to w przyszłości się stanie.

R.G.: — *Rozgłośnią najbardziej przypominającą profil europejski jest tutaj National Public Radio, nawiasem mówiąc sieć o zasięgu ogólnokrajowym, otwarta na świat, a nie tylko sprawy tutejsze. Więc ona mogłaby się stać partnerem do wymiany, nie mówiąc o skromnych na ogół — w zasięgu i formie — godzinach czy programach w języku polskim.*

A.J. — Owszem, tu też istnieją możliwości, ale wymagają lepszego zorganizowania się w Polsce, no i wyboru drogi, bo jesteśmy na zakręcie.

R.G.: — *Mówiąc o różnych formach współpracy czy wymiany kulturalnej, zapominamy o istnieniu tu ogromnej liczby pośredników, a zatem agentów literackich, filmowych, teatralnych, itd. Czy planuje Pan w przyszłości kontakty z przedstawicielami tej branży?*

A.J.: — Ja je mam. Jeśli chodzi o tych ludzi, to mam właściwie kontakt nieustanny, ponieważ oni traktują sztukę jak towar — też do przyjęcia platforma; niektórzy znają się na tej sztuce i wiedzą, który towar jest lepszy, a który gorszy. Są tacy, którzy gotowi są stracić na lepszym towarze, niekoniecznie wybierając ten gorszy, który by się lepiej sprzedał. Generalnie muszę powiedzieć, że jest duże zainteresowanie kontaktami artystyczno-handlowymi z Polską — nie odkrytą jeszcze ziemią, albo odkrywana powoli. Niektórzy się sparzyli i uciekli, bo — jak już wspominałem na początku — brakuje równoległej struktury. Powiedzmy, tu jest ktoś, kto chce zrobić interes na sprzedawaniu kaset video z nagraniami polskich filmów dokumentalnych,

edukacyjnych, fabularnych — byle był to towar, który ulokuje się. Tu jest tyle stacji telewizyjnych, że komuś to można zaofiarować. Otóż ci ludzie z ogromnym trudem znajdują partnerów, bo trafiają najczęściej na urzędnika, którego los absolutnie nie zależy od tego, ile on filmów sprzeda. Polska jest też czarną dziurą jeśli chodzi o pocztę — to znaczy pisze się listy, na które nie otrzymuje się odpowiedzi, dodzwonić się tam nie można, faxów tam prawie nie ma. Gdyby Pani zobaczyła fax z Polski — litery są rozchwiane od marginesu do marginesu i rozlewają się na pół strony, bo linie telefoniczne są niestety w złym stanie. Ale zostawmy faxy. Złe przyzwyczajenia, brak odwagi czy brak doświadczenia — to sprawia ogromne trudności.

R.G.: — *Z drugiej jednak strony istnieje grupa Polaków, starających się wykorzystać istniejącą sytuację, ostro wchodzić na rynek, choć te towary są często pod czysto technicznym względem dużo poniżej zachodnich norm.*

A.J.: — Owszem, ale widzi Pani — my tych spraw nie będziemy już regulować. Nie będziemy stosować cenzury czy kontroli, wprowadzać licencji. O powodzeniu lub niepowodzeniu zadecyduje swobodna gra interesów. Myślę, że większym problemem jest znalezienie znaczniejszej liczby chętnych, którzy by chcieli ulokować swoje ambicje w ekspansji na rynki międzynarodowe — to jest nam naprawdę bardzo potrzebne.

R.G.: — *W odniesieniu do Stanów Zjednoczonych możemy mówić o dwóch kierunkach ekspansji, dwóch rodzajach odbiorców. Pierwszy to po prostu ogólnoamerykański odbiorca, drugi — to Polonia. Jakie są Pana kontakty ze środowiskiem polsko-amerykańskim?*

A.J.: — Są tak rozmaite, jak rozmaita jest Polonia jako grupa. Pierwsze moje wrażenia były bardzo korzystne, bo spotkałem wielu ludzi o niesłychanie frapujących życiorysach. Mnie to może interesuje jako dramaturga czy autora, który czasem sięga po pióro czy raczej siada do maszyny, co ostatnio coraz rzadziej mi się zdarza. Głównie zajmuję się teraz korespondencją urzędową. To są sprawy, które mnie ogromnie wciągnęły, zainteresowały, bo różnaitość losów to są fantastyczne rzeczy czasem, warte książek. Widzę w tym ogromne bogactwo. Bogactwo Ameryki — bo to są ludzie z ogromną energią, temperamentem życiowym. Łatwo powiedzieć „Polonia” — i zaraz słyszymy oberka, czujemy zapach pierogów. A to są tak rozmaici ludzie. Mieliliśmy okazję tutaj, w ambasadzie, gościć kardynała Króla w

otoczeniu kilkunastu tak zwanych polsko-amerykańskich biskupów. Dorobek tego społeczeństwa można mierzyć i tym sukcesem. Kardynał Król wygłosił długie przemówienie, właściwie o kulturze polsko-amerykańskiej, bardzo interesujące. Kiedy się przejrzy listę różnych towarzystw polonijnych, instytucji, ośrodków — jest to naprawdę imponujące liczebnie. Jest w tym wielka dywersyfikacja i różnorodność. Ja sobie nie bardzo wyobrażam, abyśmy z tak zwaną Polonią stanęli wszyscy na baczność, podzielili się na oddziały i wspólnie pomaszrowali w jedną stronę — dobrze jest jak jest. Może czasem brakuje wspólnej iskry, może są jakieś nieporozumienia personalne, ale ja nie przywiązuję do tego wagi. Wydaje mi się, że czego społeczeństwu polsko-amerykańskiemu brakuje, to kontaktu z emigracją — powiedzmy — ostatnich dwudziestu lat. Ci ostatni nie wytworzyli jakby swojej siły jako grupy. Więc sądzę, że byłoby dobrze, aby pojawiła się forma ich bytu społecznego w Ameryce. Ale tego nie można ani zaplanować, ani wytworzyć. To musi powstać w nich samych.

R.G.: — *Widać z tego jasno, że przed Panem i ambasadą RP stoi ogrom zadań. Jaki ma Pan personel do dyspozycji?*

A.J.: — Ja nikim nie dysponuję, prócz siebie samego.

R.G.: — *No, ale chyba ma Pan sekretarkę?*

A.J.: — Skądże! Jaką sekretarkę! Jesteśmy tu we dwoje, mam koleżankę, panią Ewę Krasieńską, która mi pomaga, ale ma też i inne obowiązki. Jest też kolega, który się zajmuje sprawami współpracy naukowej, jest kolega, który zajmuje się sprawami prasowymi, informacyjnymi, a także kontaktami z Polonią i ze środowiskami zainteresowanymi, w tym ze środowiskiem żydowskim.

R.G.: — *I to są wszystko pracownicy dyplomatyczni z nowego portfela, że się tak wyrażę?*

A.J.: — Tak, wszyscy jesteśmy zaprzyjaźnieni ze sobą. A jeszcze tematu kontaktów polsko-amerykańsko-żydowskich nie podjęliśmy w tej rozmowie, co przecież stanowi bardzo ważną sprawę. Polska jest ojczyzną nie tylko Polaków, ale także polskich Żydów, kultury żydowskiej, kultury w języku jidisz, a także do pewnego stopnia i kultury w języku hebrajskim. To, co ocalało, jest w naszych rękach. To nie jest tylko nasza własność — lecz i Europy, świata. Tutaj poczucie odpowiedzialności

za to, co za nami stoi, co jest w tle — jak z Panią rozmawiam, to wywołujemy te hasła po kolei i łatwo powiedzieć, że jest kolega, który się tym zajmuje. My się wszyscy tym zajmujemy i jednocześnie zajmujemy się tyłoma innymi rzeczami, no, ale przecież nie jesteśmy sami. Staramy się pośredniczyć, ale to wystarczy jak na tych parę osób. Nie wiem, co nam się uda zrobić. Może uda się nam uświadomić te sprawy. A jeszcze nie wspomnieliśmy o innych planach — na przykład o uczczeniu 200-lecia konstytucji 3 Maja. Jest to okazja, by powiedzieć, że uczenie Polaków zasad demokracji nie jest nowym zjawiskiem. A w 1993 roku będzie okazja, żeby powiedzieć, że mija 500 lat od utworzenia pierwszego wybranego parlamentu w Polsce. 500-lecie polskiego parlamentaryzmu jest nawet dla Polaków zaskakującą datą. Pragniemy przypomnieć, że Polska historycznie nie znajdowała się na marginesie. Szła w kierunku, w którym świat się rozwijał, i że naprawdę to był epizod w dziejach, kiedy nas z tej drogi zepchnięto kopniakami.

Waszyngton, koniec grudnia 1990.

(Wywiad nieautoryzowany)

Rozmawiała **Renata GORCZYŃSKA**

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

— podpisanie i ratyfikowanie w jak najkrótszym czasie Konwencji ONZ o Uchodźcach, co pozwoli na otwarcie w Warszawie Biura Wysokiego Komisarza ONZ d/s Uchodźców.

Twierdzenie, jakoby podpisanie i ratyfikowanie Konwencji nakładało na stronę polską nadmierne zobowiązania materialowo-finansowe jest niezgodne z faktycznym stanem rzeczy. Artykuł 42 Konwencji, „Zastrzeżenia”, pozwala stronie ratyfikującej zastrzec wszystkie jej postanowienia, z wyjątkiem postanowień zawartych w artykułach 1, 3, 4, 16 ust. 1, 35 oraz 36 do 46. Wymienione artykuły dotyczą wyłącznie aspektów humanitarnych lub formalnych, nie zawierając żadnych postanowień materialno-finansowych.

II. Pełnomocnik Ministra Spraw Wewnętrznych, jego Biuro oraz Międzyresortowa Komisja d/s Uchodźców.

1. W wykonaniu Protokołu ustaleń Nr 38/90 Posiedzenia Rady Ministrów w dniu 15 października 1990 roku powołano:

— Stanowisko i Biuro Pełnomocnika d/s Uchodźców przy Ministrze Spraw Wewnętrznych.

— Międzyresortową Komisję d/s Uchodźców określając zakres ich kompetencji i obowiązków w:

— Zarządzeniu Nr 60 Prezesa Rady Ministrów z dnia 22 listopada 1990 r.

— Rozporządzeniu Rady Ministrów w sprawie zmian w statucie organizacyjnym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

2. Etat Biura zakłada zatrudnienie w nim 11 pracowników przy założeniu opanowania przez każdego z nich co najmniej dwóch języków obcych oraz odbycia w br. przeszkolenia i stażu w zagranicznych agendach Biura Wysokiego Komisarza ONZ d/s Uchodźców.

3. Okres organizacyjny Biura zakończono z dniem 31.12.1990 r. Z dniem 1.01.1991 r. Biuro przejęło formalnie od Zarządu Głównego PCK wszystkie sprawy związane z opieką nad znajdującymi się w Polsce uchodźcami.

4. W zakresie spraw administracyjno-gospodarczych i zaopatrzeniowo-finansowych Biuro opiera się na odpowiednich strukturach organizacyjnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Umożliwia to daleko idące oszczędności etatowe. Dla porównania, analogiczne Biuro przy Ministrze Spraw Wewnętrznych Republiki Czechosłowackiej zatrudniało w dniu 20 listopada 1990 roku

32 osoby, przy czym do końca 1990 roku planowano zatrudnienie dalszych 30 osób. Liczba uchodźców przebywających w tym czasie w Polsce i Czechosłowacji była zbliżona.

Do zadań Biura należy:

— obsługa Pełnomocnika i Międzyresortowej Komisji d/s Uchodźców,

— załatwianie bieżących spraw przebywających w Polsce uchodźców i cudzoziemców zgłaszających się z wnioskami o przyznanie statusu uchodźcy,

— ogólny i prewencyjny nadzór oraz organizacja pobytu przebywających w Polsce uchodźców,

— śledzenie i analizowanie procesów migracyjnych mogących owocować uchodźstwem,

— prognozowanie zjawisk uchodźstwa i przygotowywanie przedsięwzięć organizacyjnych z nim związanych,

— współpraca w niesieniu pomocy uchodźcom z krajowymi i zagranicznymi organizacjami i instytucjami charytatywnymi,

— współpraca ze wszystkimi agendami Biura Wysokiego Komisarza ONZ d/s Uchodźców.

W chwili obecnej do najważniejszych zadań Biura należy:

1. uruchomienie Głównego Ośrodka pobytowego MARKI i jego Wydzielonego Oddziału Przejściowego Kwarantannowego NADARZYN.

2. Zorganizowanie sprawnej opieki lekarskiej oraz przeprowadzenie podstawowych badań lekarskich ze szczególnym uwzględnieniem badań AIDS.

3. Objęcie nauką języka polskiego wszystkich osób dorosłych i zorganizowanie dla dzieci kursu tego języka przygotowującego je do podjęcia nauki szkolnej z dniem 1.09.1991 r.

4. Opracowanie metod i zasad rejestrowania i ewidencjonowania dużej liczby uchodźców w oparciu o system komputerowy PESEL.

5. Doskonalenie i doszkalanie pracowników Biura.

III. Uchodźcy

W dniu 15 stycznia br. w sześciu Tymczasowych Ośrodkach Pobytowych (wynajmowane ośrodki wczasowo-wypoczynkowe w rejonie Zalewu Żegrzyńskiego i Otwocka) przebywało 511

uchodźców. W tej liczbie znajdowali się obywatele następujących krajów: Albania 30 osób, Angola 40 osób, Bangladesz 2 osoby, Etiopia 165 osób, Irak 26 osób, Iran 24 osoby, Liban 98 osób, Liberia 2 osoby, Maroko 1 osoba, Palestyna 38 osób, Rumunia 15 osób, Senegal 1 osoba, Srilanka 1 osoba, Somalia 23 osoby, Syria 9 osób, Turcja 17 osób, ZSRR 16 osób.

Po dniu 15 stycznia br. przyjęto do ośrodków 7 obywateli ZSRR narodowości litewskiej.

Każdego dnia Biuro przyjmuje w sprawach uchodźstwa od 20 do 40 interesantów. W chwili obecnej są głównie obywatele ZSRR.

Wszyscy przebywający w Polsce uchodźcy zgłaszający się w takim charakterze traktują ją jako kraj tranzytowy. Tylko około 2% jest zainteresowanych w uzyskaniu w Polsce prawa stałego pobytu. Kraj nasz stanowi klasyczną pułapkę azylową. Tylko około 5-8% przebywających w niej uchodźców ma szansę na wyjazd w najbliższych dwóch latach do deklarowanych krajów docelowych. Pozostali uchodźcy muszą oczekiwać na wyjazd przez okres od kilku do kilkunastu lat i stoją przed koniecznością wyboru integrowania — asymilowania w Polsce lub powrotu do swych krajów rodzinnych. Ze strony polskiej liczyć mogą na zabezpieczenie im elementarnych warunków bytowych i socjalnych. Dzienne koszty osobowe związane z pobytem uchodźcy w Polsce wynoszą — koszty bezpośrednie 65 tys. zł., koszty pośrednie ok. 17 tys. zł. Razem 82 tys. zł. W chwili obecnej wydatki związane z przebywającymi w Polsce uchodźcami są bardzo wysokie. Wynika to z faktu zakwaterowania ich w obiektach o charakterze hotelowym. Zorganizowanie prawdziwego ośrodka pobytowego obniży wydatki o co najmniej 50-55%.

Należy sobie zdawać sprawę z ogromnych trudności jakie występują w związku z wyżej przedstawionym składem etnicznym stosunkowo niewielkiej grupy uchodźców. Bariera językowa jest tutaj najmniejszym problemem. Odrębności cywilizacyjne, kulturowe, religijne a nawet gastronomiczne stwarzają na co dzień poważne problemy. Nie bez znaczenia są tu również uprzedzenia rasowe występujące pomiędzy uchodźcami, a także pomiędzy nimi a środowiskiem polskim. Środowisko uchodźców jest również skłócone politycznie.

Odrębne problemy stwarza grupa uchodźców specjalnej troski (narkomani, chorzy i nosiciele AIDS). Uchodźcy narkomani zostali przejęci przez MONAR. Związane z tym koszty pokrywa Biuro Pełnomocnika. Problem chorych i nosicieli AIDS zostanie rozwiązany dopiero w chwili uruchomienia oddziału przejściowego kwarantannowego NADARZYN.

W chwili obecnej do najważniejszych zadań należy:

1. Zgrupowanie wszystkich uchodźców w jednym ośrodku pobytowym, co pozwoli na:

- Obniżenie kosztów
- Stworzenie właściwych warunków opieki lekarskiej
- Zorganizowanie nauki dla dzieci i dorosłych
- Podjęcie pracy umożliwiającej integrację i asymilację

2. Przeciwdziałanie tendencjom do wykorzystywania terytorium Polski jako „przedsionka emigracyjnego Europy”, co wymaga

- ogólnego wydawania wiz turystycznych obywatelom krajów arabskich i afrykańskich,
- niedopuszczania do przekroczenia granicy Polski przez osoby nie posiadające uprawniających je do tego wiz
- wzmocnienia kontroli i wiarygodności przedstawianych przez cudzoziemców na granicy polskiej dokumentów paszportowych i wizowych.

Należy sobie zdawać sprawę z tego, że nawet pełna realizacja w/wymienionych postulatów nie wyeliminuje zjawiska uchodźstwa. Będzie ono nadal występować, gdyż taka jest cena otwarcia Polski na świat.

IV. Migracje na obszar Polski mogące nieść ze sobą zjawiska uchodźstwa

Migracje na obszar Polski mogące owocować uchodźstwem dotyczą trzech krajów: Bułgarii, Rumunii i ZSRR. W roku 1990 z w/wymienionych krajów przybyło do Polski (opuszczając następnie jej granice):

4.261.292 obywatele ZSRR
143.240 obywatele Bułgarii
329.926 obywatele Rumunii

Z uwagi na posuniętą do absurdu liberalizację warunków przekraczania granicy polskiej wystąpiły trudności z ustaleniem liczby obywateli w/w krajów przebywających w Polsce każdego dnia. Wprowadzone z dniem 6.12.1990 r. zasady zliczania (monitoringu) ruchów migracyjnych pozwalają szacować, że w styczniu br. przebywało na terytorium Polski każdego dnia:

12-18 tys. obywateli radzieckich
800-1.800 obywateli bułgarskich
1.000-2.000 obywateli rumuńskich

W porównaniu z grudniem 1990 r. liczba obywateli wymienionych krajów przebywających na terytorium Polski każdego dnia spadła w odniesieniu do obywateli ZSRR o ok. 60-70 %, obywateli bułgarskich i Rumunii o ok. 45-60 %.

W całym roku 1990 wystąpiło o przyznanie statusu uchodźcy 26 obywateli ZSRR, 3 obywatele Rumunii, 2 obywatele Bułgarii. W styczniu br. o status uchodźcy wystąpiło już 50 obywateli ZSRR (wystąpienie nie jest jednoznaczne z zakwalifikowaniem do starań o przyznanie statusu).

Analiza migracji na terytorium Polski obywateli trzech w/wymienionych krajów pozwala stwierdzić, że migracja ta wzrasta z każdym rokiem i dla lat 1988-1989-1990 kształtowała się ona następująco:

	1988	1989	1990
ZSRR	1.737.358	2.899.081	4.251.282
Bułgaria	51.748	55.263	143.280
Rumunia	21.704	18.815	323.926

Migracja obywateli ZSRR rosła w każdym w/w roku o około 50 %.

STUDIUM „WIELKA FALA”

Uwaga wstępna

Przed przystąpieniem do realizacji założeń rozwiązania problemów związanych z masową migracją z obszaru ZSRR na terytorium Polski należy:

1. Maksymalnie ograniczyć migrację z obszaru Rumunii i Bułgarii stosując bezwzględne i rygorystyczne ograniczenia migracyjne, to jest:

- wymóg posiadania biletu powrotnego z ważną miejscówką,
- równoważność 20 \$ na osobę na każdy dzień pobytu,
- umieszczanie w paszportach obywateli w/w państw pełniących wykroczenia lub przestępstwa na terytorium Polski adnotacji wykluczających powtórne przekroczenie granicy przed upływem trzech lat od daty wniesienia adnotacji.

2. Wystąpić do Wysokiego Komisarza dla Spraw Uchodź-

ców przy ONZ o maksymalne przyspieszenie procesu przyznawania wiz krajów docelowych uchodźcom przebywającym w Polsce jako kraju pierwszego azylu. W uzasadnieniu tego wystąpienia należy podkreślić konieczność zwolnienia poważnych kwot przeznaczonych na zabezpieczenie pobytu uchodźców w Polsce na przygotowania do przyjęcia wielkiej fali migracyjnej z ZSRR, przedstawiając konieczność dokonania tych przygotowań w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej.

Prawdopodobieństwo wystąpienia wielkich ruchów migracyjnych z terytorium ZSRR na obszar Polski może i musi być rozpatrywane w wielu wariantach. W przedstawionym studium przyjęto i omówiono trzy najprawdopodobniejsze warianty mogących wystąpić ruchów migracyjnych. Studium oparto na krajowych i zagranicznych analizach, ocenach i prognozach dotyczących możliwego rozwoju wewnętrznej sytuacji politycznej i gospodarczej ZSRR w okresie najbliższych sześciu miesięcy.

WARIANT I — ŁAGODNY

Całkowita liberalizacja polityki paszportowej w ZSRR. Zniesienie w wyniku porozumienia ze stroną polską wszelkich ograniczeń dotyczących długości pobytu obywateli ZSRR w Polsce, przy jednoczesnym utrzymaniu barier ograniczających możliwość wyjazdu posiadaczy paszportów radzieckich do większości krajów europejskich i pozaeuropejskich (obowiązek wizowy).

Konsekwencje takiego stanu rzeczy:

Znaczny wzrost liczby obywateli radzieckich przybywających do Polski spowodowany łatwością przekroczenia granicy oraz chęcią poprawienia swych warunków materialnych (handel, zakupy). Należy oczekiwać, że granice przekraczać może codziennie od 40 do 90 tys. osób, a jednocześnie przebywać może w Polsce 400-600 tys. obywateli radzieckich.

Następstwa takiego ruchu migracyjnego:

Dezorganizacja życia we wszystkich dziedzinach. Masowy wykup artykułów pierwszej potrzeby. Blokowanie dworców i stacji kolejowych w rozmiarach znacznie większych aniżeli miało

to miejsce w przypadku „rumuńskim”. W warunkach zimowych możliwość chorób i epidemii.

Przeciwdziałanie:

1. Śledzenie i analizowanie danych mówiących o intensywności migracji przez przejścia na granicy wschodniej oraz prognozowanie rozwoju sytuacji migracyjnej (dekadowe oceny ambasady i konsulatów, dobowe dane z systemu kontroli ruchu na przejściach granicznych).

2. W przypadku przekroczenia o 100% przyjętej za sto średniej migracji w okresie od 25.11 od 4.12 br., wprowadzenie następujących ograniczeń w ruchu bezwizowym:

— dopuszczenie tylko do 15–30-dniowego pobytu na terenie Polski,

— wymóg posiadania biletu powrotnego z miejscówką,

— wymóg posiadania 20\$ na osobę na każdy dzień pobytu zgodnie z datą na bilecie powrotnym,

— w przypadku przekroczenia granicy samochodem, wymóg posiadania dodatkowo 20\$ na każdy deklarowany dzień pobytu,

— w przypadku przekroczenia deklarowanej długości pobytu restrykcyjne umieszczenie w paszporcie adnotacji wykluczającej powtórny wjazd do Polski w okresie trzech lat od daty umieszczenia adnotacji i uiszczenie grzywny w wysokości 20\$ za każdy dzień przedłużonego pobytu, a w wypadku braku środków płatniczych zabezpieczenie na poczet grzywny przewiezionych rzeczy i towarów.

3. Przygotowanie dalszych ograniczeń.

W przypadku przekroczenia o 100% wielkości migracji występującej w dniu wprowadzenia w/w ograniczeń, wprowadzenie obowiązku wizowego.

WARIANT II — „STAN WYJĄTKOWY”

Wprowadzenie na całym obszarze ZSRR lub w jego części (częściach), w następstwie narastającego kryzysu, stanu wyjątkowego (wojennego) połączonego z zamknięciem granic.

Konsekwencje takiego stanu rzeczy:

Przebywający każdego dnia w Polsce w liczbie około 50-100 tys. obywatele radzieccy odmawiają powrotu do swego kraju, występując o przyznanie im statusu uchodźców.

Nastęstwa takiego rozwoju wydarzeń:

Strona polska musi zapewnić podstawowe warunki bytowe (zakwaterowanie, wyżywienie, opieka lekarska) 40-50 tys. osób, co pociąga za sobą wydatki w skali rocznej rzędu 2-3 bilionów złotych. Grozi to w obecnej sytuacji ekonomicznej Polski bardzo poważnymi konsekwencjami. Pokrycie wydatków będzie możliwe wyłącznie kosztem innych pozycji lub rezerw budżetowych.

Przeciwdziałanie:

1. Pilne śledzenie rozwoju wydarzeń w ZSRR, a w razie pogłębiania się kryzysu mogącego doprowadzić do wprowadzenia stanu wojennego, wyprzedzając jego ogłoszenie:

— zamknąć granicę dla ruchu obywateli ZSRR i wzmocnić bezpośrednio jej osłonę (zwiększenie stanu strażnic o 400%),

— usunąć z terytorium Polski obywateli radzieckich,

— przygotować możliwość uzyskania znacznej międzynarodowej pomocy finansowej i materialnej (w tym zakresie warunkiem zasadniczym musi być podpisanie Konwencji o Uchodźcach).

— podjąć decyzję odnośnie przekazywania lub nie przekazywania stronie radzieckiej jej obywateli przekraczających nielegalnie granicę Polski,

— przygotować bazę pobytową dla 25-50 tys. osób,

— zabezpieczyć kwotę 1 biliona złotych na pokrycie wydatków związanych z pobytem uchodźców w Polsce w okresie pierwszych 4-5 miesięcy.

WARIANT III — „WIELKA FALA”

Całkowite, szybkie załamanie się systemu ekonomicznego ZSRR lub jego struktur politycznych i państwowych, względnie łączne wystąpienie tych wszystkich zjawisk. Lokalne i regionalne zatargi przeradzają się w konflikty zbrojne ewoluujące w mniej

lub więcej powszechną wojnę domową. Władze centralne forsują siłowe rozwiązanie secesyjnych dążeń graniczących z Polską Republik Radzieckich.

Konsekwencje takiego stanu rzeczy:

Oslabienie lub załamanie systemu ochrony granic ZSRR. Mniejszy lub większy exodus obywateli radzieckich polskiej narodowości) przekraczających nielegalnie granicę na całej jej długości. Strona polska musi się liczyć z przejściem na jej terytorium od pół miliona do dwóch milionów osób, ze wszystkimi wynikającymi ze skali tego zjawiska konsekwencjami (szacunek oparty na analogii rozmiarów uchodźstwa afgańskiego na terytorium Pakistanu przy uwzględnieniu proporcji potencjału ludności oraz przedziału czasowego i czynnika przestrzennego).

Migracja będzie miała początkowo charakter jednostkowy, w miarę pogarszania się sytuacji masowy, a nawet przyjąć może rozmiary exodusu.

Minimalne koszty utrzymania masy pół miliona-dwóch milionów uchodźców muszą się w skali rocznej kształtować na poziomie 15-45 bilionów złotych. Ten rząd wydatków nie mieści się w polskich możliwościach budżetowych i musi spowodować gospodarcze zahamowanie Polski w ciągu 3-4 miesięcy.

Przeciwdziałanie:

1. Śledzenie rozwoju wydarzeń w ZSRR.

2. W momencie wystąpienia zjawisk groźących masową migracją zamknięcie granicy i silne wzmocnienie jej osłony oraz podjęcie przez Rząd Rzeczypospolitej jednej z dwóch możliwych decyzji:

a) wzbronienie siłą przekraczania granicy polskiej przez obywateli ZSRR, co wymaga rozwinięcia w bezpośredniej osłonie granicy większej części stojących do dyspozycji Sił Zbrojnych.

b) przyjęcie wszystkich przekraczających granicę uchodźców i zabezpieczenie ich pobytu na terytorium Polski, co wymagało-

— zapewnienia wydatnej materialnej i finansowej pomocy międzynarodowej o równowartości w skali rocznej co najmniej 12-15 miliardów \$.

— przemieszczenia 80-90 % przybywających do Polski uchodźców do innych krajów europejskich i pozaeuropejskich.

Przedstawione możliwe warianty ruchów migracyjnych z obszarów ZSRR mogą wystąpić niezależnie od siebie lub w przedstawionej kolejności lub w innych układach (np. wariant I i III, wariant II i III itd.). Za najprawdopodobniejsze należy uznać warianty I i II. Nie można jednak wykluczyć możliwości wystąpienia wariantu III.

W odniesieniu do wszystkich wariantów, a szczególnie wariantu II i przede wszystkim wariantu III, konieczne są decyzje najwyższych czynników państwowych oraz podjęcie prac organizacyjnych i legislacyjnych niezbędnych dla podjęcia przygotowań politycznych i materiałowo-finansowych oraz opracowania planu działania.

PEŁNOMOCNIK
MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH
D/S UCHODźCÓW

Polska katastrofa ekologiczna

„...przy odbudowie i rozbudowie przemysłu dopilnować, aby ścieki przemysłowe służyły do rzek mogących stanowić rezerwy wody pitnej”.

„...zwrócić uwagę, czy w odbudowywanych i nowych miastach i osiedlach nie budowano ujęć wodnych niezależnych od głównych ujęć wodociągowych. Stare ujęcia i studnie uliczne systematycznie likwidować” (instrukcja warszawskiej rezydentury NKWD nr NK 00347 z czerwca 1947 roku).

„...historia sowieckiej antygospodarki roi się od bezsensownych, dających się uniknąć katastrof spowodowanych niezłomną wolą kierownictwa partii, by zrobić to inaczej niż zalecają fachowcy” (Andrzej Kamiński, „Koszmar niewolnictwa”).

Katastrofa ekologiczna w Polsce osiągnęła niespotykane dotąd w historii ludzkości rozmiary. Raport międzynarodowej organizacji *Greenpeace* określający Polskę jako kraj szczególnie dużego ryzyka ekologicznego informuje, że 75 % lasów jest zagrożonych przez kwaśne deszcze, 30 % żywności jest zatrute w stopniu mogącym zagrażać zdrowiu ludzkiemu, 20 % ludności zagrożone jest chorobami, których przyczyną jest zanieczyszczenie atmosferyczne, degradacja ekologiczna powoduje straty 20 % wartości dochodu narodo-

wego rocznie. Wydawany przez Szwedzką Akademię Nauk miesięcznik *Ambio* szacuje roczne straty w samym leśnictwie na 200 mln dolarów. W latach 1980–1989 nastąpił wzrost liczby nagromadzonych odpadów o 72%, z których około 40% nie jest w ogóle neutralizowanych.

Jedynie 65% ścieków jest w Polsce oczyszczanych (54% jest oczyszczane jedynie mechanicznie, tzn. metodami usuwającymi wyłącznie zanieczyszczenia nierozpuszczalne w wodzie).

W 1988 50% ludności wiejskiej spożywało wodę niezdatną do picia, a tylko 2% wsi posiadało oczyszczalnie ścieków. Liczba zakładów przemysłowych zanieczyszczających atmosferę wzrosła z 928 w 1980 r. do 1.612 w 1989 r. (w tej liczbie około 300 nie posiada żadnych urządzeń filtracyjnych, a jedynie 152 posiada reduktory zanieczyszczeń gazowych). Nic więc dziwnego w tym, że obszar zagrożenia ekosystemów leśnych zwiększył się w ciągu ostatnich dziesięciu lat czterokrotnie. Polska zajmuje czołowe miejsce w emisji dwutlenku siarki w Europie (4,2 mln ton, tzn. 10% całości emisji europejskiej). Główny Urząd Statystyczny podał, że w 1989 roku na problemy związane z ochroną środowiska wydano 524 mld złotych (wg cen bieżących), z opłat i kar wpłynęło do skarbu państwa 198 mld złotych. Przebywający z oficjalną wizytą w Szwecji przedstawiciele Ministerstwa Ochrony Środowiska szacowali polskie potrzeby ekologiczne na 20 mld dolarów; ostatnie, pojedyncze doświadczenia Niemiec wskazują, że koszty zatrzymania degradacji ekologicznej w Europie Środkowej będą znacznie wyższe od przewidywanych.

Jeżeli w Polsce nie zostaną podjęte radykalne środki ograniczenia emisji przemysłowych, to należy oczekiwać że około jednej trzeciej naszego kraju z obszaru, na którym żyć się nie powinno zmienić się na obszar, na którym żyć nie będzie można.

Bezmyślnie prowadzona industrializacja, ignorancja władz, nieliczenie się z opinią środowisk profesjonalnych (od przeszło dwudziestu lat w Polsce sporządzano raporty przewidujące nadchodzącą katastrofę), lekceważenie międzynarodowej opinii publicznej (od końca lat siedemdziesiątych rządy krajów skandynawskich i RFN bezskutecznie usiłowały wpłynąć na politykę ekologiczną PRL), a także opinii społecznej w Polsce (ostatnia rozpędzona przez ZOMO przy użyciu pałek i gazów manifestacja ekologiczna miała miejsce w Poznaniu w marcu 1989 w trakcie pertraktacji w Magdalence), brak własnej polityki zagranicznej, zwłaszcza wobec Czechosłowacji i NRD, traktowanie informacji ekologicznych jako danych o charakterze strategicznym (w 1986 roku został sporządzony i opublikowany wyłącznie do wewnątrzpartyjnego użytku raport o stanie środowiska w Polsce) — to główne przyczyny zaistniałego stanu rzeczy.

Nowa sytuacja, w jakiej znalazły się kraje wychodzące z impetium sowieckiego, nie pozostaje bez wpływu na problematykę ochrony przyrody. Wprowadzenie gospodarki wolnorynkowej powinno

przecież doprowadzić do bankructwa największych trucicieli. Niestety deficytowe giganty ciągle pracują, a walcząc o przetrwanie, jak ognia unikają jakichkolwiek inwestycji redukujących zanieczyszczenia. Jakże smutnym paradoksem jest fakt, że 40% spadek produkcji nie spowodował zmniejszenia trujących wyziewów.

Doświadczenia zachodnioeuropejskie i amerykańskie pokazują, że problemów ekologicznych nie można rozwiązać wyłącznie poprzez zmianę przepisów prawnych (w Polsce konieczne jest przystosowanie przepisów dotyczących ochrony środowiska do nowej sytuacji, a zwłaszcza nowelizacja przestarzałych norm), że konieczne jest stworzenie mechanizmów rynkowych chroniących przyrodę, tzn. wprowadzenie systemu ceł, podatków i subwencji, dzięki któremu emisja toksycznych odpadów będzie po prostu nieopłacalna. Dotychczasowe zmiany polityki finansowej państwa wydają się niewystarczające, choć stworzenie pierwszego Banku Ochrony Środowiska (po rocznych pertraktacjach) może zapoczątkuje prawidłową ewolucję ekonomiczno-prawną systemu podatkowo-kredytowego.

Powoli powstaje w Polsce jakże rozwinięty na Zachodzie rynek ekologiczny. Czysta żywność, bezołowiowa benzyna, przenośna aparatura do wykrywania skażeń to niektóre z coraz modniejszych ofert handlowych ciągle niestety raczkującego „kapitalizmu ekologicznego”. Otwarcie granic i niekontrolowana gospodarka niosą także pewne zagrożenia, coraz częściej lokalizowana jest w Polsce produkcja szczególnie niebezpieczna, zakazana lub poważnie ograniczona w krajach uprzemysłowionych (np. azbestu dla USA). Przy bałaganie panującym w Polsce i niesprawności służb celnych i policji, praktycznym braku kontroli starych i nowych spółek poważnym problemem stał się wwóz toksycznych odpadów (wg *Gazety Wyborczej* ok. 8 mln ton w krótkim okresie czasu). Szczególne uznanie należy się *Greenpeace*'owi, który działalność tę zdemaskował, a także wykazał jej nielegalność w myśl prawa międzynarodowego.

Bardzo kontrowersyjne wydają się ekologiczne elementy polityki zagranicznej nowego rządu. Jakakolwiek współpraca utrudnia całkowite nieprzygotowanie ze strony polskiej do współdziałania z krajami rozwiniętymi. Z jednej strony nowe władze wysuwają szereg propozycji, np. Funduszu Ochrony Bałtyku, Międzynarodowego Pogotowia Ekologicznego, zamiany polskiego długu na inwestycje ekologiczne (modne słowo ekokonwersja), z drugiej strony brak konkretnego programu czy choćby listy najpilniejszych inwestycji, opieszałość, nieumiejętność zagospodarowania przyznawanej pomocy odstrasza zachodnich kontrahentów. Problemy dziwne, bo przecież w Polsce nie brak specjalistów z tej dziedziny, a nieodpłatną pomoc w określeniu potrzeb ekologicznych oferuje nowym władzom szereg międzynarodowych organizacji ekologicznych. Wobec wschodu ciągle widoczne jest pozostawanie Polski w sowieckiej strefie wpływów, a także bezkrytyczne wspieranie Gorbaczowa. Stąd zapewne brak rozmów na temat należnych Polsce odszkodowań za Czarnobyl, którego nasz kraj był główną zagraniczną ofiarą (minimum to po-

krycie kosztów leczenia i strat wynikających ze zniszczenia pól (lub choćby pertraktacji o udostępnienie pełnej informacji o tej katastrofie. Z tego samego powodu Polska nie wyciąga konsekwencji z rezultatów ogólnopolskiej kontroli przestrzegania przepisów o ochronie przyrody przez jednostki armii sowieckiej stacjonujące w Polsce. Poważnym błędem strony polskiej jest także obojętność i milczenie wobec protestów ekologicznych na Ukrainie, pomimo że przynajmniej dwie duże akcje (protest przeciwko stacji radarowej we wsi Prystriałowo i strajk w sprawie zaniechania pracy reaktorów czarnobylskiej i pistralskiej elektrowni atomowej) dotyczyły obiektów będących bezpośrednim zagrożeniem dla Polski.

Pomimo, że problemy ekologiczne często stają się przyczyną konfliktów pomiędzy krajami byłego bloku komunistycznego (np. konflikt węgiersko-czeski w sprawie elektrowni wodnej na Dunaju) konieczne jest opracowanie wspólnego programu wyjścia z katastrofy. Na razie nie zrobiono praktycznie niczego co pozwoliłoby zdefiniować wspólne potrzeby i wspólną politykę ekologiczną Europy Środkowej.

Piotr DASZKIEWICZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kraj

Kierunek ruchu

Nasze wysiłki przebudowy państwa przypominają próbę stopniowego przejścia z ruchu lewostronnego na prawostronny. Społeczeństwo dało mandat władzy tym, którzy zmieniają zasady ruchu na polskich drogach. Ale warunkiem koniecznym do zdobycia przez służbę ruchu zaufania większości kierowców jest minimalizacja katastrof przy zachowaniu płynności jazdy do przodu.

Spróbujmy przez to porównanie odczytać nasze próby zmian po przełomie czerwca '89, w Polsce coraz bardziej wolnej i coraz bardziej suwerennej. Spostrzemy nagle, że ruch prawostronny raz tylko pewnych pojazdów, a kiedy indziej wszystkich, ale tylko w pewnych godzinach, powoduje coraz częstsze kolizje na drodze do niepodległości. Jeśli stan cząstkowych reform bez reformy aparatu państwa będzie się przedłużał, to w którymś momencie zwycięży zdanie (niewątpliwie najbliższe sercom postkomunistów), że właściwie najlepiej po prostu lewą stronę nazwać prawą, a prawą lewą i w ogóle zrezygnować z nowego kodeksu ruchu. Szczególnie, że nomenklatura ma już niezłe samochody z przydziału najnowszej historii i kierownicę umie trzymać w rękę.

Szyfowym pracom nad przebudową państwa przeciwstawiam ideę budowy nowej administracji państwowej i samorządowej według wypróbowanych polskich i obcych wzorów. Rzecz jednak nie w wymyśleniu nowego modelu, lecz w sposobie wprowadzenia takiego projektu państwa w życie. Pomocny tu jest właśnie przykład skandynawskiej minirewolucji — zmiany kierunku ruchu z dnia na dzień. Pewnej nocy Szwecja po wielomiesięcznych przygotowaniach przeszła z ruchu lewostronnego na prawostronny. Nie było to kwestią aktywności jazdy ani nawyków kierowców. Z dnia na dzień zmienił się kodeks drogowy i to wystarczyło, gdyż cała organizacja ruchu była przygo-

towana na jego wejście w życie. Właśnie nieumiejętność znalezienia praktycznego sposobu wprowadzenia wielkich zmian spowodowała, że w ciągu półtorarocznych rządów ekipy Mazowieckiego zrezygnowano w ogóle z zasadniczej reformy administracji państwowej i samorządowej. Uwierzono, że zmiana wierzchołka góry nonsensu nada jej sens. A i obecna ekipa premiera Bieleckiego szybko przeszła z przyspieszenia do kontynuacji. Potrzebny jest przełom, ale nadziei nie znajdziemy już w samych hasłach. Jeśli nasz ruch objął władzę, to odpowiadamy za kształt państwa. Człowiek i system. Człowiek czy system?

Sięgnijmy do niedawnej przeszłości. Zastanówmy się, czy takich zmian jednej nocy już nie przechodziliśmy. Czy nie były nimi przeżycia milionów Polaków przekraczających granice obozu komunistycznego i nagle znajdujących się w wolnym świecie? Motywowani dążeniem do wolności, sukcesu, pracy, pieniędzy z dnia na dzień nasi rodacy wchodzili w struktury odmienne od ich dotychczasowych ram działania i przyjmowali nowe kryteria wartości. Nie wymagało to szkoleń, ekspertów, konsultacji. I jak życie pokazało — przynajmniej w tej podstawowej sferze jaką jest codzienna praca — Polacy umieli się do nowych sytuacji przystosować, jeśli były im dane. A zatem od strony adaptacji jednostki do systemu jest to możliwe. Pytanie tylko, w jaki sposób ma się zmienić system wokół nas, aby nowi ludzie próbujący zmieniać stare struktury nie zostali przez nie wchłonięci, zdeprawowani, skórupowani, a w końcu — w poczuciu żalostnej bezsily — nie zwracali się przeciwko współobywatelom, których zswietyzowanie przeszkadza im, rzekomo, tworzyć nowe struktury.

Jak w ciągu jednej nocy zmienić w administracji centralnej kierunek ruchu? Jak stworzyć na górze państwa wzorzec innego funkcjonowania służby publicznej, który przejąć by mogły i samorządy? Jak po latach rządów ignorantów podsumowanych grubą kreską przejść do merytokracji? Otóż najpierw niezbędne jest przyjęcie obiektywnych kryteriów kwalifikacji ludzi mających tworzyć kilkutyśieczną elitę zawodowych urzędników, która ma przygotowywać decyzje dla rządu i przekazywać je społeczeństwu. To wbrew pozorom jest bardzo proste, choć niełatwe do bezlitosnego wyegzekwowania. Ale albo mamy współczucie dla kraju i jego obywateli, albo dla siebie i biurokracji.

Możliwe jest, i częściowo to już zrobiono, zidentyfikowanie we wszystkich urzędach centralnych ludzi zdolnych do pracy w normalnej administracji dzięki swoim kompetencjom, znajomości spraw swojego resortu, czy wreszcie samodzielności — w dzisiejszych strukturach nietrudnej do zauważenia. Kwalifikacje zawodowe urzędnika dają się zmierzyć obiektywnie: czy będzie to znajomość języków obcych, poziom wykształcenia, czy umiejęt-

ność posługiwania się komputerem. Testując w ten sposób i weryfikując kadry można wyodrębnić grupę urzędników państwowych, z którą ministerstwa mogłyby rozpocząć swoje działania już w prawostronnym ruchu. Następnie trzeba przeprowadzić — w oparciu o otwarty konkurs — nabór i szkolenie przyszłych pracowników.

Po takiej szwedzkiej gimnastyce pewnego ranka urzędnicy ministerstw i urzędów przyjdą do pracy i nastąpi *D-day* — wszyscy dostaną koperty: jedni z dymisją, drudzy z informacją w jakiej strukturze, do której ich uprzednio przygotowano lub też uznano za przydatnych, mogą funkcjonować. I będą funkcjonować. Wreszcie nastąpi czas bezrobocia urzędników. Oczywiście wymaga to przeprowadzenia wyprzedzającego rozstrzygnięcia: urzędnik państwowy musi podlegać normalnemu kodeksowi pracy. Był i tak długo uprzywilejowany w porównaniu ze wszystkimi innymi pracownikami przedsiębiorstw państwowych, zagrożonych w dobie recesji bankructwem. A jedyną solidarnością, jakiej nie trzeba budować, lecz bronić się przed nią, jest solidarność biurokracji. A zatem problem pierwszy — bez którego tworzenie projektu reformy administracji traci jakikolwiek sens — problem sposobu wprowadzenia projektu w życie możemy uznać za rozwiązywalny, chociaż jeszcze politycznie nie rozwiązany.

Pozostaje określić oś strukturyzacji tego nowego modelu administracji, kryterium sprawności systemu władzy. Tu słowem — kluczem jest decyzja. To brak odwagi podejmowania trudnych decyzji we właściwym czasie był przekleństwem naszej historii. Dziejowa koniunktura jeszcze trwa. Ale Polska nie ma ośrodka władzy zdolnego do rządzenia krajem a nie tylko panowania. Demokracja władzy może być przedmiotem sporów politycznych. Ale, żeby było się o co spierać — władza musi być skuteczna. Pragmatyzm to nie idea lecz materia polityki. Musimy odpowiedzieć sobie w jaki sposób i jakie decyzje mogą w ogóle być podejmowane przez urząd w stosunku do obywateli. Kolosalne zmiany i kolosalne ograniczenia omnipotencji państwa nastąpiłyby na skutek wprowadzenia jednej tylko kardynalnej zasady: obywatel zgłasza władzy, że zamierza coś zrobić, a władza w zawitym terminie informuje go o tym, że chce tę decyzję skorygować. Jeżeli władza nie wypowiada się — to zgadza się na nią. Liczba decyzji wymagających koncesjonowania, a nie wyłącznie blokowania lub korygowania, powinna być ściśle ograniczona do sfery związanej z obronnością oraz bezpieczeństwem — państwa i obywateli.

A zatem jednym pociągnięciem pióra zlikwidowalibyśmy tę niewygodną zasadę, w której aktywność obywatela jest zależna od niesprawności władzy. Administracja, która nie zdoła na tyle usprawnić sposobu podejmowania decyzji, aby być w stanie

wypowiedzieć się w określonym czasie na temat tego, co zamierza robić obywatel — musi automatycznie zrezygnować w tej sferze z władzy. Decyzję odmowną obywatel może zaskarżyć przed sądem administracyjnym. Dużo trudniej jest zaskarżyć brak decyzji. Rządy prawa są bliższe ideału społeczeństwa obywatelskiego niż rządy administracji.

Mysiąc o sposobie podejmowania decyzji przez ludzi władzy oddzielić trzeba sferę wariantowego rozpatrywania jej uwarunkowań — co robić mogą profesjonalści spoza administracji: biura doradcze, prywatne agencje — od aktu podejmowania decyzji, jej wymiaru politycznego. Ten akt oddziela zawodową administrację państwową, czyli służbę publiczną (*civil service*) od sfery politycznej nacechowanej pewnym stopniem arbitralności. Dzięki sprawnej administracji dokonywany przez polityków wybór między różnymi wariantami działań jest już zinstrumentalizowany, pozwala wpisać decyzje polityczne w życie. Urząd nie powinien być także ograniczony w możliwości osądu pomysłu obywateli przez sztywną strukturę. Prywatyzując wszystko poza samą decyzją, administracja rządowa i samorządowa może ograniczyć się do struktur kadrowych: bardziej centrów logistycznych niż biur obsługi obywateli.

Konstruktywnym przykładem dla całego kraju powinna być zasadnicza reforma rządu. Dzisiaj tworzy go dwudziestu ministrów, których pracami kieruje premier. Uważam, że bez większej szkody można by ograniczyć Radę Ministrów do dziesięciu szefów resortów. Nie wierzę, aby było możliwe doprowadzenie do trwałej redukcji administracji państwowej. Na całym świecie centralna biurokracja ma tendencję do ciągłego rozrastania się. Jestem natomiast przekonany, że bez metody chirurgicznej — cięcia z dnia na dzień — nie uda się pokonać hydry aparatu postkomunistycznego i stworzyć zdrowej struktury, która będzie z czasem obrastała agendami, ale rzadko uzyskującymi status urzędów mających swojego przedstawiciela w Radzie Ministrów.

Spróbujmy zatem spojrzeć na nowo na administrację rządową. Zacznijmy od najtrudniejszych spraw — gospodarczych. Ministerstwo Finansów zajmowałoby się budżetem centralnym. Natomiast zarząd majątku państwa czyli zarząd przedsiębiorstwami państwowymi, czy Narodowy Bank Polski odpowiedzialny za emisję pieniądza i kontrolę banków komercyjnych — mogą już mieć swoich kierowników poza rządem. Całość spraw dotyczących resortów branżowych objąć by mogło Ministerstwo Gospodarki, czyli ministerstwo określające strategię gospodarczą. Nie rządziłoby ono przedsiębiorstwami lecz odpowiadałoby tylko za logistykę ekonomiczną. Ministerstwo mogłoby się wyłonić z obecnego Centralnego Urzędu Planowania. Jeśli wyodrębniłyby jeszcze Ministerstwo Rolnictwa i Leśnictwa, to te trzy resorty

obejmą całość spraw gospodarczych. Wszystkie elementy technicznej infrastruktury gospodarki: komunikacja, transport, energetyka, łączność — muszą mieć własne zarządy przedsiębiorstw. Potrzebne jest tylko Ministerstwo Infrastruktury, które regulowałoby kwestie standardów i integracji — te, które wiążą się z systemowym charakterem tych grup przedsiębiorstw.

Funkcje opiekuńcze państwa można by w gruncie rzeczy skumulować w jednym ministerstwie — Ministerstwie Spraw Socjalnych — które obejmowałoby: zdrowie, oświatę, kulturę, pracę i opiekę społeczną. Polityka społeczna państwa nie polega bowiem na zarządzaniu przedsiębiorstwami państwowymi, lecz na tworzeniu im warunków sprawnego funkcjonowania czy to przez dotacje budżetowe, czy też przez przywileje podatkowe prowadzące do możliwie szerokiej reprivatyzacji i komercjalizacji tego, co się da. Interesem państwa jest jak najszybsze przekształcenie jednostek budżetowych w samodzielne podmioty gospodarcze różne od niedochodowych działań superkoncernu PRL. Przekonanie, że ministerstwo rozwiązuje problemy, które stoją przed szkołami czy szpitalami jest oczywiście typowym, komunistycznym złudzeniem. Ministerstwo Jakości Życia na Wsi — powstałe w czasach rządów Mazowieckiego — było charakterystycznym przykładem utonięcia w słowoczynach.

Po dokonaniu takiego scalenia sfery społeczno-gospodarczej prac rządu kształt pozostałych pięciu resortów rysuje się już jasno: Urząd Rady Ministrów, któremu, jak obecnie, podlega cała administracja państwowa, Ministerstwo Obrony Narodowej, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Sprawiedliwości.

Jestem przekonany, że radykalna redukcja centralnej administracji do dziesięciu ministerstw, których szefowie tworzą wraz z premierem rząd oznacza nie tylko wielkie oszczędności wydatków państwa. Delegowanie kompetencji menadżerskich z resortów branżowych do przedsiębiorstw Skarbu Państwa takich jak koleje, elektrownie czy kopalnie pozwoli przebić się gospodarce rynkowej. Złudzeniem Balcerowicza było przekonanie, że wolny rynek skruszy biurokrację państwową. Obecna sytuacja grozi *pieriestrojką*: zamianą socjalistycznego totalitaryzmu na państwowy czyli polityczny kapitalizm.

Zarysowany w tym projekcie kierunek ruchu ma jeden cel: nadanie takich ram prawnych państwu, aby przed obywatelami otworzyć przestrzeń wolności, aby mogli ją odpowiedzialnie zagospodarować. Nowy kodeks drogowy nie określi, dokąd zmierzamy, ale — jak.

Antrakt

1. W polskim teatrze politycznym mamy teraz przerwę, choć być może część publiczności daje się zmylić brakiem przerwy i nadal śledzi ruch na scenie. Ale to tylko pracownicy techniczni znoszą rekwizyty i przestawiają dekoracje, dotychczasowi protagoniści wycofali się za kulisy. Nie jest bynajmniej intencją w tej metaforze lekceważenie pracowników technicznych. Przyrównałem do nich rząd J. K. Bieleckiego, bowiem taka właśnie była wola jego formalnych twórców, to jest prezydenta, sejmu i głównych sił parlamentarnych. Bardzo jednak możliwe, że ów „techniczny”, „niepolityczny” i w pierwotnym założeniu kilkumiesięczny zaledwie rząd jest w trakcie wygrywania dla siebie którejs z ważniejszych ról w dalszym ciągu spektaklu. I to jest najpewniej jedna z głównych treści politycznego antraktu, który rozpoczął się wraz z decyzją sejmu o przeniesieniu na jesień terminu wyborów. Wkrótce potem polityczny awans rządu jako względnie niezależnej instytucji politycznej — trzeciej nogi stolika w nieco złośliwej przenośni, obok prezydenta i parlamentu — zdobył mocne wsparcie w postaci dwóch niewątpliwych sukcesów, to jest zgody Zachodu na redukcję polskiego zadłużenia oraz zniesienia wiz dla Polaków przez znaczną część Europy Zachodniej. Za głównych sprawców tego tak długo wyczekiwanego i tak bardzo w polskim klimacie politycznym potrzebnego sukcesu uchodzą w opinii publicznej dwaj ministrowie wspólni obu gabinetom solidarnościowym, Balcerowicz i Skubiszewski, ale, oczywiście, ojców chrzestnych zgłosiło się więcej, wśród nich zwłaszcza prezydent i premier. Wydaje się, że mimo rezonansu zagranicznych wojaży — amerykańska wizyta Wałęsy była sprzedawana przez telewizję bardzo obficie ale nieudolnie — bezpretensjonalny, spokojny i nawet trochę stremowany (publiczność to lubi) Bielecki uzyskał w rezultacie znacznie lepsze efekty. Jest teraz czwarty na liście popularności CBOS. Ale trzeba też pamiętać, że startujący z bardzo ostatnich pozycji premier dopiero dorasta do własnej miary, podczas gdy Wałęsa swoją dawno już przekroczył. Z osiągnięć premiera i rządu korzysta przede wszystkim formacja polityczna Bieleckiego, Kongres Liberalistów Demokratów, to zaś dzięki dwóm zwłaszcza okolicznościom. Po pierwsze, potrafili się oni, i to nawet z jakimś trzaskiem, odseparować od Porozumienia Centrum, o którego niebezpiecznie ryzykownym dryfie pisałem poprzednim razem, oraz potrafili też ułożyć sobie korzystny *mo-*

dus convivendi z żelaznym wicepremierem Balcerowiczem. Ten ostatni staje się coraz bardziej, w opinii publicznej, nieusuwalnym elementem polskiego krajobrazu i nawet zdecydowanym przeciwnikom jego polityki nie staje wyobraźni, by przedstawić sobie rząd bez wicepremiera Balcerowicza. (Wyjątek stanowi kilku jego kolegów po fachu, „kilku profesorów ekonomii”, jak zwykł mawiać wicepremier, lekko cedząc przez zęby). Bielecki i jego przyjaciele stanowczo bronią zrębów polityki antyinflacyjnej, szybkiej prywatyzacji i rachuby na napływ zachodnich kapitałów inwestycyjnych (dotychczas, za obu rządów solidarnościowych napłynęło ich śmiesznie mało, ledwie 350 milionów dolarów) — to znaczy trzech zasadniczych opcji Balcerowicza, ale zarazem chętnie podkreślają własny pragmatyzm. Nie znaczy to, by pozwalali sobie krytykować wicepremiera za doktrynerstwo; wszelkie publiczne podgryzanie Balcerowicza jest ministrom zakazane, co odczuli zwłaszcza członkowie Porozumienia Centrum, Eysymontt i Glapiński. Niemniej ustawia się żelaznego wicepremiera trochę w roli fundamentalisty, polskiej pani Thatcher, przeciwstawionej młodemu, zdolnym i giętkim gdańskim liberałom. Po upadku żelaznej lady nie jest to ustawienie całkiem niewinne. Tymczasem jednak alians Balcerowicz — Bielecki funkcjonuje całkiem poprawnie.

Na początku kwietnia wiele wskazywało, że antrakt polityczny zbiega się z gospodarczym. Przed końcem miesiąca, a nawet połową maja nie powinno raczej nastąpić ponowne otwarcie na plenum sejmu takich czułych politycznie *dossiers* jak ordynacja wyborcza, polityka mieszkaniowa czy sprawa aborcji. Obrady 4 i 5 kwietnia z drugim czytaniem ustaw o związkach zawodowych, związkach pracodawców i regulowaniu konfliktów zbiorowych oraz z pierwszym czytaniem tak kontrowersyjnych tekstów jak wniosek o ratyfikację umowy polsko-amerykańskiej (z wydatnym rozszerzeniem ochrony patentów i praw autorskich) lub konkurencyjny wobec senackiego projekt ochrony macierzyństwa — dowiodły, że właściwie cała izba jest zainteresowana nierobieniem hałasu, unikaniem polemik i niepodgrzewaniem nastrojów publicznych.

Zarazem nie należało też oczekiwać w tym czasie wyraźniejszej odpowiedzi na pytanie o kształt tegorocznej koniunktury gospodarczej. W okresie marzec-maj inflacja miała się zmniejszyć w sposób istotny, ale trwałość poprawy nadal nie byłaby pewna. Dopiero w drugiej połowie roku mogą dać o sobie znać efekty pozytywne i negatywne nowych inicjatyw w polityce gospodarczej: liczący się wzrost napływu kapitałów inwestycyjnych dzięki nowemu zaufaniu do polskiej wypłacalności, ułatwionej prywatyzacją i oczekiwanej wkrótce bardzo liberalnej ustawy o obcych inwestycjach; wzrost średniej płacy realnej przy równoczesnym

spadku realnego funduszu płac wskutek radykalniejszego „odchudzenia” przedsiębiorstw; wzrost produkcji przy równoczesnym wzroście bezrobocia i to już liczonego w/g urealnionego systemu zasiłków, do co najmniej 1,6 miliona. Sztab Balcerowicza jest zdania, że w 1991 podmioty gospodarcze w Polsce, zwłaszcza dyrekcje przedsiębiorstw, przekonane wreszcie, że osiągnięty został *point of no return*, przestaną grać na przeczekanie. Dzięki temu zareagują pozytywnie na presję deflacji. Teraz, wczesną wiosną, odbywać by się miało milczące przesilenie. Antrakt.

2. Któż jednak po antrakcie powróci na scenę, aby odegrać główne role w jesiennych wyborach? Pytanie nie jest wcale retoryczne, na co zresztą wskazuje wyżej ukazana możliwość niespodziewanego awansu „pracowników technicznych”. Rzecz mianowicie w tym, że aktualni główni pretendenci do mandatów mają ogromne trudności z ustaleniem, kim właściwie są. Nie tylko nie wiedzą jeszcze, jak się przedstawić publiczności, jak się najkorzystniej sprzedać wyborcom. Najczęściej sami nie znają własnej twarzy, nie umieją (nie chcą?) dostrzec z niej nic poza rozmazanym, drgającym konturem jak w telewizji bez dekodera.

W poprzedniej *Kulturze* pisałem m.in. o zbiorowym chrzcie Porozumienia Centrum. Jak dotąd, nieskrywany polityczny sens tego zabiegu nie przynosi PC spodziewanych profitów. Chrzęścianie z konkurencji nie są, oczywiście, zachwyceni, ale, co gorsza, wątpliwości ma także Episkopat, gdzie najtęższe strategiczne głowy (z bp. Orszulikiem) nie chcą wcale angażować Kościoła ponad potrzebę. Oczekuje się również, że papież w czasie czerwcowej pielgrzymki potwierdzi wprawdzie postulaty „moralne” Kościoła wobec nowej Polski, ale tym bardziej zdystansuje się od prób bezpośredniego upolitycznienia i partyjności. Wiadomo już, że Jan Paweł II nie był zachwycony zdymisjonowaniem ks. Bardeckiego z *Tygodnika Powszechnego* przez kardynała Macharskiego; nowym asystentem kościelnym w *Tygodniku Powszechnym* jest ks. Adam Boniecki, co trudno rozumieć inaczej niż jako osobisty sukces i zadośćuczynienie dla Jerzego Turowicza i jego zespołu. Trudno, oczywiście, przewidzieć, czy stanowisko papieża będzie dla roznamienionych politycznie wikarych i proboszczów skuteczniejszą zaporą niż przy wyborach prezydenckich formalna neutralność Episkopatu, ale Porozumienie Centrum z pewnością nie zrobiło spodziewanego interesu: nie jest liberalne, nie jest też związkowe, a teraz nie wiadomo nawet, czy jest naprawdę chadeckie. O politycznym kacu w stronnictwie świadczy zresztą nędza jego prasy i kiepskie rezultaty werbunku i sondaży.

Atoli konkurencja z Unii Demokratycznej i ROAD wygła-

da jeszcze gorzej. Wprawdzie we fragmentarycznych sondażach z końca marca sopockiej Pracowni Badań Społecznych („gdyby wybory były teraz...”) Unia z ROADem wypadła znacznie lepiej niż PC, ale ta koalicyjna formacja, która ma się niezadługo zjednoczyć, nadal nie dysponuje żadnym w istocie programem — i żadnym bezspornym leaderem. W Porozumieniu Centrum nikt przynajmniej nie kwestionuje pozycji Jarosława Kaczyńskiego, natomiast Tadeusz Mazowiecki nie zdołał przekonać do swego przewodnictwa nawet tej części ROAD, która w odróżnieniu od Bujaka nie mówi tego otwarcie. Jednym z powodów, ale nie jedynym, jest opinia, że Mazowiecki zbyt ulega Kościółowi. Jakoż wyłączną w praktyce dziedziną, w której Unia rozciągająca się od Forum Demokratycznej Prawicy Aleksandra Halla do lewicy ROAD byłaby w stanie mówić jednym głosem jest problematyka demokratycznego państwa prawa. To wystarcza np. w debacie konstytucyjnej, ale w kampanii wyborczej może pogrozić najlepszych kandydatów. Tymczasem już w tej chwili widać w parlamencie, że Klub „Unia Demokratyczna” jest zupełnie wyzuty z inicjatywy, a jego liderzy zachowują się tak jak kierowca zabytkowego samochodu: trąbić mogą, ale jechać się boją, żeby się nie rozleciał.

Innego rodzaju trudności z tożsamością mają główne ugrupowania z postkomunistycznego układu i jego obrzeży. W stronnictwach wiejskich doraźne interesy gospodarcze zdominowały bez reszty wszelkie inicjatywy — czemu zresztą nie sposób się dziwić, bo presja gospodarki rynkowej jest nie do wytrzymania dla polskiej struktury rolnej. Taka jednak absolutna dominacja doraźnego interesu zaciera wszelkie różnice conceptualne, to zaś z kolei sprawia, że polityczno-ideowe rozróżnienia skazane są na ekspresję czysto symboliczną: ruch chłopski coraz częściej sam się ośmiesza, uwikłany w spory coraz bardziej personalne, ambicyjne i mroźkowate, jak ów proces o to, która partia pierwsza zgłosiła się do rejestracji z marką PSL — ci, co przyszli o 11 przed południem, czy ci, których widziano w sądzie dopiero o 14 po południu. W rezultacie ruch ludowy stał się niezdolny do autonomicznego zjednoczenia o własnych siłach; przeszkadza nie tylko rywalizacja liderów, ale zwłaszcza brak jasnych kryteriów, pozwalających pozbyć się dawnej nomenklatury wiejskiej z szeregów zjednoczonego stronnictwa. Wiele wskazuje, że PSL Romana Bartoszcze zamiast się zjednoczyć z innymi, samo się raczej rozleci. Z drugiej strony, nie powiodły się też próby zjednoczenia z ZChN, mimo mocnego wsparcia ze strony Episkopatu. ZChN nie przeszkadzała zresztą wcale dawna nomenklatura w PSL — grzeszników skruszonych można świetnie trzymać w garści — ale za to działacze chłopscy zlekli się masowej i łomotliwej ingerencji ideologicznej ZChN i nadmier-

nej klerykalizacji (stary, chłopski antyklerykalizm jest znów bardzo żywy). Zwłaszcza, że w tej ideologii nie mieści się żaden priorytet dla interesów wiejskich.

Z pozoru lepiej idą sprawy w SdRP i okolicy. Nie wydaje się wcale, by wielka wrzawa sprzed miesiąca, jak to „komuchy” zbierają się do ofensywy, miała realne podstawy, poza narzucającym się spostrzeżeniem, że ludziom jest coraz ciężej i że ktoś to przecież politycznie zechce wykorzystać. Natomiast hasło dekomunizacji niewątpliwie wywołało odruch samoobrony i umożliwiło SdRP i akolitom szybką mobilizację. Cimoszewicz proklamował natychmiast strategię koalicji sił lewicy, a SdRP ogłosiła błyskawicznie (23 marca) tezy programowe, z którymi przedtem nie mogła się uporać przez rok. Podobnie jak uprzednio program Ruchu Ludzi Pracy (politycznego ramienia OPZZ) SdRP proponuje „trzecią drogę” z tym jednak, że w OPZZ była to droga celowo niedokończona, program, by tak rzec, z zawieszeniem głosu: „nasz program nie przesądza z góry, jaki system gospodarczy i społeczny wyłoni się z obecnego stanu przejściowego”... SdRP angażuje się po stronie gospodarki rynkowej jako modelu docelowego — „społecznej gospodarki rynkowej”, i to świadome podjęcie terminu chadeckiego kanclerza Erharda z RFN, pozwala zresztą SdRP przyznawać się nawet do społecznej nauki Kościoła. Ale droga do celu ma być inna i znacznie dłuższa niż to sobie wyobraża Balcerowicz. Zatem z pozoru sprawy postkomunistycznej lewicy idą nieźle i braciom Kaczyńskim należy się tam dyskretne dziękczynienie. Są jednak kolce w tym kwiecie: w poczuciu zagrożenia postkomuniści odpowiadają hasłem koalicji sił lewicy o takim zasięgu, że nie tylko nie ma ono żadnych szans realizacji, ale nadto zamyka im drogę do autentycznej ewolucji, niemożliwej, jeśli nie potrafią pozbyć się ciężaru swoich własnych „niereformalnych”. Nie wdając się w spekulacje personalne — Miller aparatczyk, Kwaśniewski centrysta, Cimoszewicz wolny najmita itd. — wskażę na fenomen prasy postkomunistycznej jako ilustrację tego pomieszania, zatrąty tożsamości i niezdolności wyboru. A są to wszystkie pisma zasługujące na uwagę: od znów doskonale redagowanej *Polityki* i wybijającego się ogólnopolskiego tygodnika *Wprost* z Poznania, poprzez unowocześnioną *Trybunę* aż po Jerzego Urbana *Nie* i Aleksandra Minkowskiego *Skandale*, pisma nędzne, ale stanowiące swoisty fenomen socjopsychologiczny. Cała ta prasa przyznaje się do „koalicji sił lewicy”. Otóż już tego wystarczy, aby odebrać wszelką wiarygodność i tej koalicji, i tej lewicowości. *Nie* i *Skandale* są po prostu odpowiednikiem *grafitti* pisanych łajnem po murach, odreagowywaniem zawodu, zagubienia, beznadziejności, nienawiści na użytek tych wszystkich, którym odebrano zabezpieczenia, pewniki i pewności. Trze-

ba porażającej głupoty, żeby oskarżać Urbana o pornografię. Ale jest ślepotą polityczną branie go sobie za koaliana. Tylko że na taką *political insanity* cierpią również pozostałe z wymienionych pism postkomunistycznych: np. efekt rzetelnej publicystyki w *Polityce* niszczą skutecznie jej felietoniści, cofnięci o dziesięć lat co najmniej, w myśleniu i namietnościach, a poseł Marek Król, ostatni kierownik prasy w KC PZPR, redaktor *Wprost*, zgromadził najbardziej ekumeniczny zespół w Polsce: od zdolnych młodych ludzi podkupionych w *Gazecie Wyborczej*, do nieco starszych ale za to zdolnych do wszystkiego dziennikarskich wyczynowców stanu wojennego. Nie podobna sobie w ogóle wyobrazić nominacji, która by w takiej gazecie uruchomiła klauzulę sumienia.

3. Wszystkie wymienione ugrupowania mające kłopoty z tożsamością powołują się nieodmiennie na swój pragmatyzm jako usprawiedliwienie. O pragmatyzmie, jak wspomniałem, chętnie też mówią liberałowie Bieleckiego. U nich jednak to powołanie ma zupełnie inny charakter: rządowi liberałowie są pragmatykami tak jak przepływka opuszcza z ceny. Oni wiedzą doskonale co ile kosztuje i co robić należy, mają bardzo jasną wizję programową i tylko ustępują ile trzeba wobec rzeczywistości, czyli wobec całkiem neoliberalnego dziedzictwa. Owi natomiast źle tożsami nie mają własnej wizji i żadnej własnej skali wartości, za to dużo dobrych chęci i woli bożej do rządzenia. Innymi słowy, liberałowie mają własną ideologię i wbrew potocznemu bełkotowi publicystycznemu — jakoby teraz był czas pragmatyków i antyideologii — to właśnie pozwala im odnosić sukcesy.

Właściwym partnerem liberałów może być w tym względzie socjaldemokracja (autentyczna). Zachodzi wszakże istotna asymetria. Liberałowie, jak powiedziałem, mają swoją ideologię i od niej dopiero, od pułapu, kalkulują ustępstwa; socjaldemokraci swoją muszą dopiero rekonstruować. Każda z protoformacji socjaldemokratycznych robi to po swojemu. PPS stara się od razu skoczyć najwyżej — wielka tradycja zobowiązuje — i stworzyć w miarę pełny program. „Solidarność Pracy” Bugaja, Miłkowskiego i Modzelewskiego koncytuje zrazu tylko poprawki do planu Balcerowicza, ale teraz jest już dość oczywiste, że wydłużenie perspektywy czasowej reform w ujęciu SP nie pozwala twierdzić, jakoby dla Bugaja i jego przyjaciół ruch był wszystkim, jak dla Edwarda Bernsteina. O dezideologizacji socjaldemokracji współczesnej mówił interesująco Jerzy Szacki w referencji „Program dla Polski lat 90-tych — przydatność doświadczeń socjaldemokratycznych i liberalnych” na konferencji w Warszawie 9/10 marca; i on jednak zauważa, że przywiązanie do wartości sprawia, iż socjaldemokrata nie tylko preferuje nieraz w konkret-

nej kwestii inne rozwiązanie niż liberał, ale również, że *implicite* nieco inną konstruuje gospodarkę rynkową, choć być może konstruuje ją jedynie konsekwencją działań a niekoniecznie w programie. Najmniej czy raczej najwęższej ideologiczna jest lewica ROAD, klub Bujaka, jest za to najpełniej zaangażowana politycznie.

Na scenie po antrakcie pojawią się też oczywiście ugrupowania z ideologicznym wyznacznikiem ZChN i KPN, której akcje w sondażach rosną w miarę jak zbierają się chmury nad polską polityką wschodnią (także KPN jest winna kwiaty braciom Kaczyńskim). Pozwolę sobie jednak na przypuszczenie, że szanse wyborcze wśród formacji z ideologiczną komponentą mają liberałowie i socjaldemokraci, natomiast tamte ugrupowania z Narodem na sztandarach nie zwojują wiele. Liberałowie i socjaldemokraci (cały czas mowa o tych autentycznych, o wiarygodnej tożsamości) utrafią po prostu w główne preokupacje wyborcze, przy czym na jesieni przyjdzie rzeczywiście czas wyboru: raczej nie będzie już sobie można zasłaniać oczu i liczyć, że „za pół roku będzie lepiej” lub że teraz „się przyspieszy”. Świadomość długiego marszu, jaki czeka kraj, stanie się powszechna i jeśli socjaldemokraci potrafią przedstawić spójny zestaw korektur, czy nawet kontrprojekt drogi innej (choć nie „trzeciej”), to Balcerowicz znajdzie wreszcie alternatywę, a Polska szansę demokratycznej normalności, wymiennosc ekip bez groźby katastrofy. Narodowcy zaś rozmaitych maści nie wywalczą sukcesu — i to samo dotyczy ich wyznaniowego wariantu — dlatego, że ich tradycyjna ideologia stanowi pewne tło, natomiast nie utrafia w żaden życiowo ważny problem żadnej grupy elektoratu. Aby to się mogło zmienić, zarówno polski nacjonalizm jak i jego wyznaniowa odmiana musiałyby umieć sprostać wyzwaniu zupełnie nowych sytuacji. Bowiem pod pozorami niezmienności, nieustannych nawrotów i chocholich tańców polskie poczucie i samopoczucie narodowe zmieniają się właśnie teraz w sposób, być może, bez precedensu.

Zwykło się czasem mówić o przekształcaniach struktury społecznej i skali wartości, jakie wiążą się nieuchronnie ze zmianą ustroju. Jakos nie dopowiada się „narodowej kropki”: że mianowicie te przekształcenia stawiają pod znakiem zapytania również integrację narodową w formie, jaką nadał jej okres powojenny. A to nie są same tylko pozytywy umacniające poczucie narodowe: powrót tradycji, historii, zapelnianie białych plam. Jest w tym przekształcaniu również znak zapytania nad egalitaryzmem polskiej nacji i jej obyczajami. Jest wreszcie zupełny przewrót w umiejscowieniu w świecie — i w umiejscowieniu w czasie historycznym, bowiem Polacy wiedzą teraz, że znów przyjdzie im gonić uciekającą Europę. Dopiero co polscy dysydenci i emigranci dumnie tłumaczyli światu, że jednak *ex*

Oriente lux, bo to my z naszym doświadczeniem totalitaryzmu, walki z totalitaryzmem i zwycięstwa nad nim jesteśmy historycznie do przodu nad Zachodem — ileśmy się to natrzęsali nad jego naiwnością! — a oto teraz, zwycięzcy, jesteśmy nagle 50 lat do tyłu, głupszy o pół wieku, i rozdzielamy gęby, kiedy nam eksperci i konsultanci prosto od Harvarda tłumaczą, co to czek a co akcja; mało brakuje, a będą nas uczyć jak jeść widelcem. O skutkach tej burzliwej nad Polską pogody, socjologowie, jak za zwyczaj, dowiedzą się z opóźnieniem. Ale zachęcam do przyjrzenia się młodzieży, jej kulturze i subkulturze: sygnalizują głębsze jeszcze wywrotki niż poetyckie wieczory Pikadora przed 70 laty.

Stąd też końcowa na dziś supozycja: losy jesiennych wyborów mogą zależeć od tego, czy na scenie pojawi się ugrupowanie nacjonalistyczne w sposób nowoczesny, to znaczy zdolne w języku nacjonalizmu wyrazić autentyczne problemy, zmartwienia i lęki przeciętnego wyborcy. Jest to oczywiście pytanie o Tymińskich AD 1991.

Warszawa, 7 kwietnia

Krzysztof WOLICKI

Nie napisałem, że Paweł Kuczyński jest starym esbekiem. Napisałem, że obraca się w złym towarzystwie. On twierdzi, że wcale tego nie zauważył.

Nie obciążałem Pawła Kuczyńskiego biografią jego ojca. Odnotowałem ją jako możliwe wyjaśnienie, w jaki sposób Kuczyński junior, od 11 lat w Los Angeles, znalazł się w owym złym towarzystwie w Warszawie. Jeśli domysł był nietrafny, to szkoda, byłaby to przecież okoliczność dla juniora poniekąd łagodząca.

Krzysztof WOLICKI

W co się Pan bawi, Panie Prezydencie?

Pierwsze miesiące prezydentury Wałęsy trudno nazwać udanym startem. Przeciwnicy nie bez *Schadenfreude* wypominają nu obiecanek wyborcze, zaś zwolennicy głowią się, o co idzie wykonującemu przedziwne wirażę prezydentowi. Zapowiadał zmiany,

a mamy rząd dość podobny do poprzedniego (Skubiszewski, Kołodziejczyk, Balcerowicz). W kampanii prezydenckiej obiecywał rychłe wybory do sejmu, ale zaraz potem zaproponował jesień 1991 oraz powołanie zastępczo rady politycznej o niejasnych zadaniach. Wkrótce znowu zmienił zdanie i zrezygnowawszy z rady, wezwał do wyborów 26 maja. Ale przysyłając w ostatniej chwili do sejmu nowy projekt ordynacji wyborczej, zastopował prace komisji przygotowującej sejmowy projekt, co dało znakomity pretekst nieskłonny do zbiorowego harakiri posłom, by przesunąć termin wyborów na jesień... *Ad calendae graecas?* Kampanię Wałęsa prowadził pod znakiem rozliczeń z postkomunizmem, ale na szefa NIK-u zalecił postPZPR-owską Ziółkowską, a nie sen. Romaszewskiego, zresztą nie informując najbliższych współpracowników, którzy z grobowymi minami zapewniali w telewizji, że prezydent nie popiera Ziółkowskiej. Wreszcie całkiem niedawno przyjął jak najprzyjaźniej swego poprzednika, gen. Jaruzelskiego. Skołowany naród ogląda to wszystko z rosnącym mętlikiem w głowie. W co się Pan bawi, Panie Prezydencie?

Odsunięcie terminu wyborów — jak wszyscy wiedzą — jest dla Polski groźne. Jeżeli walka w Moskwie skończy się dyktaturą generałów, to na zasadzie naczyń jeszcze połączonych postkomunistyczne siły hibernujące dziś w nomenklaturowych firmach, w dyrekcjach zakładów przemysłowych, w administracji itd. mogą z dnia na dzień przypomnieć sobie dawne dobre czasy. Szczególnie groźne jest, że siły te bez większych oporów, domalowawszy sobie orzełka z koroną i Matkę Boską, w dalszym ciągu kontrolują ogromną część potencjału militarnego i MSW, tak że potrafią skutecznie zablokować kontraktowy sejm! Na cóż więc może liczyć w godzinę burzy Rząd Rzeczypospolitej? Na skąpe ostatki niegdysiejszej glorii przewodniczącego NSZZ „Solidarność”? W normalnym, europejskim państwie rząd opiera się na większości w parlamencie wybranym w powszechnych i wolnych wyborach. A u nas? Kisielewski, który (o zgrozo!) ma jakoby stałą przepustkę do Belwederu, wykrzykiwał niedawno, że nie straszna mu dyktatura. Zapewne miał na myśli „słuszną” dyktaturę w „dobrej sprawie”? Zapewne taką jak Naczelnika Kościuszki? Ale Kościuszko miał, jeśli nie, tfu, przepadnij, gwardię republikańską, to przynajmniej kosynierów i Madalińskiego. Nie jestem wcale pewien, czy „Solidarność” z Krzaklewskim to byłiby właśnie ci kosynierzy.

Trudno zgadnąć, w jaką grę bawi się nasz prezydent. Weźcie sami w swoje ręce własne sprawy, wołał w czasie kampanii, ależ wybory to jest właśnie branie swoich spraw w swoje ręce. Czemu więc „w imię doskonałej demokracji” odsuwamy w mglistą przyszłość demokrację niedoskonałą, która mogłaby się urze-

czywistnic, może „z usterkami”, ale za to zaraz? Rozumiem obawy ROAD-u, obóz Mazowieckiego unikał jak ognia wyborów, wiedząc, że może liczyć zaledwie na 15-20% głosów; dlatego dziś także woli bronić demokracji całkiem doskonałej, niż zbrukać ideał wcieleniem w życie. Ale Wałęsa? Jego prezydenckie zwycięstwo trudno nazwać „lawinowym poparciem”. Ostatnie miesiące raczej nie dodały mu blasku i zwolenników... A im później, tym będzie gorzej. Nie tylko dla Polski, ale i dla obozu prezydenckiego. Gdyż ta dziwna taktyka może się zakończyć katastrofą wyborczą... Lawinową absencją rządu 70-75%. A z tych, co pójdą, połowa za Cimoszewiczem, Miodowiczem, Tymińskim?... W osobach kontraktowych postkomunistycznych posłów instytucja parlamentu została u nas całkowicie pozbawiona autorytetu i ośmieszona. Któż teraz przejmie się dramatycznymi apelami o udział w wybieraniu dobrze opłacanych (5 mln miesięcznie?) gadułów? *Semi-democracies*, pokpiwał niedawno *Newsweek* w artykule o półdzikich krajach europejskiego hinterlandu: Rumunii, Bułgarii, Polsce... Może jednak prezydent Kaczorowski trochę się pospieszył z przekazywaniem tych insygniów?

Przy okrągłym stole upleciono misterne sieci, których do dziś nie potrafimy zerwać. Raz uznawszy wtedy PRL-owską „legalność”, nie mogliśmy już ustanowić początku nowej legalności Polski odrodzonej. Skoro nie było tego początku, to mamy legalną ciągłość od Bieruta, Jaruzelskiego do Mazowieckiego i Wałęsy. Dyskurs dzisiejszej władzy uwikłany jest beznaście w ową pseudolegalność zatwierdzoną przy okrągłym stole. Jakże bowiem utrzymywać, że totalitarne ustawodawstwo traci moc, skoro sami uznaliśmy prawomocność władzy Jaruzelskiego... Wszak wybrali go solidarnościowi parlamentarzyści: Stomma, Trzeciakowski, Stelmachowski, Szymanderski, Kulerski, Paszyński, Wielowieyski, Miłkowski, Bernatowicz, zaciskając nam tym samym pętelkę na szyi, jeśli nie na całą wieczność, to na długie lata! Umowy okrągłego stołu to zatrute jabłko, po którym królowa do dzisiaj nie potrafi się obudzić do politycznej normalności. *Establishment* opozycji z wyjątkiem KPN czy Solidarności Walczącej gryzł to jabłuszko i dawał jeść innym. Wiwatowali pokonawszy smoka, ale smok tylko przedzierzgnął się w tasiecmca, by na stałe zamieszkać w naszym państwowym organizmie. Porozumienie Centrum protestując przeciw przesunięciu wyborów również ma związane ręce, gdyż jego dyrygenci także kosztowali zatrutego owocu. Trudno by im teraz przeszło przez gardło przyznanie, że był to falstart o dalekosiężnych konsekwencjach, że przeceniono siłę przeciwnika, oddając mu zbyt

wiele punktów? Ten przeciwnik, reanimowany po klęsce w wyborach 1989 w myśl zasady, że *pacta* (okrągłostołowe) *sunt servanda*, teraz zapewne będzie znowu współdecydował w aliansie z dbałym o „poszanowanie (PRL-owskiego) prawa” ROAD-em? ROAD zagrożony przez chadeckie PC mógłby odnowić dawny pomysł sojuszu „reformatorskiego skrzydła PZPR” z postlewicową częścią dawnej opozycji. I jedni i drudzy stoją bowiem na gruncie „praworządneho państwa”, a więc zachowania PRL-owskiego prawa, czemu zagraża zamiar powszechnych i wolnych wyborów. Ostatnio ze strony ROAD rysuje się jakby nowy projekt „pojmania Wałęsy”: poprzemy prezydenta i rząd — czyżby w sojuszu z Cimoszewiczem i Ziółkowską? — przeciw „ciemnogrodowi”... Wyrwiemy prezydenta z chadeckich pazurów... Ta cała gmatwanina „na szczycie schodów” staje się coraz bardziej niepojęta dla „zamiataczy ulic”, zapewne do jesiennych wyborów ci ostatni już nie pójda... A może szanse dla Polski otworzą się dopiero, gdy odejdzie „klasa polityczna”, która zasiadała przy okrągłym stole i utraciła, wskutek braku wyobraźni i nieudolnych decyzji, swoją wiarygodność? Gdy pojawią się jacyś nowi Krzaklewscy w sejmie, w rządzie, w Belwederze? Na razie ich nie widać, za to na Kremlu widać cień przyszłego cara, który być może zechce odzyskać niebacznie utracone prowincje...

Nie wzywając od razu po objęciu prezydentury jednoznacznie i zdecydowanie do przyspieszenia normalnych wyborów, Wałęsa skazał się na to wojsko, na tę policję i na ten sejm. Aby uzyskać konsensus w ramach PRL-owskiej legalności, musi oprzeć się teraz na większości w aktualnym parlamencie. Większość uzyska zapewne tylko akceptując jakiś „pakt” sygnowany przez magdalenkowe 65 % i roadowców? A więc porozumienie prezydencko-rządowe z Cimoszewiczem i Geremkiem... Trójkąt, który odremontuje na długo coś w rodzaju umowy okrągłego stołu i znowu zatarasuje drogę do normalności? Może właśnie dlatego przygotowując ten trójkąt, Wałęsa poparł pos. Ziółkowską? Spotykał się przyjaźnie z Jaruzelskim? Podkreślał dystans do PC? Wolno podziwiać zręczność zakulisowych kombinacji, zdajmy sobie jednak sprawę, że te gry i zabawy nie tylko zahamują wejście Polski do Europy, ale też wystawiają nas na ogromne ryzyko geopolitycznej destabilizacji ze względu na możliwy kierunek wypadków w Sowietach. Czy wolno zlekceważyć tak prawdopodobne zagrożenia? Sejm walczy o własną skórę, to zrozumiałe, ale o co idzie naszemu prezydentowi?

Jan PROKOP

O religii bez namaszczenia

Bunt integrystów — Marcel Lefèbvre

Chciałem zrazu napisać „bunt ortodoksów”, ale ortodoksja, prawomyślność ma swoje dostojne znaczenie, podobnie jak praworządność; natomiast integryzm, podobnie jak fundamentalizm, ma wydźwięk wyłącznie negatywny: oznacza umysłowy immobilizm, niezdolność do rozwoju. A to właśnie charakteryzuje schizmę zmarłego niedawno arcybiskupa Lefèbvre*.

Drugi sobór watykański był wydarzeniem epokowym, na miarę soborów chrystologicznych z IV i V wieku, bez porównania bardziej doniosłym niż wszystkie następne sobory już tylko zachodniego chrześcijaństwa, z wyjątkiem może tylko soboru trydenckiego. Jak Nicea i Chalcedon stanowiły sformułowanie tajemnicy chrześcijaństwa w kategoriach myśli helleńskiej, tak II Vaticanum stworzyło możliwość życia i rozwoju chrześcijaństwa w klimacie tak bardzo różnej myśli nowożytnej. I już sam zakres i dogłębność tego zamierzenia sprawiły, że ten sobór, formalnie zgromadzenie jednego tylko, aczkolwiek najliczniejszego odłamu zachodniego chrześcijaństwa, zainicjował ferment duchowy wychodzący daleko poza jego formalne wyznaniowe ramy i stał się w tym sensie pierwszym od półtora tysiąca lat soborem znowu ekumenicznym, to znaczy (według greckiego źródłosłowa) dotyczącym całego zamieszkałego świata. Nie dziw, że rewolucja religijna tej miary nie mogła i nie może się odbyć bez wstrząsów i oporów.

Jednym z przejawów oporu, bynajmniej nie jedynym, choć jedynym, który przybrał formę schizmy, jest ruch zainicjowany przez arcybiskupa Lefèbvre. Z gruntu antysoborowy jest również powstały już wcześniej w Hiszpanii ruch *Opus Dei*, z tym że *Opus* realizuje swój opór w sposób bardziej perfidny i zawołowany. Poza

* Data śmierci 25 marca 1991. Fakt, że było to święto Zwiastowania NMP i poniedziałek Wielkiego Tygodnia niektórzy jego zwolennicy interpretują jako oznakę szczególnej łaski Bożej.

tym ruch Lefebvre'a, czy pewne elementy tego ruchu, cieszą się mniej lub bardziej zdecydowaną, często ledwo uświadomioną sympatią w szerokich rzeszach szeregowego duchowieństwa i wiernych. Odnosi się to szczególnie do tak zwanej mszy trydenckiej w języku łacińskim, która po ostatnim soborze została na jakiś czas radykalnie zakazana i zastąpiona nowym rytym w języku łacińskim lub w językach narodowych i dopiero ostatnio bywa stopniowo i ostrożnie przywracana. Jest to całkowicie zrozumiałe: jeśli msza trydencka służyła dobrze Kościołowi przez 400 lat, to trudno ją teraz traktować jako nie-katolicką. Dla Lefebvre'a i jego przyjaciół sprawa tej mszy stała się sprawą sztandarową, ale ich opór przeciw reformom soborowym szedł głębiej i dalej, koncentrując się głównie na konstytucji o Kościele w świecie współczesnym oraz na dekretach o wolności religijnej i ekumenizmie. Dla Lefebvre'a te dokumenty były zarazem niedopuszczalnym liberalizmem, negując tym samym wyłączność katolickiej prawdy i wyłączność posłannictwa katolickiego Kościoła. I w tym także nie sposób odmówić arcybiskupowi przynajmniej pewnej dozy słuszności. Zgoła literalny dogmatyzm, doktrynalny totalizm i aspiracje do wyłączności w sferze jurysdykcji nazbyt często charakteryzowały działalność historycznego Kościoła, chociaż nie to stanowi istotę jego misji. Nawet po soborze wiele się z tego ostało. I znowu trudno się temu dziwić. W sferze ducha niełatwo oddzielić istotę rzeczy od historycznych kulturowych przypadłości, które w dużej mierze służą jako litera dla ducha. Tym się tłumaczy ton wielu wypowiedzi podsumowujących działalność zmarłego arcybiskupa na łamach prasy katolickiej, skądinąd całkiem lojalnej wobec Watykanu, który obłożył jego i cały ruch ekskomuniką: szuka się okoliczności łagodzących, arcybiskup pobłdził — powiada się — ale działał w dobrej wierze i w obronie istotnych katolickich wartości. Tym też się tłumaczy zupełnie nadzwyczajna wyrozumiałość Watykanu i trzech kolejnych papieży (Pawła VI, podobno także Jana Pawła I, i Jana Pawła II) dla kościelnego rebelianta, zanim wreszcie został ekskomunikowany. Przypomnijmy pokrótce najważniejsze momenty tego dramatu. I przy okazji krótki życiorys.

Marcel Lefebvre urodził się w roku 1905 w północnej Francji jako dziecko nader pobożnej katolickiej rodziny: na ośmioro dzieci aż pięcioro wybrało powołanie kapłańskie albo zakonne. Już to samo wiele mówi o warunkach, które ukształtowały świat przyszłego arcybiskupa, w tym jego specyficzne wyłączenie. Formację kapłańską otrzymał w misjonarskim zgromadzeniu Ducha Świętego, najpierw we Francji i w Rzymie, potem kolejno w kilku krajach zachodniej Afryki. Już w stosunkowo młodym wieku 42 lat został wyświęcony na biskupa i wkrótce potem mianowany delegatem apostołskim na całą Afrykę Zachodnią z siedzibą w Dakarze, który w r. 1955 został podniesiony do godności arcybiskupstwa. Jest to bardzo potężne stanowisko. Niezależnie od tego arcybiskup Lefebvre pełnił funkcję zaufanego doradcy papieża Piusa XII do

spraw misji. W r. 1962 zostaje wybrany przełożonym generalnym swojego zgromadzenia misyjnego i w związku z tym przekazuje arcybiskupstwo w Dakarze w ręce następcy, którego sam sobie wychował.

Jest to pierwszy rok II Soboru watykańskiego, a zatem także początek dramatu arcybiskupa Lefebvre. Pius XII już nie żyje; inicjatorem soboru jest Jan XXIII. Arcybiskup jest od początku zaangażowany w prace przygotowawcze podjęte przez Kurię Rzymską dla zapewnienia sprawnego i niedramatycznego przebiegu śmiałego papieskiego przedsięwzięcia. Ale już pierwsza plenarna sesja soboru przynosi szok: pracowicie przygotowane „schematy” zostają odrzucone i sobór postanawia zacząć praktycznie wszystko jeszcze raz od początku. (Jednym z inicjatorów tej manifestacji niezależności soboru jest sędziwy biskup Lille, kard. Liénart, który w r. 1929 wyświęcił młodego Marcela Lefebvre na księdza). Lefebvre nie od razu dał się poznać jako przywódca opozycji; prawdopodobnie wtedy nie wyobrażał sobie nawet możliwości i potrzeby opozycji w zgromadzeniu, któremu kościelna tradycja w ciągu dwóch tysięcy lat wydeptała nieomylnie ścieżki. W toku tej i następnych sesji przemawiał wielokrotnie w obronie autorytetu papieża przeciw koncepcji kolegalności biskupów, przeciw zgubnej jego zdaniem zasadzie wolności religijnej i wychodzeniu naprzeciw świeckiemu światu, ale ostatecznie (o ile wiadomo) podpisał wraz z innymi uczestnikami soboru wszystkie uchwalone przez sobór dokumenty. Przemogło widocznie poczucie, że ogólny *consensus* musi jakoś wyrażać autentyczną myśl Kościoła, którą należy lojalnie przyjąć.

Do czynnej opozycji i forsowania alternatywnych rozwiązań przeszedł dopiero w kilka lat po soborze. Była to w dużej mierze reakcja na po-soborowy ferment w Kościele, który przejawiał się między innymi powszechną krytyką encykliki *Humanae Vitae* Pawła VI (zakazującej stosowania sztucznej antykoncepcji, 1968) i równie powszechnym spadkiem ilości powołań kapłańskich w świecie. W Szwajcarii znalazł Lefebvre dogodne warunki kształtowania kapłanów na swoją ściśle przed-soborową modłę i rzecz znamienna, nie zabrakło mu kandydatów do zakładanych przez niego seminariów, najpierw we Fryburgu, później w Ecône, które stało się głównym ośrodkiem ruchu. Wychowankowie po ukończeniu studiów pozostawali nadal pod wyłącznym jego wpływem jako członkowie Stowarzyszenia Kapłańskiego im. św. Piusa X. Papież Pius X (1903-1914) zapisał się w historii Kościoła głównie jako inicjator niesłuchanie ostrej i nie przebierającej w środkach kampanii, jaką rozpętał na początku bieżącego stulecia przeciw tzw. modernizmowi. Modernizm był próbą przeprowadzenia w teologii katolickiej pewnego *aggiornamento* na długo zanim to hasło rzucił Jan XXIII, ale za Piusa X został on uznany za herezję. Wybór patrona ruchu i ataki arcybiskupa na współczesny „modernizm” świadczą, że w jego oczach reformy soborowe to nowa forma potępionej ongiś przez papieża herezji. A więc papieże akceptujący te reformy, Paweł VI i

Jan Paweł II, też muszą być winni herezji. Mniej więcej od początku lat 70-tych Marcel Lefebvre zaczyna grać w coraz bardziej otwarte karty; natomiast Watykan robi wszystko, by utrzymać choćby pozory i nie dopuścić do otwartej schizmy. Dopiero na wyświęcenie w Econe, wbrew zakazowi Rzymu, pierwszych księży w lipcu 1976 roku Watykan reaguje zawieszeniem arcybiskupa *a divinis*. Arcybiskup odpowiada otwarciem kilku placówek swojego ruchu we Francji i w Stanach Zjednoczonych, nawet w Brazylii i w Chile, i obsadza je wyświęconymi przez siebie księżmi. Mimo to najpierw Paweł VI, później Jan Paweł II udzielają mu audiencji, z których Lefebvre skwapliwie korzysta, widocznie licząc na to, że to on raczej nawróci papieża niż na odwrót. Gdy wreszcie ogłasza zamiar wyświęcenia swoich własnych biskupów, Watykan w osobach kardynałów Ratzingera i Gagnona podejmuje jeszcze jedną próbę doprowadzenia do porozumienia z buntowniczym arcybiskupem. Powstaje możliwość zatwierdzenia przez papieża przynajmniej kilku zaproponowanych przez Lefebvre'a kandydatów na biskupów, jeśli Lefebvre zaniecha publicznej kampanii przeciw soborowym reformom. Lefebvre zrazu zgadza się na to rozwiązanie, lecz następnego dnia wycofuje się z ugody i 30 czerwca 1988 r. wyświęca bez zgody Rzymu czterech biskupów — Francuza, Anglika, Argentynczyka i Szwajcara. Arcybiskup rozpoczął tworzenie niezależnej od Rzymu hierarchii katolickiej. Rzym odpowiedział generalną ekskomuniką arcybiskupa i współpracowników jego schizmy.

Jak ocenić znaczenie tych dramatycznych wydarzeń? Historyczne potknięcie, kościelna katastrofa? Myślę, że fakt iż wszystko to rozgrywa się przy akompaniamencie dostojnej mszy trydenckiej, w szatach pontyfikalnych, niejako w dymie kadzideł, skłania do przecenienia znaczenia i wymowy dramatu. Karambolów tego rodzaju — herezji, schizm, klątw i ekskomunik — w historii Kościoła było mnóstwo. Tu przede wszystkim skala wydarzeń jest stosunkowo niewielka: około 250 księży lefebvrystów, działających w enklawach skrajnie konserwatywnego katolicyzmu rozsianych z rzadka po całym świecie, przeważnie skrajnie konserwatywnych również w sensie politycznym. We Francji mieszanika arystokratyczno-prawicowomieszczkańska w stylu *Action Française* Charlesa Maurras, dziś głosząca na Jeana Le Pen, w Hiszpanii katolicy frankiści, Argentyna gen. Videli i Chile gen. Pinocheta. Takie w każdym razie były sympatie arcybiskupa Lefebvre. Po drugie, cały ruch z natury rzeczy żyje w stanie intelektualnej izolacji, żadna myśl z zewnątrz ani żadna nowa myśl nie mają do niego dostępu. To charakterystyczna cecha kościelnego integralizmu. Lefebvre sam był człowiekiem dość miernej inteligencji. („W niebie nie ma protestantów, są tylko katolicy”.) Po trzecie, to co w ruchu można uznać za pozytywne, znajduje sobie także inne środki wyrazu i formy organizacyjne, które

całkiem dobrze się mieszczą w posoborowym Kościele, nawet jeśli tym ludziom, jako lefebvrystom, nie wszystko w posoborowym Kościele odpowiada. Bo można uznać za pozytywne umiłowanie mszy trydenckiej czy inne formy tradycyjnej katolickiej religijności, które bynajmniej nie są zakazane, a nawet są nadal oficjalnie pielęgnowane. Należy podkreślić, że Lefebvre został ekskomunikowany nie tyle za treść swojej nauki, co za jaskrawe naruszenie kościelnej dyscypliny. Od tego czasu pewna liczba jego zwolenników, w tym poważne zgromadzenie zakonne, zadeklarowała posłuszeństwo Rzymowi, z tym że Rzym zezwolił im na dalsze praktykowanie trydenckiej liturgii. To jeden paradoks. Drugi paradoks polega na tym, że Lefebvre, buntując się przeciw soborowi w imię katolickiej tradycji, której ostoją i ośrodkiem jest papież, czuł się zmuszony do wypowiedzenia posłuszeństwa papieżowi. Źródło konfliktu zatem leży nie w sferze doktryny, troski o katolicką prawdę i dusze ludzkie, lecz w sferze instytucjonalnej, troski o autorytet kościelnego aparatu. Stanowi to dziwne — i niebezpieczne — odwrócenie neutralnych priorytetów: to przecież instytucja ma służyć prawdzie i dobru dusz, a nie na odwrót. Można powiedzieć, że na tym polegał sens soboru. Ale w tym wypadku winne naruszenia właściwych priorytetów są obie strony, zarówno ta która atakowała jak i ta która broniła soboru. Na szczęście to, że spór dotyczy sfery instytucjonalnej, która pełni rolę służebną w stosunku do spraw natury zasadniczej, doktrynalnych, z kolei w dalszym stopniu pomniejsza wagę całego incydentu. Stosunkowo mało istotne różnice doktrynalne między obu stronami w tym sporze to nic w porównaniu z wielkimi problemami teologicznymi i etycznymi chrześcijaństwa u progu XXI wieku po Chrystusie (ekumenia, pokój religijny, prawa człowieka, wolność badań etc.) A debata nad tymi problemami nie prowadzi na ogół do nowych podziałów religijnych czy schizm: katolicy różnych poglądów pozostają katolikami, inni chrześcijanie pozostają sobą i wszyscy uznajemy, że nie-chrześcijaństwo i tak zwani niewierzący też mają w tych sprawach coś do powiedzenia. Także to, co mają do powiedzenia bardziej tradycyjni katolicy, ci ultra-konserwatywni spod znaku Lefebvre'a czy bardziej umiarkowani spod znaku Watykanu, liczy się oczywiście w tej debacie nie mniej niż to, co mają do powiedzenia tak zwani postępowi katolicy. Zapewne żyjemy, jak mówi Pismo św., „w ostatnich dniach”, ale nie wiadomo, jak długo te ostatnie dni mogą potrwać. I wcale nie jest pewne, że tradycja katolicka w ciągu 2000 lat już powiedziała swoje ostatnie słowo. Sądząc po postępach chrześcijaństwa w świecie i w duszach ludzkich do tej pory, Kościół musi być wciąż jeszcze bardzo młody. I kto wie, co tradycja ma nam jeszcze do powiedzenia w ciągu następnych 2000 lat? Nawet i wtedy jeszcze nie wygaśnie aktualność słów psalmu, który już dziś liczy sobie 3000 lat (Psalm 119, przekład Miłozza, ww. 26, 27, 29, 30). I psalmista wciąż jeszcze będzie się modlił: „daj mi zrozumieć”.

*Drogi moje opowiedziałem i wysłuchałeś mnie,
naucz mnie ustaw Twoich.*

*Drogę przykazań Twoich daj mi zrozumieć,
a rozpamiętywać będę dziwy Twoje...*

*Drogę kłamstwa oddał ode mnie
i prawem Twoim obdaruj mnie.*

*Drogę prawdy wybrałem,
wyroki Twoje stawiam przed sobą.*

Antoni POSPIESZALSKI

Kościół polski w republikach sowieckich

Kraków 3.03.1991

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako że zdarzało się nam ostatnio bywać często w ośrodkach katolickich Związku Sowieckiego, p. Tomasz Niegodysz zwrócił się do nas z prośbą o opinię na temat ewentualnych zjawisk „polonizacyjnych” na terenie niektórych republik Związku Sowieckiego oraz roli, jaką miałyby odgrywać w tych zjawiskach Kościół polski. Z chęcią podzielimy się naszymi obserwacjami na ten temat, jednak nasze zdanie musimy opatrzyć pewnym zastrzeżeniem. Otóż w tej sprawie idealnie sprawdza się powiedzenie: *quot caput, tot sententia* i pewnie należałoby przeprowadzić mnóstwo szczegółowych badań, aby otrzymać w miarę prawdziwy obraz. Nasze spostrzeżenia zatem siłą rzeczy będą wyrwykowe i fragmentaryczne. Poza tym obraz stosunków narodowo-religijnych niewątpliwie jest kształtowany przez „okulary”, jakie, często bez złej woli, nakładają nam nasi przewodnicy czy rozmówcy. Stąd z góry przepraszamy za wszelką niekompetencję czy jednostronność oraz prosimy o potraktowanie tego listu jako wypowiedzi najzupełniej prywatnej.

1. Moskwa i Leningrad

Tu sytuacja jest stosunkowo najbardziej klarowna. Kościół rzymskokatolicki przetrwał zasadniczo w dwóch ośrodkach — kościele św. Ludwika w Moskwie i Matki Bożej z Lourdes w Leningra-

dzie. Przez lata do świątyń tych Rosjanie nie mieli wstępu (zakaz władz komunistycznych egzekwowany inwigilacją, przesłuchaniami itp.), wobec tego religijność przechowała się w polskiej „oprawie”. Dziś przeto, gdy mszę świętą odprawia się w tych kościołach również z elementami języka rosyjskiego, zdziwienie wielu gości budzi fakt, że pieśni śpiewane są po polsku nawet przez tych parafian, którzy na co dzień polskiego nie używają bądź w ogóle nie znają. Zjawisko to, odbierane przez niektórych jako „polonizacja”, jest więc wynikiem sytuacji społecznej, nie zaś świadomej akcji Kościoła polskiego. Obecnie w Moskwie i Leningradzie działają już duszpałsterze akademicy dla studentów polskich (obaj są dominikanami), ale nie przejmują oni parafii lecz współpracują z miejscowym klerem. Możemy dodać, że rozumieją oni świetnie potrzebę dostosowania liturgii do języka i kultury rosyjskiej. Trwają też starania — prowadzone przez dominikanów Rosjan — o utworzenie czysto rosyjskich parafii obrządku łacińskiego. Trzeba przyznać, że Polacy tam mieszkający często nie rozumieją tych prób, lecz niezrozumienie to związane jest częściej z obawą o rozbitcie parafii niż z względami narodowymi, choć i te występują.

2. Łotwa i Litwa

Na Łotwie sytuacja wygląda nieco inaczej. Tu w kręgach kościelnych przez wiele lat obawiano się „polonizacji”. Kilka czynników podtrzymywało to napięcie:

- polityka władz komunistycznych „straszących” Polską;
- bardzo mały procent kleryków pochodzenia łotewskiego w ryskim seminarium duchownym w stosunku do Polaków, Niemców itp.;
- fakt, że seminarzyści musieli uczyć się polskiego w celu korzystania z podręczników;
- gloryfikowanie przez niektórych miejscowych księży polskiego Kościoła, polskiej pobożności, wierności, odwagi itp.;
- w ostatnim roku seminarium duchowne w Rydze opuściło 35 kleryków (głównie członków zgromadzeń zakonnych) przenosząc się na studia do Polski, co oczywiście budzi obawy.

Niewątpliwie można spotkać grupy Polaków o silnie zaakcentowanym poczuciu narodowym, co może przybrać formy rażące dla Łotyszów, ale osobiście nie zetknęliśmy się z czymś takim. Również księża polscy przyjeżdżający na Łotwę zachowują się bardzo poprawnie.

Niestety nieco inaczej przedstawia się rzecz na Litwie. Tutaj konflikt narodowy przebiega przez sam środek Kościoła. Ludność jest bardzo silnie spolaryzowana i stan ten — piszemy to z ubolewaniem — podtrzymują często księża, zarówno litewscy jak i polscy. Niemal pierwszym odruchem Polaków z Wilna na widok księ-

dza z Polski są łyzy i opowieści o prześladowaniach polskości przez Litwinów. Ogromna część Polaków nie chce pogodzić się z warunkami społeczno-politycznymi, nie zauważa w ogóle podejrzaną rolę Moskwy, która wciąż żeruje na polsko-litewskim antagonizmie. Z drugiej strony kościelne władze w Wilnie zachowują się prowokacyjnie: w katedrze nie ma mszy świętej po polsku, absolutnie brak zgody na umożliwienie pracy księżom z Polski, bardzo antypolskie wypowiedzi hierarchów itp. — wszystko to z lęku przed polonizacją. Musimy jednak przyznać, że zdarzają się epizody, które taką postawę mogą budzić lub podtrzymywać. Mamy na myśli np. kazania księży z Polski, w których pobrzmiewa nuta nacjonalistyczno-rewindykacyjna. Z tym łączy się poczucie wyższości Kościoła polskiego i polskiej pobożności nad katolicyzmem litewskim. Widać przy tym często całkowitą nieznajomość sytuacji Kościoła na Litwie. Na przykład dwa lata temu w kościele Św. Ducha (kościół dla Polaków) jakiś biskup z Polski, w czasie spotkania z wiernymi, poprosił towarzyszącą mu siostrę zakonną, żeby zademonstrowała swój habit: „bo ludzie tu z pewnością dawno żadnej siostry nie widzieli”. I oczywiście uraził w ten sposób głęboko co najmniej kilkanaście sióstr zakonnych obecnych na tym spotkaniu, które wprawdzie oficjalnie bez habitów, ale żyły życiem zakonnym nawet we wspólnotach. Wydaje się nam, że ze znanych nam republik właśnie Litwa jest miejscem, gdzie problem „polski” jest najboleśniejszy również w Kościele.

3. Ukraina

Ten fragment należy znowu rozpocząć od przypomnienia rzeczy oczywistej — a mianowicie, że istnieje ogromna różnica między Zachodnią Ukrainą a Podolem, czy Kijowszczyzną zarówno, gdy idzie o problemy religijne jak i narodowe.

Księża katolicy dość powszechnie rozumieją, że należy wprowadzać do liturgii elementy języka ukraińskiego (kazania, ogłoszenia duszpasterskie). W wielu miejscach cała msza święta odprawiana jest w języku ukraińskim (np. Kijów, Fastów), a trzeba wspomnieć, że ponieważ nie ma dotychczas zatwierdzonego mszału w tym języku — księża wkładają dużo wysiłku w tłumaczenie tekstów liturgicznych. Kler rzymskokatolicki to na Ukrainie przede wszystkim Polacy i Łotysze. Wielu katolickich świeckich (głównie młodych), uważających się za Polaków, jest zdecydowanie „za” językiem ukraińskim w liturgii rzymskiej. Są księża, którzy bronią wyłączności języka polskiego w liturgii, lecz jest ich niewielu.

Należy wspomnieć, że w kwestii języka liturgii, kler rzymskokatolicki znajduje się czasem między przysłowiowym młotem a kowadłem, ponieważ z jednej strony Ukraińcy protestują przeciw wprowadzaniu narodowego języka do liturgii rzymskiej (np. jeden z biskupów greckokatolickich ostro sprzeciwiał się odprawianiu mszy

świętej po ukraińsku w Kijowie, bojąc się, że wierni zaczną uczyć się do kościoła „łacińskiego”, choć nie są Polakami); z drugiej strony część wiernych obrządku rzymskiego sprzeciwia się stosowaniu języka ukraińskiego w liturgii, widząc w tym zagrożenie dla polskości, choć wielu z nich słabo lub wcale nie mówi po polsku.

Występuje zjawisko poczucia wyższości, lecz nie pogardy, kleru katolickiego w stosunku do księży greckokatolickich, a zwłaszcza prawosławnych, co może być utożsamiane z manifestacją wyższości narodowej i kulturalnej. Wydaje się, że ten problem będzie jeszcze bardziej widoczny, jeśli niewiele zmieni się w kwestii kształcenia księży greckokatolickich na Ukrainie. Obecnie są tam dwa mocno przepelnione seminaria (wielu seminarzystów ma żony i dzieci), a zupełnie brak wykładowców i ojców duchownych.

Świeccy katolicy pochodzenia polskiego prawie nie mówią po polsku, choć zachowują silną świadomość przynależności narodowej. Podobnie jak księża, wykazują dużą nieufność do ukraińskich niezależnych organizacji demokratycznych typu „Ruch”. Niektórzy Polacy wprost alergicznie reagują na błękitno-żółtą flagę, a nawet na samo słowo „Ukraina”. Z pewnością postawa tych ludzi może być brana za próbę „polonizacji”, czy walki z ukraińską świadomością narodową. Skądinąd można usłyszeć głosy, iż obecne (demokratyczne) władze na Zachodniej Ukrainie mają nastawienie silnie anty-rzymskokatolickie, co przejawia się między innymi w fakcie, że wszystkie zwroty budynków kościelnych Kościołowi rzymskiemu dokonały się w czasach komunistycznych, a od momentu zwycięstwa demokratów w wyborach Kościół nie otrzymał żadnego budynku. Są fakty, które potwierdzają taką opinię — np. we Lwowie odmówiono zwrotu klasztorów karmelitom i bernardynom, a obsadzono je bazylianami.

Konkluzja

Problem „polonizacji” dokonywanej jakoby rękami Kościoła zarówno na Ukrainie, jak i w wielu innych miejscach Związku Sowieckiego, to nie tyle problem konkretnych działań Polaków czy to przyjeżdżających z kraju, czy tam mieszkających (może z wyjątkiem Litwy), ile problem utożsamiania zachodniego katolicyzmu z polskością. W takiej sytuacji wszelkie animozje wewnętrzkościelne bardzo łatwo utożsamiać, lub wręcz przekształcić w konflikty narodowe i na odwrót.

Niestety nie posiadamy wiadomości z Białorusi, ale mamy nadzieję, że kilka refleksji jakie przedstawiiliśmy pomoże Panu dopełnić obraz interesującego Pana zagadnienia. Jeśli tak, to bardzo nas to ucieszy.

Na zakończenie pragniemy opowiedzieć zabawną historię, która przydarzyła się jednemu z nas w moskiewskim metro i jest swoistą ilustracją polskiej mentalności. Otóż jakiś starszy mężczyzna usły-

szawszy, że mówimy po polsku, przysiadł się do nas i przedstawił jako Polak z pochodzenia. Jego prababka — pańszczyźniana chłopka — została wraz z rodziną sprzedana jakiemuś dziedzicowi na Ukrainie. Dopiero on z matką przeprowadził się do Moskwy. Mówił bardzo łamaną polszczyzną, nie miał chyba żadnych kontaktów z Polonią, czy krewnymi w kraju. A swoją wypowiedź zakończył westchnieniem: „I tak tu musimy pracować na tych Rosjan. Oni by bez nas zginęli, bo to strasznie leniwy naród”. Tak, on wiedział, co znaczy być Polakiem.

Nazwiska znane Redakcji

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.

Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czasopisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

Sąsiedzi

Prawo karmy

Religia hinduska twierdzi, że wszystkie złe i dobre uczynki człowieka wracają do niego w końcu jak bumerang. Nazywa się to prawem karmy. Dlatego, słysząc zewsząd skargi dzisiejszych nacjonalistów — rosyjskich i gruzińskich, żydowskich i tatarskich, nawet polskich — że tragedia ich narodu nie miała sobie równych, mam wciąż ochotę poradzić im, aby szukając winnych skierowali wzrok nie ku cudzej, a przede wszystkim ku własnej historii i w niej szukali odpowiedzi na pytania, które ich dręczą.

Jak wygodnie, jak łatwo jest czuć się ofiarą okoliczności politycznych, niewoli narzuconej przez obcych, światowego spisku; samemu, jak w piosence Okudźawy, niczemu nie jest się winnym. Jest to, owszem, wygodne, ale delikatnie mówiąc nie całkiem odpowiada prawdzie, a szczerze mówiąc nie jest przyzwoite.

Wśród części inteligencji rosyjskiej weszło teraz w modę rwanie szat, kajanie się, posypywanie głowy popiołem i oskarżanie siebie i swojego narodu o wszystkie grzechy totalitaryzmu. Temu moralnemu odruchowi można tylko przyklasnąć: widocznie destrukcyjna ideologia nie wypaliła w duszach najlepszych synów narodu rosyjskiego odruchów sumienia, czci, wielkoduszności. O ile, naturalnie, poryw ten jest szczerzy i trwały. (Mam gorzkie doświadczenia z pokutnikami na emigracji. Jeden taki inteligent na przykład przyjechał na Zachód jako liberalny demokrat z wagonem obrazów i walił prozy; kiedy zrozumiał, że jego obrazy są marne, a proza jeszcze gorsza, natychmiast za skromną opłatą zaczął się kajać przed Ukraińcami. Zapłata najwidoczniej nie zaspokoila jego potrzeb i wkrótce przekwalifikował się na rosyjskiego szowinistę i antysemitę, czołowego publicystę pisma *Golos rodziny*. Następnie wrócił do Związku Sowieckiego i kręci się gdzieś w okolicach *Pamiati*). Ale bądźmy optymistami.

W związku z tym zadaję sobie pytanie, czy inteligencja innych narodów, które znalazły się w orbicie totalitaryzmu, nie ma sobie nic do zarzucenia. Czy ich sumienie naprawdę jest czyste jak śnieg? Czy w tym wszystkim, co się z nimi stało, nie było części ich winy?

Niestety nikt z nich (z wyjątkiem jedyne go chyba Vaclava Havla, który już w pierwszym prezydenckim przemówieniu wezwał swój naród, aby wziął na siebie część odpowiedzialności za ogólnonarodową tragedię) nie zdradza najmniejszej ochoty, aby przyznać, że osobiście, nawet jeśli tylko pośrednio, uczestniczył w zbrodniach totalitarnego ustroju.

Spróbujcie na przykład oskarżyć gruzińską inteligencję o stalinizm. Oszalesiecie, oburzą się jej najlepsi synowie, nigdy w życiu, co za bzdura! A tymczasem przeczytaliśmy w *Moskowskich nowostiach*, że przedstawiciele siedemdziesięciu ośmiu miast gruzińskich zebrawali się w Gori i założyli stowarzyszenie „Stalin”, które — jak informuje deklaracja założycielska — ma bronić „wielkiego bojownika przeciwko faszyzmowi i syjonizmowi”. Na czele tej drużyny stanął nie jakiś ćwierćalfabeta typu Wasiljewa, a członek rzeczywisty gruzińskiej Akademii Nauk — ale społeczeństwo gruzińskie najwidoczniej uważa, że to jest w porządku. W całej republice obala się pomniki założycieli państwa sowieckich i heroldów systemu kłamstwa i niewoli, od Ordżonikidze do Lenina, ale „najlepszego przyjaciela sowieckich więźniów” nikt nie śmie tknąć, stoi sobie we wspomnianym Gori na postrach wrogom, wskazuje ludziom drogę ku ziejącym wyżynom raju na ziemi.

Gruzińska inteligencja nie wstydzi się też tego, że na jej oczach inni rodacy tworzą biuro polityczne międzynarodowej partii komunistycznej, w którego skład wchodzi wszystkie żyjące jeszcze skamieliny totalitarnej ideologii od Fidela Castro do Niny Andriejewej. Nie spędza jej snu z powiek fakt, że pod rozkazami wymordowania milionów niewinnych ludzi i deportowania całych narodów widnieją gruzińskie imiona i nazwiska. Za to zawsze jest gotowa oburzać się na „rosyjski imperiaлизм”, „rusyfikację”, „rosyjską okupację” i stara się nie widzieć, że „rosyjską okupacją” dowodził Kikwidze, że polityczne instrukcje wydawał mu Ordżonikidze, a popierali ją gruzińscy bolszewicy pod przewodnictwem nie najgorszych spośród nich, jak Okudźawa, Orachelaszwili i Mdiwani. Ale sięgnijmy do najnowszych czasów: jakimi mianowicie torturami wymuszono na gruzińskich działaczach kulturalnych (i znów wcale nie najgorszych) ohydne napaści na Sacharowa i Sołżenicyna? Czym kierowali się inni spośród nich, sporządzając i ogłaszając rasiowskie, utrzymane w duchu *Pamięci* badania małych narodów swojej republiki — Abchazów, Osetyńców, Meschów i Łaków —

podpierając te badania lokalnymi przelewami krwi?

Nie można oczekiwać ani żądać od innych tego, do czego samemu nie jest się zdolnym.

Popieram z całego serca dążenia narodów nadbałtyckich do pełnej niezawisłości i gotów jestem na miarę swoich możliwości wszelkimi sposobami sprzyjać temu procesowi. Wypada jednak, by inteligencja tych krajów, która oskarża naród rosyjski o wszystkie grzechy śmiertelne, nie zapomniała i o swoich. Niech nie zapomina, że przedwojenni przywódcy Nadbałtyki nie okazali specjalnej odwagi w stosunkach z uzurpatorskim rządem sowieckim, że — sądząc z kronik filmowych tamtych lat — okupantów ze wschodu witały entuzjastyczne tłumy (ludzi wówczas nie rozpędzano siłą! Czyżby to byli przebrani Rosjanie?) i że po okupacji komitety partyjne, sowieckie i organy ścigania kompletowano nie tylko z Rosjan. Mój ojciec na przykład — zwykły robotnik i Rosjanin — odsiadywał tamtego roku karę w zatoce Nagajowo za trockizm, a ojciec godnego najwyższego szacunku, wybitnego litewskiego emigranta Tomasa Venclovy przyjechał do Moskwy w składzie litewskiej delegacji, która prosiła o wcielenie Litwy do ZSSR. Który z nich bardziej zawinił? Biorę na siebie całą winę za okupację Nadbałtyki, ale może wypadałoby, aby wielki litewski poeta podzielił ją ze mną?

A i obecni przywódcy ruchów wyzwoleniczych Nadbałtyki, których aspiracje ze wszech miar popieram, przed nastaniem *pieriestrojki* nie biegali, o ile wiem, z naganem po lasach i nie siedzieli w łagrach (tych, którzy siedzieli, nie widzę niestety w ich szeregach), tylko robili zwykle, konformistyczne sowieckie kariery. Czy też dziś nie uważa się już tego za kolaborację? W nagonce na Sacharowa i Sołżenicyna inteligencja nadbałtycka (sam Mieżełajtis!) też przecież uczestniczyła nie pod groźą śmierci i obozu koncentracyjnego.

Bywając na Łotwie w Domu Pracy Twórczej, często słyszałem z ust tubylców sakramentalne: „Nikt was tu nie prosił!”. Odpowiadałem na to zawsze i nadal odpowiadam: „A czy my prosiliśmy Łotyszów, aby w Moskwie ratowali władzę sowiecką 6 lipca 1918 roku? Czy zapraszaliśmy ich do partii komunistycznej i aparatu ścigania Rosji? Czy zmuszaliśmy ich, aby się przez tyle lat płaszczyli przed Moskwą?” Przyznacie chyba, że obecny prezydent Litwy Gorbunow, którego dzisiejsze stanowisko w pełni popieram, nie wskoczył na stolec prezydencki wprost z lefortowskiego więzienia.

Nie zaszkodziłoby też, gdyby litewska inteligencja pokajała się za ciężki grzech antysemityzmu, którego dopuścili się jej rodacy. Na liście poszukiwanych do dziś zbrodniarzy wojennych (studiowałem tę listę w związku z artykułem na temat sprawy Demianiuka w *Kontynencie*) przedstawiciele krajów nadbałtyckich

zajmują niestety, delikatnie mówiąc, daleko nie ostatnie miejsce.

Mnóstwo okrutnych artykułów można dziś znaleźć o Babim Jarze albo Katyniu, ale nie spotkałem w prasie litewskiej (w każdym razie po rosyjsku) prawie żadnych wzmianek o 200 tysiącach Żydów, zamordowanych na Litwie rękami Litwinów, bez żadnego udziału hitlerowców, tylko za ich milczącą zgodą. A kiedy znany litewski opozycjonista, były więzień Antanas Terleckas w 21-szym numerze *Kontynentu*, a Tomas Venclova w prasie zachodniej apelowali do swoich rodaków, aby potępił ten haniebny akt, na apel ich odpowiedziały obelgi litewskich emigrantów i grobowe milczenie z Litwy. Chodzi, powtarzam, o dwieście tysięcy istnień ludzkich, to znaczy o co dziesiątego mieszkańca republiki.

Widocznie w takich przypadkach rozmaici działacze kultury wolą oceniać swój naród miarą socrealizmu: nie taki, jaki jest, tylko taki, jakim chciałoby się go widzieć.

W świetle tej zasady rodzimi kaci wyglądają chwilami całkiem szacownie. Nawet stalinowski satrapa Uzbekistanu Ikramow (on to, nawiasem mówiąc, wygłosił najbardziej odrażającą, łajdacką mowę na procesie Bucharina) zmienia się pod wprawną ręką jego syna w jakiegoś „świętego Sebastiana” na wschodnią modłę. Organizator i szef pomoru głodowego na Ukrainie Postyszew staje się niewinnym aniołem, a ćwierćalfabeta Skrypnik wybitnym ukraińskim nosicielem oświaty i humanistą — tylko dlatego, że nie spodobał się Stalinowi.

Skoro mówimy o Ukraińcach: przeczytałem niedawno w *Literaturnoj gazecie* artykuł doskonałego publicysty Anatola Strielanego o imperialnej psychice inteligencji rosyjskiej. Proponuję autorowi, aby przejrzał emigracyjną (a dziś już nie tylko emigracyjną) prasę dowolnego narodu ZSSR. Prawie cała zajmowała się latami wyłącznie przesuwaniem granic, rzecz jasna nie na korzyść sąsiadów. W Białym Domu w gabinecie pana Kuropasa — doradcy byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Forda do spraw mniejszości narodowych (zwracam uwagę, że nie był to szary człowiek z ulicy, lecz polityk, intelektualista z cenzusem uniwersyteckim) — wisiała mapa, na której Ukraina rozpościerała się aż po Ural; zdaniem dość wpływowych ukraińskich kręgów na emigracji powinna ona objąć także Syberię, ponieważ odkrył ją Ukrainiec. Po co więc, panie Anatolu, szukać źdźbła w oku sąsiada? Lepiej zajrzeć do swojego, czy nie ma w nim belki.

I tak dochodzimy znowu do zaczarowanego kręgu relatywizmu moralnego, z którego nie ma wyjścia. Otchłań bez dna.

Jeśli wyjdziemy poza teren ZSSR, obraz rysuje się bardzo podobny. Wiele Polsce zawdzięczam: tam zacząłem drukować moją prozę, pierwsi poparli mnie polscy krytycy; na emigracji moimi najwierniejszymi sojusznikami okazali się przyjaciele z cie-

szącego się największym autorytetem polskiego miesięcznika *Kultura*. Byłem też pierwszym, który napisał apel w sprawie Katynia „Obejrzyj się i odpokutuj”, który (po raz pierwszy i chyba ostatni na Zachodzie) podpisali przedstawiciele właściwie wszystkich prądów rosyjskiej emigracji politycznej i kulturalnej. To właśnie uprawnia mnie do całkowitej szczerości.

Wielka jest wina dawnej Rosji wobec Polski, a jeszcze większa Rosji porewolucyjnej. Mimo to przygnębiają mnie liczne fakty z niedawnej polskiej historii. Dlaczego, pytam, wielki Piłsudski nie znalazł wspólnego języka z rządem południowej Rosji, który pierwotnie uznał niezawisłość Polski, dlaczego wołał sojusz z byłym przestępcą kryminalnym Marchlewskim, którego Tuchaczewski wioził w swoim obozie jako następcę polskiego marszałka? Dlaczego na krzyki z sowieckiej ambasady rząd polski zakazywał rosyjskim ludziom kultury na emigracji, w szczególności Iwanowi Buninowi, wykładów na terenie Polski? Dlaczego Polska pierwsza, wyprzedzając Mołotowa i Ribbentropa, zawarła pakt z hitlerowskimi Niemcami? I dlaczego Mikołajczyk nie mógł się powstrzymać, aby już po wiarołomnym czwartym rozbiórce Polski układać się w rozmaitych sprawach ze Stalinem? Czy to Rosjanie zabijali w polskich komisariatach działaczy Solidarności? Czy to Rosjanie zamęczyli na śmierć księdza Popiełuszkę? Czy tylko rosyjska propaganda tumaniała polski naród przez czterdzieści lat?

Rosjanie, którzy ucieleśniają niestety dla naszych braci z obozu socjalistycznego ustrój totalitarny, byli tylko zbrojną gwarancją istnienia miejscowej oligarchii partyjno-państwowej i jej pretorianów. Niczym mniej, ale i niczym więcej. Miejscowe reżymy stały miejscowym konformizmem i oportunizmem.

To samo można powiedzieć o Czechosłowacji. Od dnia swych narodzin rząd jej prowadził politykę otwarcie promoskiewską. Kto pamięta, że w latach trzydziestych Benes bez żenady podjął się więcej niż wątpliwego pośrednictwa w przekazaniu Stalinowi sfabrykowanych przez hitlerowski wywiad dokumentów o „spisku wojskowych” w ZSSR? W lutym 1948 r. pewna część społeczeństwa czechosłowackiego bez najmniejszego udziału obcych czołgów sama, własnymi rękami zdławiła czeską demokrację parlamentarną. W tej zbrodni wobec historii i narodu najczynniej uczestniczyli liczni późniejsi przywódcy Praskiej Wiosny, na przykład Smrkovsky, Dubczek, Pelikan i szereg innych. Ci sami przywódcy obojętnie, a nawet z aprobatą przyjęli zdławienie rewolucji węgierskiej i mordowanie polskich robotników w 1956 roku. Przejeździ na oczy (zresztą nie wszyscy) dopiero w 1968 roku, kiedy już było za późno. Ale i potem 25% (dwadzieścia pięć procent!) dorosłej ludności Czechosłowacji należało do partii komunistycznej, przy czym należy dodać, że

wstępujący neofita musiał wyrazić aprobatę dla „bratniej pomocy”.

Czas już, abyśmy wszyscy dostrzegli bardzo prostą prawdę: obce czołgi na ulicach własnego kraju nie były przyczyną, lecz skutkiem własnej kapitulacji. Na uznaniu tej prawdy polega polityczna wielkość Vaclava Havla.

Ten tylko godzinien życia i wolności
Kto dnia każdego stacza o nie bój

Nie wspomnę już o Rumunii i Albanii, gdzie po wojnie nie powstała w ogóle stopa żołnierza sowieckiego, a reżymy były jeszcze bardziej zbrodnicze niż stalinizm, ani Niemiec Wschodnich, których kierownictwo — sądząc po niedawnej publikacji w *Moskowskich nowostiach* — było w stosunku do własnego narodu znacznie okrutniejsze niż sam Ławrientij Beria. Mimo to wielu mieszkańców tych krajów przypisuje swoje obecne nieszczęście „rosyjskiemu imperializmowi”. „Dobrze jest zwykłym być żołnierzem/ I żadnej winy nie mieć na sumieniu...”

Wojna afgańska nie była tylko decyzją Moskwy. Powiedzmy wprost: nie mam żadnych powodów, aby czuć się odpowiedzialnym za Afganistan, bo jako jeden z pierwszych wystąpiłem w obronie afgańskiego ruchu oporu. Należałem do grupy (byli w niej też Władimir Bukowski, Edward Kuzniecowa, Arman Małumian, Olga Swincowa, Ludmiła Torn), która pomagała mu zarówno politycznie, jak moralnie i materialnie, organizując ewakuację z Afganistanu jeńców sowieckich i w miarę możliwości starając się o ich bezpieczeństwo w niewoli. Dlatego podczas paryskiej rozmowy z jednym z głównych przywódców afgańskiej opozycji, dr. Rabbani, pozwoliłem sobie szczerze podzielić się z nim wątpliwościami; dlaczego wszystkie rządy tego — jak go dziś nazywają — liczni sowieccy publicyści — dumnego i miłującego wolność narodu posłusznie maszerowały w koleinach polityki Moskwy, bez szemrania popierały we wszystkich międzynarodowych organizacjach wszystkie, nawet najbardziej wątpliwe jej akcje? Dlaczego wydawali w ręce swego północnego sąsiada wszystkie, co do jednego uciekinierów? Dlaczego wszystkie szyldy w dużych miastach pisane były w dwóch językach, po afgańsku i po rosyjsku? Dlaczego z takim zapalem budowali „autostradę przyjaźni”, którą w 1979 r. ruszyły na nich nasze czołgi? Dlaczego ze wszystkich uczelni na świecie wybierali sowieckie, gdzie też przygotowano im na ich własną zgubę rodzimych, afgańskich katów? Dlaczego wreszcie nawet dzisiaj, kiedy na afgańskiej ziemi nie został praktycznie ani jeden sowiecki żołnierz, wcale pokażna część „dumnego i miłującego wolność narodu” nie spieszy się wcale z ucieczką spod sztandarów powszechnie pogardzanego Nadżibullaha, a sześć opozycyjnych

partii nie jest w stanie uzgodnić wspólnej platformy działania? Czy i to należy tłumaczyć knowaniami tradycyjnego „rosyjskiego imperializmu”?

Na chwałę dr. Rabbani należy zapisać, że zgodził się ze mną i przyznał, że polityka wszystkich poprzednich rządów afgańskich nie mogła doprowadzić do niczego innego, jak okupacja. Nie można być dumnym ani kochać wolności kosztem dumy i wolności sąsiada.

Na koniec kilka słów z innej beczki. Niech spróbują mi odpowiedzieć miłośnicy wyjaśniania zagadek historii przy pomocy prostego klucza rusofobii: z jakiego powodu, wskutek jakich tradycji historycznych co czwarty (a jeszcze niedawno co trzeci!) urodzony w wolnym kraju Włoch, który wie czym jest praktyka ideologicznego totalitaryzmu i ma dostęp do pełnej informacji na ten temat, podobnie jak Nina Andriejewa nie chce „wyrzec się zasad” i przy każdych wyborach konsekwentnie głosuje na komunistów? Jest to dokładnie taki sam procent, jaki odnotowano w Rosji przy wyborach Konstytuanty. Ale tamto działo się w sytuacji wyjątkowej, w chwili kryzysu społecznego, społecznego, gospodarczego, politycznego i wojskowego, a eksperyment jeszcze nie został sprawdzony — podczas gdy Włosi głosują w czasach, kiedy wyniki eksperymentu są widoczne jak na dłoni.

Podsumujmy.

Ja, rosyjski pisarz Władimir Maksimow, syn i wnuk robotników-komunistów, przedstawiciel najliczniejszego narodu w systemie totalitarnym, jestem gotów wziąć na siebie największą część winy za jego zbrodnie i zrobić wszystko co w mojej mocy, aby winę tę odkupić. Ale jeśli moi bracia w niedoli — od Gruzinów i Ukraińców do Żydów i Ormian — nie zechcą podzielić się ze mną odpowiedzialnością — każdy na swoją miarę — to po prostu nie mamy o czym mówić. W takim przypadku wszystkie słowa o wolności, demokracji, niezawisłości i odrodzeniu narodowym będą miały prawo uważać za bezwstydną, samobójczą demagogię, która — jestem o tym przekonany — może się skończyć tylko we krwi, i to obfitszej niż poprzednio.

A wtedy niech umarli grzebią swoich umarłych. Każdy — zgodnie z prawem karmy — zasłuży na swoją dołę.

Kontinent nr 66, Moskwa 1991

Władimir MAKSIMOW

W sowieckiej prasie

Mitrydates Wielki, król Pontu i Bosforu przed dwoma tysiącami lat, w obawie przed otruciem zażywał co dnia homeopatyczną dawkę trucizny, aż tak oswoił z nią organizm, że otrucie go nie było możliwe. Obywatele sowieccy tak przywykli do wydarzeń, które jeszcze rok temu byłyby dla nich wstrząsem, że odnosi się wrażenie, iż przestali przywiązywać do nich wagę. Górnicy strajkują już szósty tydzień, teraz grożą strajkiem metalowcy, którzy zresztą i tak nie mogą pracować bez węgla. I nic. Odbyło się pierwsze w dziejach ZSSR referendum — nikt już o nim nawet nie wspomina. Aleksander Szelepin — „żelazny Szurik”, jak go nazywano w latach 60-tych, kiedy obawiano się nowego Stalina — przewodniczący KGB w latach 1958-1961, ogłosił w piśmie *Trud* wspomnienia. Nikt na nie nie zwrócił uwagi. Borys Jelcyn poszedł za przykładem swego konkurenta Gorbaczowa i wymógł na Radzie Najwyższej Rosji specjalne pełnomocnictwa. Michaił Gorbaczow, którego pełnomocnictwa są więcej niż nadzwyczajne, ogłosił na zebraniu rady federacji „program antykrzysowy”, który wreszcie uratuje ZSSR. Wydaje się, że sam prezydent-gensek weń nie wierzy, bo w czasie, który sam nazwał „decydującym”, udał się do Japonii. O możliwościach japońskich pomówimy za chwilę. Na razie dodajmy do listy zdarzeń różnej wagi, na które nikt już nie zwraca uwagi, wywiad Gorbaczowa w *Spieglu*. Jego sens wybito na okładce: „Liczymy na solidarność Niemców”.

Plan „antykrzysowy”, który powinien był zwrócić na siebie uwagę, ogłoszony został, jak już wspomniałem, w radzie federacji, która składa się z przywódców sowieckich republik związkowych. Z piętnastu członków rady obecnych było ośmiu. Nieobecnością świecił m.in. Jelcyn. Jest to wystarczająca wskazówka, jak małe znaczenie przypisuje się kolejnemu programowi ratunkowemu. Mimo to Gorbaczow go wyłożył i warto mu się przyjrzeć.

Przed wszystkim rzuca się w oczy pośpiech. Gorbaczow wciąż powtarza: „W najbliższym czasie musimy podjąć szereg decydujących kroków”, „w najbliższym czasie dopracować, a następnie podpisać umowę związkową”, „bezwzględnie wskazać...”, „rozpatrzyć nie cierpiące zwłoki...” itd., itp. Wszystko trzeba robić szybko, natychmiast, w tej chwili — czas nie czeka! Ale co robić? To samo, co od sześciu lat. Można oczywiście uważać za nowość nacisk, z jakim *gensek*-prezydent mówi o konieczności „zachowania wewnętrznej jedności systemów organów ochrony prawa”, co znaczy tyle, że KGB i MSW nie mają prawa wymknąć się spod kontroli partii. Zamiar wzmocnienia „organów” wyraża też lista głównych obiektów, wymagających dotowania. Gorbaczow podkreśla: „Musimy

finansować obronę funkcjonowania organów ochrony prawa i organów bezpieczeństwa państwa”, a dopiero w dalszej kolejności „nauki podstawowe, kulturę...”

Program Michaiła Gorbaczowa nie zmienia się: jego opoką są wojsko i KGB, a nadzieją Zachód. Rezultaty nie wpłynęły na razie na gospodarkę sowiecką (Niemcy dały dotychczas 60 miliardów marek). Mimo to program został bez zmian, m.in. dlatego, że nie ma innego. W wywiadzie dla telewizji moskiewskiej (p. *Izwestia* z 29.4.) na pytanie, czy władze nie są zbyt biernie wobec naporu opozycji, Gorbaczow odpowiedział: „Poza jakimiś drobnymi elementami opozycja nie ma konstruktywnego programu, więc z tego punktu widzenia nie może z nami konkurować”. Trudno się z nim nie zgodzić.

29 marca Borys Jelcyn zabrał głos na zjeździe deputowanych Rosji. Rzucił wiele szumnych słów: „Ludziom należy przywrócić pełnię praw gospodarczych i politycznych”, „musimy stworzyć warunki powrotu Rosji do światowego systemu rynkowego i kultury”, „trzeba usunąć skutki ciężkich katastrof ekologicznych” itd. Któż temu zaprzeczy? Rzecz jednak w tym, że to samo powtórzył już setki razy Gorbaczow. Prawda nie przestaje być prawdą od tego, że powtarza się ją choćby i tysiąc razy, ale program polityczny to nie to samo: wyświechtane projekty nikogo nie pociągną, nawet jeśli dalej są aktualne. Czytając referat Jelcyna trudno się oprzeć wrażeniu, że dzisiejszy Jelcyn to po prostu wczorajszy Gorbaczow.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym nie odnotował, czym referat Jelcyna różni się od Gorbaczowa: Jelcyn wielokrotnie powtarza słowo „totalitaryzm”, zgadza się, że „system ekonomiczny jest u nas organicznie związany z systemem politycznym” i od ponad siedemdziesięciu lat nie funkcjonuje... Między wierszami znaczy to, że nie funkcjonuje od chwili przejścia władzy przez bolszewików. Jest to prawda. Ale dlaczego mamy czytać między wierszami? Dlaczego Jelcyn, który przedstawia się jako alternatywę Gorbaczowa, nie zrywa ostatecznie z Październikiem? Odpowiedź jest prosta. Jelcyn — podobnie jak jego konkurent — usiłuje uplastować się w centrum, robiąc ustępstwa i wobec lewicy, i wobec prawicy. Gorbaczow trzyma się w centrum sześć lat i jedynym jego sukcesem jest zdobycie ogromnej władzy osobistej.

O wartości programów politycznych stanowią nie obietnice i propozycje, lecz środki, jakimi ich autorzy zamierzają je zrealizować. Program Jelcyna nie zawiera niczego, co pozwoliłoby uznać go za realny. Każde „zapewnić rublowi zdolność do życia”, „natychmiast zorganizować nowe struktury rynkowe”, „rozwinąć denacjonalizację i prywatyzację”. Gorbaczow mówi dokładnie to samo.

Głównym niedostatkiem programu Jelcyna jest zawarta w nim konstatacja, że „aparatus partyjny był i jest główną siłą, sprzeciwiającą się obaleniu totalitaryzmu”. Narzuca się pytanie, na które program nie daje odpowiedzi: co zrobić z aparatem, który się sprzeci-

wia? Co i kogo postawić na jego miejsce? A może go zachować i wykorzystać? III zjazd, na którym Jelcyn wygłosił referat, był zjazdem nadzwyczajnym, zwołanym na żądanie grupy posłów, którzy zamierzali usunąć Jelcyna ze stanowiska przewodniczącego Rady Najwyższej RSFSR. Po licznych przemówieniach i prawdopodobnie jeszcze liczniejszych zakulisowych machinacjach projekt usunięcia Jelcyna zszedł z porządku dnia, więcej, udzielono mu nadzwyczajnych pełnomocnictw i ustalono datę powszechnych wyborów prezydenta Rosji. Sałtykow-Szczedrin powiedział: opozycja, która nie szkodzi, jest opozycją nieszkodliwą.

Odezwał się też inny „opozycjonista”, były minister spraw zagranicznych Szewardnadze, który wstąpił się okrzykiem „nadchodzi dyktatura”. 4 kwietnia paryski *Le Monde* ogłosił długi wywiad z nim. Wynika z niego, że *pieriestrojkę* rozpoczął Szewardnadze, kiedy był pierwszym sekretarzem Gruzji, a popierał go w tym nieboszczyk Breżniew. Gorbaczow, który często przyjeżdżał doń z wizytą ze Stawropolskiego kraju, też uważał, że „trzeba wszystko zmienić”.

Na pytanie o grożącą dyktaturę były szef dyplomacji sowieckiej jak zwykle nie zdradził, z której strony grozi niebezpieczeństwo, uprzedził tylko, że „jeśli nie uda się ustabilizować sytuacji w ZSSR, jeśli zjawi się dyktator, to Europejczycy nie będą mogli spać spokojnie”. Pośłanie jest jasne: Jelcyn, Gorbaczow i wszyscy inni muszą zapomnieć o urazach i osobistych konfliktach, ująć się za ręce i wspólnie rozwiązać wszystkie problemy. Po przejściu na emeryturę Szewardnadze stworzył „niepaństwowe” stowarzyszenie do spraw polityki zagranicznej, dostał dla niego w Moskwie siedzibę byłej ambasady republiki Czad i — jak powiada — poświęcił się walce o idee socjalizmu, które należy realizować budując „praworządne państwo”. Inny towarzysz Gorbaczowa, Aleksander Jakowlew, w swoim czasie członek Biura Politycznego, KC i rady prezydenckiej, też założył „niepaństwowe” stowarzyszenie. Jakowlew nie pełni już żadnych funkcji oficjalnych, ale nieoficjalnie dalej walczy o *pieriestrojkę*. W kwietniu ukazała się w Paryżu jego książka o zniewalającym tytule „Co my chcemy zrobić ze Związkiem Sowieckim”. Najważniejszy w tym tytule jest zaimek „my”, bo co „oni” chcą zrobić, nie jest jasne. Z książki wynika, że poprzedni socjalizm został unicestwiony przez „antystalinowską kontrrewolucję”, a teraz trzeba tworzyć „socjalizm post-termidoriański”. Ten socjalizm będzie dobry: „Wszyscy będą mogli kupić, co zechcą, żyć w mieszkaniach, które sami wybiorą, czuć się bezpiecznie”. Jakowlew optymistycznie patrzy w przyszłość i uważa, że do jego socjalizmu zmierzać też będą kraje byłego obozu socjalistycznego.

W wywiadzie dla telewizji Gorbaczow wspominał o członkach „drużyny prezydenckiej”, którzy odeszli albo zostali przegnani. Rozstał się — jak twierdzi — tylko z jednym albo dwoma, „wszyscy pozostali, mimo że w innej sytuacji, pracują, współdziałają ze mną...”

Wszyscy współpracują, działają ręką w rękę (albo będą działać), ale rzecz jasna — ludzie są tylko ludźmi — niekiedy mają inne zdanie w pewnych sprawach. Na przykład jeśli chodzi o Japonię. Japończycy oczekują, że Gorbaczow odda im (tzn. sprzeda) cztery wyspy Kurylskie, zagarnięte po wojnie. W Związku Sowieckim właściwie wszyscy już rozumieją, że wcześniej czy później wyspy wrócą do Japonii. Rozbieżności dotyczą ceny, jaką Japończycy mają za to zapłacić. Do tego zagadnienia doszło dziś inne: Rosja, tj. RSFSR z Jelcynem na czele oświadczyła, że wyspy Kurylskie nie należą do Związku Sowieckiego, tylko do niej. Z administracyjnego punktu widzenia jest to prawdą, ale jeśli przyjąć taki punkt widzenia, to okaże się, że w ogóle nic nie należy do Związku. Wśród niezliczonych głosów „w kwestii japońskiej” warto zwrócić uwagę na wywiad (dziś wszyscy bez przerwy udzielają wywiadów) sowieckiego człowieka interesu, milionera, wiceprezesa związku prywatnych przedsiębiorców i deputowanego ludowego RSFSR, Artiomy Tarasowa. Przedsiębiorczy Tarasow korzystając z koniunktury szybko zrobił duże pieniądze i stał się ważną figurą *pieriestrojki*. Jego sukcesy wzbudziły naturalnie zawiść i niezadowolenie władz, w ślad za czym poszły rozmaite przykrości. Należało się tego spodziewać i Tarasow spodziewał się. Zaczął się bronić. Między innymi wzbudził sensację ogłaszając, że Gorbaczow zamierza sprzedać Kuryle za 200 miliardów dolarów. Jest to suma fantastyczna (zdaniem ekspertów, cena wysp Kurylskich wynosi ok. 30 miliardów dolarów, w końcu NRD poszło za 15 miliardów). W wywiadzie, o którym mówię (*Russkaja mysl* z 5.4.) Tarasow idzie znacznie dalej aniżeli zwykła transakcja kupna-sprzedaży. Uważa nowy projekt Gorbaczowa za strategiczny zwrot w sowieckiej polityce zagranicznej i twierdzi, że podobnie myślą inni przemysłowcy z Moskwy. Tarasow wychodzi z założenia, że Gorbaczow rozumiał, że ani Stany Zjednoczone, ani kraje zachodnioeuropejskie nie udziela mu wielkich kredytów ani pomocy, i wobec tego postawił na Japonię. „Jestem gotów myśleć — oświadczył biznesman — że podpisano tajny protokół o oddaniu wysp Japonii w kwietniu tego roku”. Na pytanie o źródło informacji o 200 miliardach dolarów (plus milion dolarów dla każdej mieszkającej na wyspach rodziny za przeniesienie się na inne tereny) Tarasow odparł, że jest nim Aleksander Jakowlew, który w 1989 bawił w Japonii. Bajeczna suma ma być zapłatą nie tylko za Kuryle, ale też za sojusz sowiecko-japoński. „Zjednoczone dwa mocarstwa — tłumaczy Tarasow — bardzo szybko opanują światowe rynki”. Podział pracy będzie następujący: Japończycy zajmą się sowiecką gospodarką i zaopatrzą ludność w towary, a komuniści będą mieli prawo rozwijać struktury polityczne, umacniać „odnowioną” partię komunistyczną i w rzeczywistości sterować polityką.

Artiom Tarasow jest przeciwny temu sojuszowi. Bliższy mu jest demokratyczny Zachód, a co więcej „Japończycy zażądają, żeby pracę zorganizować tak, jak w Japonii”. Innymi słowy zażądają, aby

człowiek sowiecki pracował jak Japończyk! Któż się z tym pogodzi?! Są też inne zastrzeżenia. Piśzę o wywiadzie Tarasowa, ponieważ świadczy on o tym, że myśl, aby sprzedać komuś Związek Sowiecki toruje sobie drogę i ludzie gotowi są we wszystko uwierzyć. Ale czy sama myśl o sojuszu sowiecko-japońskim jest realna? Nie umiem na to odpowiedzieć. Że może ona jednak zawierać racjonalne ziarno, świadczy list Aleksandra Jakowlewa do redakcji *Russkoj mysli*. Były najbliższy doradca Gorbaczowa bawiąc przejazdem w Paryżu przeczytał wywiad Tarasowa i kategorycznie zaprzecza, jakoby robił Japończykom jakiegokolwiek propozycje. Dementi napisane jest zręcznie, fachowo — Jakowlew wszystkiemu zaprzecza, ale pozostaje wrażenie, że dementi było potrzebne. Wszyscy ludzie sowieccy z mojego pokolenia świetnie pamiętają słynne dementi TASS-a, że tylko wrogowie ZSSR mogą mówić o napaści Niemiec na Związek Sowiecki. Niemcy wkroczyli równo tydzień później.

15.4.1991

Adam KRUCZEK

Kronika kulturalna

NAGRODY IM. K.A. JELEŃSKIEGO DLA TŁUMACZY LITERATURY POLSKIEJ

W zeszłym roku, w trzecią rocznicę śmierci K.A. Jeleńskiego, ufundowano nagrodę jego imienia dla tłumaczy literatury polskiej. Ze sprzedaży papierów po śp. Konstantym Jeleńskim do The Beinecke Library, Yale University uzyskano 75.000 franków francuskich. Osobiste dotacje Czesława Miłosza, Jana Lebensteina i Renaty Górczyńskiej podwyższyły tę sumę do 90.000 F. Przyznano pięć nagród po 10.000 F (Teresa Dzeduszycka, Krzysztof Jeżewski, Petar Vujičić, Natalia Gorbaniewska, Lilian Vallée, cztery przeznaczając na rok następny. Suma 40.000 F wzrosła do 60.000 z dwóch powodów: nie przyjął nagrody Petar Vujičić, który dawno już podjął decyzję nie przyjmowania jakichkolwiek nagród i wyróżnień (znając tę decyzję, mieliśmy jednak nadzieję że zrobi wyjątek dla nagrody im. K.A. Jeleńskiego); nadszedł od Olgi Scherer dar w wysokości 11.000 F. W ten sposób Jury rozporządzało w tym roku sumą 60.000 F. pozwalającą przyznać sześć nagród po 10.000 F każda. Jury w składzie Renata Górczyńska, Gustaw Herling-Grudziński, Krzysztof Pomian przyznało w tym roku nagrody za przekłady literatury polskiej na następujące języki:

Na język czeski

HELENA STACHOVA — tłumaczka m.in. Borowskiego, Iwaszkiewicza, Krzysztonia, Odojewskiego, Strykowski, Szaniawskiego, Witkacego, Nałkowskiej, Lema, Rudnickiego.

Na język duński

JANINA KATZ-HEWETSON — tłumaczka Herberta, Różewicza, Szymborskiej, Lipskiej, Mrożka, Kazimierza Brandysa, Konwickiego.

Na język francuski

JEAN-YVES ERHEL — tłumacz m.in. Borowskiego, Parandowskiego, Piotra Wojciechowskiego, Orlosia, Moczarskiego, Nowaka.

Na język niemiecki

PETER LACHMANN — tłumacz m.in. Andrzejewskiego, Jacka Bocheńskiego, Kołakowskiego, Witkacego, Wirpszy, Międzyrzeckiego.

Na język szwedzki

ANDERS BODEGARD — tłumacz m.in. Gombrowicza, Szyborskiej, Zagajewskiego, księdza Tischnera, Michnika.

Na język włoski

VERA VERDIANI — tłumaczka m.in. Witkacego, Gombrowicza, Andrzejewskiego, Mrożka, Kotta, Woroszyńskiego.

*Ci, co odeszli***Wspomnienia Buzułuk-Jangi
Jul — Bagdad-Bolonia**

(Poświęcone śp. Zdzisławowi Bauowi, przyjacielowi i koledze ze służby w armii gen. Andersa).

Zdzisława Baua, znanego później powszechnie w wojsku jako Zdzibau, poznałem w połowie grudnia 1941 roku, gdy odkomenderowany zostałem z 19 pułku piechoty Armii Polskiej w ZSSR w Tocku do Wojskowego Biura Prasy i Oświaty przy Sztapie Armii w Buzułuku. W komendzie Placu skierowano mnie na ulicę Czapajewską, gdzie na pierwszym piętrze dużego domu miały swą siedzibę „Biuro” oraz redakcja organu armii tygodnika *Orzeł Biały*. Stukałem mocno do drzwi, spoza których dochodził mało wojskowy gwar i szum, a gdy nikt mi nie otwierał, uczyniłem to sam i widząc w dużej sali mnóstwo osób w mundurach, strzeliłem obcasami i krzyknąłem przepisowo „Strzelec z cenzusem Zbigniew Racięski melduje swoje przybycie”. Odpowiedział mi wybuch śmiechu. Trochę speszony zacząłem się rozglądać za jakimś oficerem, kiedy podbiegł do mnie wesoły grubasek w mundurze i wyciągnął do mnie przyjaźnie rękę mówiąc: „Jestem Zdzisław Bau. Znam pana z widzenia z Warszawy. Bardzo się cieszę, że pan do nas dołącza”. Po czym zaczął mnie przedstawiać, niczym w salonie, kilkunastu obecnym umundurowanym panom i paniom.

W pięćdziesiątym, jubileuszowym numerze *Orla Białego* (Bagdad, 21 marca 1943) Zdzibau tak opisuje tę scenę: „Pewnego grudniowego dnia stanął w drzwiach łsawy, zażywny strzelec 'za okularami', który trzasnął obcasami, zameldował się gromkim głosem i wmaszerował do pokoju rwąc drzazgi z podłogi. Pamiętam, w redakcji zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Oczekiwano rzeczy jak najgorszych: marsowa postawa, tubalny głos zdenerwowały całkowicie wszystkie referaty. Bardziej wrażliwe panie wycofały się z pokoju. Przybyszem okazał się Zbigniew Racieński, który swą błyskotliwą karierę rozpoczął od dzielenia landrynek z przydziału na biuro..."

Tak się wtedy, od pierwszej chwili poznania, zaczęła trwająca przez pół wieku moja przyjaźń ze Zdzisławem, niezmacona żadnym sporem, którą przerwała dopiero Jego śmierć w dniu 3 lutego br.

Biuro, w którym wkrótce, głównie dzięki Zdzibauowi, poczułem się bardzo dobrze, było chyba najbardziej „inteligentką” i niemalże „cywilną” jednostką w Armii generała Andersa. Na jego czele stał wówczas rtm. Stanisław Strumph-Wojtkowicz, znany dziennikarz, współredaktor dziennika *Polska Zbrojna* w Warszawie. Jego zastępcą i można powiedzieć „dobrym duchem” zespołu był podporucznik czasu wojny Józef Zieliński, nauczyciel gimnazjalny ze Lwowa i czynny działacz harcerski. Za działalność w ZWZ otrzymał karę śmierci i przez kilka miesięcy oczekiwał na jej wykonanie. Uratowała go amnestia. Mądry, dobry, życzliwy i przyjacielski, przyczynił się nie mało do tego, że w biurze, mimo rozmaitych zmian personalnych i przeobrażeń, panowały niezmiennie harmonia i nastrój koleżeński. Z oficerów w skład biura wchodził poza tym: por. rez. Jerzy Kropiwnicki, znany w Warszawie pianista, sympatyczny, trochę lekkomyślny brat-łata, który miał referat teatralny, por. rez. Wiktor Ostrowski, wybitny taternik, któremu miały podlegać referaty filmowy i fotograficzny, ppor. Stanisław Westfalewicz, artysta malarz i grafik, specjalizujący się w dekoracji kościołów, co prawdopodobnie wpływało na jego anielskie usposobienie. Westfalewicz był kierownikiem polowej drukarni, której szefem był świetny fachowiec sierżant Pade. Wreszcie ppor. Jan Szembek, dziennikarz, były korespondent PAT-a w Rydze, aresztowany po wkroczeniu na Łotwę sowieckiego NKWD pod zarzutem szpiegostwa i podobnie jak Zieliński skazany na śmierć. Ocalał również dzięki amnestii. Spośród szeregowych z cenzursem, poza Zdzibauem, należeli wówczas do Biura: Antoni Drwęski, dziennikarz, Tadeusz Wittlin, z zawodu prokurator a poza tym pisarz, znany przed wojną głównie jako autor satyrycznych utworów, Włodzimierz Kowańko, artysta malarz i świetny karykaturzysta oraz Ignacy Jeśman, „świeżo upieczony” absolwent Uniwersytetu w Wilnie.

Z koleżanek należy wymienić przede wszystkim Zosię Hertz, sekretarkę Biura i redakcji *Orla Białego*, Halszkę Terlecką, Natę Mianowską, Felę Radecką i Gigę Duszyńską. Nie mogę też zapomnieć ochotniczki Stefanii Zgoda, która aż do końca wojny sprawowała funkcję gospodyni w „Propagandzie”,

jak nasze Biuro powszechnie nazywano. Z biegiem czasu skład Biura się powiększył a jego organizacja uległa zmianom, ale większość z wymienionych pozostała w nim do końca.

Rtm. Strumph-Wojtkowicz zapotrzebował mnie z pułku z zamiarem wykorzystania jako prelegenta mającego wygłaszać „podnoszące na duchu” odczyty w oddziałach. Robiłem to zresztą z własnej inicjatywy w Tocku. Napotkał jednak na sprzeciw Biura Personalnego. Przedstawiono mu raport „dwójki” z Tocka, oskarżający mnie, że wyrażałem się jakoby krytycznie o niektórych aspektach przedwojennych rządów, a co najgorsze miałem powiedzieć na jednym z odczytów, że „generał Sikorski podniósł buławę hetmańską porzuconą w pyłe Zaleszczyckiej szosy”. W tym czasie przybył do Buzułuku generał Sikorski, któremu Strumph-Wojtkowicz (przysłany z Anglii jako „oko i ucho” Naczelnego Wodza) sprawę bezpośrednio przedstawił. Generał wezwał podobno szefa Personalnego i kazał mu mój przydział do „Propagandy” natychmiast załatwić pozytywnie.

W tych warunkach Strumph postanowił jednak odłożyć moje wyjazdy w teren do wiosny. Skutkiem tego byłem w Biurze właściwie bezrobotny. I tu zaraz przyszedł mi z pomocą Zdzibau.

Biuro opracowywało dla Sztabu i garnizonu codzienny biuletyn informacyjny o wydarzeniach w świecie, oparty na nasłuchu radiowym. Jeden z trzech redaktorów (Bau, Drwęski i Szembek) miał całonocny dyżur i musiał na niezbyt dobrym sowieckim odbiorniku starać się „złapać” co nadają Londyn (BBC i Polskie Radio), Berlin i Moskwa, a z neutralnych Ankara i Zurych. Rano dyżurny redaktor na podstawie poczynionych w nocy notatek dyktował którejs z sekretarek biuletynu, którego jedną kopię otrzymywał generał Anders, drugą szef Sztabu, trzecią szef „Dwójki”, (który miał zresztą własny nasłuch) a kilka egzemplarzy rozwieszano w budynku sztabu, komendzie miasta itp. Z dniem 1 stycznia 1942 ppor. Szembek przeniesiony został do jednej z organizujących się nowych dywizji i Bau z Drwęskim musieli teraz pracować na przemian co drugą noc. Było to ponad ich siły, tym bardziej, że Bau redagował — pod nadzorem politycznym Strumph’a — także *Orla Białego*. Kiedy zaczęto się rozglądać za kims, kto by zastąpił Szembeka, o co było trudno, gdyż trzeba było poza rosyjskim znać chociaż dwa główne obce języki, Zdzibau zaproponował mnie. Strumph miał pewne wątpliwości, wiedząc że się dziennikarstwem nigdy nie parałem, ale Zdzisiek zapewnił go, że mnie wprowadzi i będzie mi początkowo pomagał. W konsekwencji którejs nocy w pierwszych dniach stycznia zasiadłem przy aparacie radiowym i szukałem materiału dla biuletynu. Nie było o to trudno. Ameryka dopiero co przystąpiła do wojny, a Niem-

cy stali wprawdzie pod Moskwą i Leningradem, ale już ponosili pierwsze porażki.

Zacny Zdzibau przesiedział przy mnie pół nocy przez kilka pierwszych dyżurów, pouczając jak dokonywać selekcji wiadomości, jak je redagować i interpretować. „Jako pierwszą zasadę musisz przyjąć, że biuletyn musi się ukazać — mówił. — Jeżeli coś niedokładnie usłyszysz, staraj się domyślić, o czym mówili. Musisz też zachować ostrożność w podawaniu wiadomości o zwycięstwach Niemców i o klęskach sowieckich. Te wiadomości trzeba zaopatrywać wstępem w rodzaju 'Niemcy, jak zwykle kłamiąc, twierdzą, że...'”.

Po kilku dniach tak Zdzibau jak i Strumph, który też czasem zachodził zobaczyć, jak pracuję, stwierdzili, że sobie doskonale dają radę. I kiedy w niedzielę 25 stycznia 1942 roku zasiadłem wieczorem do radia, Zdzibau, pożegnawszy się szybko ze mną, ułożył się do dobrze zasłużonego snu.

Około północy „wszedłem” na falę Polskiego Radia z Londynu i usłyszałem sensacyjną wiadomość, że radiostacje amerykańskie transmitowały orędzie prezydenta Roosevelta do narodu polskiego. W orędziu tym, zatytułowanym „Prezydent wie”, Roosevelt daje wyraz swej trosce z powodu nader ciężkiego losu narodu polskiego, składa hołd bohaterstwu Polaków i obiecuje coś, czego nie mogę się dowiedzieć, bo fala ucieka. Łapię tylko ułamki tego doniosłego przemówienia. Pocięszam się, że tak ważna wiadomość będzie powtórzona i to nie tylko przez Radio Polskie, ale i BBC. Niestety, BBC zarówno w programie nadawanym po polsku jak i w serwisie światowym nawet nie wspomina o tym wystąpieniu Roosevelta. Z powtórnej audycji Polskiego Radia znów chwytam tylko urywki. Co zrobić? Jest piąta godzina rano, a ja mam tylko strzępy notatek. I tu przypominam sobie radę Zdzicha: „Jeżeli coś niedokładnie usłyszysz, staraj się domyślić o co chodzi i sam dopowiesz resztę”.

Tak też zrobiłem. Pomyślałem, co bym powiedział, gdybym był w takich warunkach amerykańskim prezydentem. I do fragmentów, które usłyszałem, dopisałem całe niemal orędzie.

Rano przyleciał Zdzibau, wziął do ręki mój skrypt i złapał się za głowę: „Czy zdajesz sobie sprawę, że masz dziś *scoop* pierwszej klasy?”. Wyznałem mu wtedy prawdę. „To nie szkodzi — powiedział. — Grunt w tym, że jest wspaniała wiadomość. I nikt tutaj w Buzułuku nie może sprawdzić, ile w tym orędziu jest Roosevelta, a ile Racieńskiego. Tylko nikomu nie powiedz ani słowa”.

Później zjawił się Strumph. Porwał biuletyn, krzyknął: „To wielkie wydarzenie” i pobiegł do generała Andersa. Wrócił podniecony za pół godziny z wiadomością, że Generał zwołał specjalną odprawę pracowników Sztabu i osobiście odczyta orędzie

Prezydenta. Generał rozkazał poza tym odczytanie orędzia we wszystkich oddziałach armii oraz wydrukowanie tekstu jako nadzwyczajnego dodatku do *Orla Białego*. Do mnie zaś Strumph powiedział, że ponieważ Generał zaprosił go z tej niezwykłej okazji na obiad, więc on oddaje mi swój talon na posiłek w stołówce oficerskiej. „Dziś niedziela, więc dają lepsze niż zwykle jedzenie” — dodał zachęcająco.

Gdy przyszedłem do stołówki, nie było tam żywego ducha. Wszyscy oficerowie znajdowali się w hallu, gdzie generał Anders donośnym, pełnym wzruszenia głosem odczytywał orędzie spółki Roosevelt-Racieński. Usiadłem przy stoliku i wziąłem do ręki jadłospis, ciesząc się nadzieją na dobry obiad. W tej chwili usłyszałem jednak groźnie wypowiedziane: „A wy co tu robicie?” Porwałem się z miejsca i stając na baczność zaraportowałem gospodarzowi kasyna, starszemu porucznikowi taborów, że w nagrodę za nocną służbę rotmistrz Strumph-Wojtkiewicz, zaproszony na obiad przez pana generała dowódcę armii, dał mi swój talon, abym sobie raz dobrze podjadł. Twarz gospodarza przybrała kolor buraka. „To pan Generał osobiście odczytuje orędzie prezydenta Ameryki do narodu polskiego, a tymczasem taki niby inteligent uważa, że go to nie interesuje i zasiada do jedzenia. Marsz! Wynosić się!” Zdzibau aż się pokładał ze śmiechu: „Boże! Dlaczego my tego nie możemy nikomu opowiedzieć?”

Tymczasem Antek Drwęski (po wojnie pracował przez lata w londyńskim *Times*) wyjechał z rzutem „kwaterunkowym” do Jangi Jul koło Taszkientu, małego miasteczka uzbeckiego, gdzie w wielkim budynku mieszczącym się w olbrzymim sadzie znalazł pomieszczenie Sztab Armii. Zdzibau i ja wyjechalśmy z tzw. generalskim rzutem nieco później, około 10 lutego. Mieliśmy we dwójkę osobny przedział z aparatem radiowym, by móc robić nasłuch i wydawać improwizowane biuletyny. Podróż trwała bowiem dłużej niż dziesięć dni.

Pewnej nocy, chyba około pierwszej, staliśmy nad jeziorem Aralskim. Wszyscy w pociągu spali i tylko w naszym przedziale zarzyło się światelko. Pracowaliśmy na zmianę. Właśnie bowiem padł Singapur i trzeba było dostać jak najwięcej wiadomości o tym tragicznym wydarzeniu. W pewnej chwili do zamarznętego okna naszego przedziału ktoś zaczął stukać. Usłyszeliśmy kobiece wołanie: „Proszę otworzyć, proszę otworzyć”. Zdzibau trwał z uchem przy odbiorniku, więc ja poszedłem zobaczyć, o co chodzi. Gdy z trudem otworzyłem drzwi, ktoś zaczął wrzacać do wagonu walizki: jedną, drugą, trzecią, czwartą... Potem musiałem pomóc wejść do wagonu dwóm paniom, z których jedna zażądała, by ją zaraz zaprowadzić do generała Andersa. Odpowiedziałem grzecznie, że to niemożliwe: po pierwsze, jest

późno i generał zapewne śpi, a po drugie... To drugie było „tajemnicą służbową”, której ujawnić nie zamierzałem. Zaprosiłem natomiast obie panie do naszego przedziału i tam dopiero przy świetle stwierdziłem, że niespodziewanymi gośćmi były Hanka Ordonówna i jej garderobiana, miła pani Ziemba.

Spytałem Ordonkę, którą dobrze znałem, skąd się wzięła w ciemną zimową noc na stacji nad zamrzniętym Aralskim morzem. Odpowiedziała, że jechała z Taszkientu, gdzie pełniła funkcje delegata „polskiego generała sztabu” (dosłownie), ale „sprawy” skłoniły ją do powrotu do Buzułuku. Dowiedziawszy się w drodze, że sztab z generałem Andersem jedzie w kierunku na Taszkient, wysiadła i postanowiła tu właśnie poczekać na generała. Obie panie po napojeniu herbatą umieściliśmy na górnych półkach naszego przedziału. Wyjęły swoje poduszki i koce i rano oświadczyły, że się im świetnie spało. Po śniadaniu przekazaliśmy je w ręce generalskiego adiutanta, rotmistrza Jerzego Klimkowskiego, który wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego wizytą „gwiazdy”.

W Jangi Jul zamieszkałem ze Zdziśkiem w obszernym pokoju w budynku Sztabu. Robiliśmy tam, jak w Buzułuku, na zmianę we dwójkę nocny nasłuch radia i opracowywaliśmy biuletyny, które dyktowaliśmy Zosi Hertz. Zosia miała czasem odmienny od nas pogląd na pewne sprawy. I tak, kiedy raz dyskutując biuletyn powiedziałem: „Z Londynu przemawiał do kraju minister Stańczyk, który oświadczył...”, Zosia przerwała: „Eh, co on tam mógł mądrego powiedzieć. Nie piszemy”.

W Jangi Jul przy pomocy Zdzicha zacząłem także pracować w redakcji *Orla Białego*, gdzie pisałem głównie komentarze i artykuły polityczne. Mogłem wówczas poznać jego pracowitość, niepowszedni talent dziennikarski, a zarazem ogromną koleżeńskość. Nie było też w nim ani krzty zazdrości, toteż wnet stał się jedną z najbardziej popularnych w Sztabie postaci.

Wkrótce po przyjeździe do Jangi Jul Zdzibau zapoznał mnie z rtm. Jerzym Klimkowskim, adiutantem generała Andersa, a później także dowódcą 12-go pułku Ułanów Podolskich. Z biegiem czasu zaprzyjaźniliśmy się. Oddawaliśmy mu rozmaite usługi „intelektualnego” typu, Klimkowski zaś umożliwił nam nawiązanie bliskiego, osobistego kontaktu z generałem Andersem. Późniejszy smutny koniec kariery Klimkowskiego nie spowodował zmiany w zawsze życzliwym stosunku generała do Zdzibaua i do mnie.

Po przeniesieniu się Sztabu do Jangi Jul nastąpiła zmiana na stanowisku szefa naszego biura. Rtm. Strumph-Wojtkiewicz wyjechał do Iranu w ramach tzw. pierwszej ewakuacji, a na jego miejsce generał Anders mianował rotmistrza Józefa Czapskiego,

wybitnego malarza, znanego dziś w całym świecie autora książek o Rosji sowieckiej. Czapski jest niezwykłym człowiekiem, niezwykłym umysłem, kulturą i charakterem. Te jego osobiste cechy wpłynęły dodatkowo na wewnętrzne stosunki w „Propagandzie”. Wprawdzie za czasów Strumphy byliśmy również gronem zgranym i wzajemnie życzliwym, ale Czapski, który ze wszystkimi chyba przeszedł szybko na „ty”, nadał stosunkom w „Biurze” charakter niemal rodzinny. Jego ulubieńcem był Zdzibau, z którego opinią w sprawach dziennikarskich bardzo się liczył.

W sierpniu 1942 rozpoczęła się ewakuacja pozostałej jeszcze w ZSSR części armii gen. Andersa, najprzód do Iranu, a stamtąd do Iraku. Sztab wyjeżdżał w kilku grupach. Ja zgodziłem się zostać do końca, Zdzibau natomiast miał wyjechać z pierwszą grupą, by rozpocząć w Teheranie wydawanie *Orla Białego*. Na dzień przed swoim zamierzonym wyjazdem Zdzibau, okazując duże zdenerwowanie, zawołał mnie by z nim wyjść do ogrodu. Tam powiedział: „Musisz jutro wyjechać zamiast mnie, grozi ci bowiem tutaj niebezpieczeństwo ze strony NKWD. Ja wyjadę następnym transportem”. Kiedy trochę przerażony zapytałem go, na jakiej podstawie doszedł do takiego wniosku, Zdzibau powiedział, że cenzor sowiecki, przydzielony do *Orla Białego* kapitan NKWD, zresztą polskiego pochodzenia, ostrzegł go, by się ode mnie trzymał z daleka. Jestem bowiem jakoby niezyczliwie nastawiony do Związku Sowieckiego, co może mieć przykre konsekwencje. Domyśliłem się, że Sowietom albo nie podobało się, że cytowałem w naszych biuletynach dość obszernie niemieckie komunikaty wojenne, lub też, że w pokoju w którym mieszkaliśmy łączność zostawiła nie wykryte gniazdko podsłuchu sowieckiego.

Szlachetnej propozycji Zdzibaua oczywiście nie przyjąłem. Nie przypuszczałem zresztą, by mi naprawdę coś groziło. Dla pewności jednak pobrałem z rusznikarni rewolwer, a do wsi po zakup owoców chodziłem zawsze w towarzystwie.

Do Teheranu przybyłem ostatnim transportem wojskowym, jaki opuścił teren ZSSR. Zdzibau, który już zdążył wydać dwa numery *Orla Białego*, przywitał mnie ze łzami radości w oczach. Rzeczywiście bał się o mnie. W kilka tygodni później wyjechaliśmy do Bagdadu, gdzie „Propaganda” otrzymała na kwatery duży dom w dzielnicy Waziryia.

Zanim wyjechaliśmy z Jangi Jul zawiadomiono Zdzibaua, że proszą go o widzenie dwaj Polacy, chyba niedawno zwolnieni łagiernicy. Nie mogą wejść na teren Sztabu, gdyż nie mają przepustek. Zdzibau, który do nich zaraz wyszedł, pozbierawszy co mógł do jedzenia, po godzinie wrócił zrozpaczony. Przybyłymi byli warszawiacy, ludzie z wyższym wykształceniem, z którymi Zdzibau siedział jakiś czas w więzieniu. Zestano ich do dalekich łagrów i zwolniono z dużym opóźnieniem. Próbowali

się już w kilku miejscach dostać do wojska, ale bezskutecznie: zaciągi były zakończone. Wyglądali strasznie, głodni i w łachmanach. Zdzibau mówiąc to, płakał. „Co robić? Co robić?” Poradziłem mu: „udaj się do Generała”. Pobiegl. Żandarmi znali „pana redaktora”, który nieraz z biuletynami do generała zachodził, więc go puścili bez pytania. W pokoju adiutantów natknął się na rotmistrza Klimkowskiego, któremu powiedział o co chodzi i prosił go o zameldowanie Generałowi. Rotmistrz machnął ręką, „nie będziemy fatygować generała. Jak się oni nazywają?” I na blankiecie dowódcy armii napisał do Biura Personalnego zlecenie przyjęcia do wojska obu łągierników. Na drugi dzień byli już umundurowani i przed otrzymaniem przydziałów spędzili kilka dni w „Propagandzie”. Obaj pełnili później w Korpusie odpowiedzialne funkcje.

Po przybyciu do Iranu znaleźliśmy się w konflikcie z „Ramzesami”, jak nazywano wojsko, które się formowało na Środkowym Wschodzie, głównie w Egipcie. Kiedy generał Anders po opuszczeniu Jungi Jul przybył do Teheranu, zastał już funkcjonujące Dowództwo Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie, na czele którego stał generał Zajac. Tymczasem generał Anders nie miał — przez krótki co prawda czas — określonego stanowiska. Chodziły nawet plotki, że dowódcą połączonej armii generał Sikorski — który już miał jakieś pretensje do Andersa — zamierza mianować swego przyjaciela generała Zajacę, który zaczął nawet obsadzać pewne stanowiska sztabowe. I tak szefem Wydziału Prasy i Propagandy (jak się zaczęliśmy nazywać) miał zostać jakiś podpułkownik Keller, z Czapskim (bo tylko rotmistrz) jako zastępcą. Również organem armii miał być nie nasz *Orzeł Biały* lecz pismo wydawane przez dowództwo wojsk na Środkowym Wschodzie pod tytułem *Ku wolnej Polsce*. Jasne było, że „Ramzesi” zamierzają „Prawosławnych”, to znaczy nas, zepchnąć na drugie miejsce. Niedoczekanie! Zaczęliśmy więc buntować swoich. Przede wszystkim drukarzy, dla których Zdzibau był wyrocznią, potem 12-ty pułk Ułanów, gdzie mieliśmy wielu przyjaciół, później otoczenie Generała, a wreszcie jego samego. Na szczęście Naczelny Wódz zrozumiał, że wojsko, które Anders wyprowadził z „niełudzkiej ziemi”, przysłanego z Londynu generała po prostu nie przyjmie. Toteż chcąc nie chcąc, mianował generała Andersa dowódcą Armii Polskiej na Wschodzie, z której powstał w rok później II-gi Korpus. To było i nasze zwycięstwo. Ppłk Keller poszedł do „drugiej grupy”, szefem „Propagandy” został Czapski, a *Orzeł Biały* pozostał po staremu organem prasowym armii, ze Zdzibauem jako faktycznym naczelnym redaktorem.

W dzień Świąt Wielkanocnych w kwietniu 1943 r. obchodzono na pustyni, w miejscu postoju 12-go pułku Ułanów (no-

szących wówczas nazwę kawalerii pancernej) imieniny dowódcy pułku rtm. Jerzego Klimkowskiego. Świętowano hucznie, przy bogato zastawionych stołach. Grała reprezentacyjna orkiestra pod batutą Ludo Philippa, a Kazimierz Krukowski zorganizował bardzo zabawny program kabaretowy. Wśród gości, poza generałem Andersem, obecni byli m.in. generał Tadeusz Klimecki, Szef Sztabu Naczelnego Wodza (który przybył na kilka dni przedtem z Londynu, by przygotować „teren” w związku z oczekiwaną wizytą generała Sikorskiego), dalej gen. Gustaw Paszkiewicz, d-ca brygady pancernej, gen. Bolesław Szarecki, szef sanitarny armii, płk Kazimierz Wiśniowski (późniejszy generał i szef Sztabu II-go Korpusu) i oczywiście wszyscy oficerowie z 12-go pułku. Z Bagdadu przyjechało też kilka przystojnych „cywilnych” pań, m.in. Hanka Drymmerowa, Zofia Boniecka i Aleksandra Wiśniowska (żona pułkownika) oraz kilka ochotniczek z PSK. Był to więc niezwykle zestaw gości, biorąc pod uwagę niewysoki stopień wojskowy jubilate. I na pewno żadnemu z uczestników tej wesołej biesiady nie przyszło wówczas na myśl, że oficer, za którego zdrowie i przyszłą „wspaniałą karierę” coraz to wychylano kielichy, za kilka miesięcy, zdegradowany, znajdzie się w więzieniu.

Zdzibau i ja również byliśmy zaproszeni, podobnie jak Eugeniusz Lubomirski i Włodek Kowańko. Włodek z inicjatywy Zdzicha wyrysował bardzo zabawny obrazek przedstawiający rtm. Klimkowskiego, jak siedząc okrakiem na czołgu z szablą w rękę, prowadzi do ataku swych ułanów, również na czołgach z lancami w rękę. Rysunek ten odbiliśmy w naszej drukarni w kilkudziesięciu egzemplarzach, które rozdawaliśmy na przyjęciu. Ja zebrałem na moim, który się cudem zachował, podpisy co najważniejszych gości, stąd mogłem wymienić nazwiska, które odcyfrowałem.

W pewnej chwili podszedł do Baua i do mnie generał Klimecki, przedstawił się, podał rękę i dłuższy czas z nami rozmawiał. Pytał o nastroje w wojsku (bo panowie jako dziennikarze mają zapewne dobre informacje), o nasze poglądy na wojnę i politykę i o nasze stosunki z Klimkowskim. Nie wiem, czy to zainteresowanie generała naszymi skromniutkimi osobami (kaprale z cenzusem) było przypadkowe, czy też wykorzystał okazję, by sobie wyrobić o nas opinię.

Wkrótce potem omal nie staliśmy się niewinnie ofiarami intrygi, której celem było poróżnienie generała Sikorskiego z generałem Andersem.

Na kilka dni przed przylotem generała Sikorskiego, późnym wieczorem, ktoś zapukał do okna naszego pokoju. Była to płk Bronisława Wystouchowa, komendantka Pomocniczej Służby Kobiet. „Jadę z Teheranu — powiedziała — i tu na moim

łaziku jest skrzynka z ulotkami, które z rozkazu Generała macie rozprowadzić w wojsku. Tylko trzeba przy tym zachować dyskrecję. Zdziwiłem się, gdyż poprzedniego dnia, kiedy zapytałem generała, przed jego odlotem do Kairu, jak mamy powitać w *Orle Białym* generała Sikorskiego, Anders odpowiedział ostrym tonem: „Tak jak się wita Naczelnego Wodza”. Zapytałem więc Bronkę (byliśmy na „ty”): „Czy to Klimkowski dał ci takie zlecenie?” „Nie — odpowiedziała — Andrzej Stroński, ale Klimkowskiego też w Teheranie spotkałam. Wyjechał przede mną”. Wnieśliśmy więc skrzynkę do pokoju i po jej otwarciu zimny pot wystąpił nam na czoła. Zawartością okazały się czterostronnicowe ulotki (co najmniej tysiąc egzemplarzy) zatytułowane *Salus Reipublicae suprema lex*, datowane „Bagdad w maju 1943”. Ulotka zawierała, poza krótkimi notatkami, nieprzychylnymi dla rządu polskiego w Londynie, obszerny artykuł Tadeusza Bieleckiego, prezesa Stronnictwa Narodowego, bardzo krytyczny w stosunku do generała Sikorskiego, a zwłaszcza jego „polityki wschodniej”. Była to więc wyraźnie „endecka” robota. Domyślałem się wtedy, kto mógł spłodzić to dzieło. W Teheranie istniała bowiem aktywna komórka Stronnictwa Narodowego, na której czele stali znany mi Adam Traszka i niejaki Maciejko.

Tytuł ulotki *Salus Reipublicae suprema lex* kierował podejrzenia na nas jako autorów, gdyż to hasło, na życzenie Klimkowskiego, zamieszczaliśmy w każdym numerze *Orla Białego* i w każdej prowadzonej przez nas audycji „Radia Bagdad”. Umieszczenie adresu wydawnictwa niby to w Bagdadzie umacniało te podejrzenia. Zdaliśmy sobie natychmiast sprawę, że rozprowadzenie tej ulotki mogłoby mieć nieobliczalne następstwa. Nawet znalezienie jej u nas byłoby kompromitujące. Postanowiliśmy więc na razie cały transport schować w bezpiecznym miejscu i czekać na powrót generała, nie meldując sprawy nawet naszemu przełożonemu, rotmistrzowi Czapskiemu.

W dwa lub trzy dni później, po powitaniu w Kairze naczelnego Wodza, gen. Anders powrócił do Bagdadu. Wśród oczekujących go oficerów byli: gen. Bohusz-Szyszko, wówczas d-ca 5-tej Kresowej dywizji, ppłk Bąkiewicz, szef Drugiego Oddziału Sztabu i ppłk Prosołowicz, komendant miasta. Ja również byłem obecny ale bez Zdzicha, który pojechał jako reporter do oddziałów, które Naczelnny Wódz miał wizytować. Czekałem na stosowną chwilę, by zameldować Generałowi o ulotce. Tymczasem sprawa przybrała dramatyczny obrót. Generał przywitał się ze wszystkimi, mnie też podał rękę, mówiąc bardzo spokojnie: „Z winy panów spotkała mnie największa przykrość w mojej karierze wojskowej”. Wyciągnął przy tym z kieszeni nieszczęsną ulotkę. „Ten papier wręczył mi Wódz Naczelnny, gdy go witałem w Kairze. Zarzucił mi, że w armii

prowadzi się akcję propagandową przeciw niemu. Zameldowałem mu że natychmiast w tej sprawie rozkażę przeprowadzić dochodzenie. Co pan ma do powiedzenia?”

Uzmysłowiłem sobie, że przy tylu osobach nie mogę sprawy referować, tym bardziej że musiałbym wymienić Bogu ducha winną Bronkę Wysłouchową oraz zaufanych generała, Klimkowskiego i Strońskiego. (Andrzej Stroński, bardzo inteligentny cynik, w stopniu ułana z cenzusem, przyjechał z Anglii z pierwszą grupą oficerów przysłanych do Andersa. Jako człowiek korporacji „Arkonii”, do której generał Anders należał w latach studenckich i której członków popierał, wkręcił się do adiutantury, nie pełniąc oficjalnie żadnej funkcji. Generał darzył go — podobnie jak Klimkowskiego — dużym zaufaniem, do czasu, kiedy Stroński tego zaufania nie nadużył). Powiedziałem tylko Generałowi, że nie mamy nic wspólnego z tą ulotką. Nie mogła być drukowana u nas, bo nie mamy takiego papieru ani takich czcionek. Musiała być drukowana w Teheranie — bo to jest tamtejszy papier — przez kogoś, kto miał na celu jakąś intrygę. Generał pokazał ulotkę generałowi Bohuszowi, który oświadczył, że jej nigdy nie widział: w jego dywizji na pewno się nie pojawiła. Także płk Bąkiewicz stwierdził, że mu nikt o tej ulotce nie doniósł. Generał namyślił się, polecił płk Bąkiewiczowi, by jego biuro spisało moje zeznanie i pojechał się.

Gdy Generał odjechał, płk Bąkiewicz powiedział do mnie: „Panie Rubcuś, (tak mnie wszyscy w wojsku nazywali) mnie się wydaje, że pan Generałowi wszystkiego nie powiedział. Ze mną musi być pan szczerzy”. Opowiedziałem mu całą historię, po czym na zlecenie pułkownika przesłuchał mnie jeden z jego zastępców, major Cumft. Zaraz też pojechałem z jakimś sierżantem z „Dwójki” po paczkę z ulotkami i przekazałem ją Cumftowi. Nie wiem, czy sprawa miała dalszy bieg. Na zlecenie gen. Andersa zamieściliśmy w *Orle Białym* nr 22 z 6 czerwca 1943 oświadczenie, że ani tygodnik *Orzeł Biały*, ani Drukarnia Polowa, ani żadne inne komórki Wydziału Informacji i Prasy nie mają nic wspólnego z omawianym pisemkiem. Ogłoszenie to wywołało szerokie zainteresowanie, gdyż nikt — nawet w naszym wydziale i w drukarni — nie wiedział o co chodzi. Generałowi Andersowi chodziło jednak o to, by przekonać Naczelnego Wodza, że w danym przypadku żadnej winy nie ponosimy.

Tak się złożyło, że nigdy potem już się z Klimkowskim w wojsku nie spotkałem, zaś Stroński odmawiał wszelkich wyjaśnień. Po wielu latach Adam Traszka powiedział mi w Londynie, że celem tej „jednodniówki” było przestraszenie generała Sikorskiego perspektywą powstania sojuszu Andersa z endecją.

Pomimo wyjaśnienia sprawy pochodzenia wspomnianej ulot-

ki i przyjęcia przez generała Sikorskiego do wiadomości, że ani generał Anders ani jego podwładni nic z tym nie mieli do czynienia, doszło między obu generałami do starć, które niemalże doprowadziły do dymisji generała Andersa.

Pewnego dnia, w czasie pobytu gen. Sikorskiego w Bagdadzie, rotmistrz Czapski wezwał do siebie Zdzisława Baua, Ryszarda Piestrzyńskiego oraz Jana Ulatowskiego i powiedział im, że zachodzi możliwość, że jeszcze tego samego dnia gen. Anders poda się do dymisji. W związku z tym generał polecił Czapskiemu, by mu przedstawił trzy warianty projektu rozkazu pożegnającego do armii. Wymienieni koledzy — każdy osobno — mieli to zadanie wykonać.

Wieczorem tego dnia miała mieć miejsce wielka uroczystość na cześć gen. Sikorskiego z udziałem Regenta Iraku. Gen. Anders miał powiedzieć Czapskiemu, że o ile zjawi się razem z gen. Sikorskim, to znaczy, że sprawy się ułożyły i projekty rozkazu należy zniszczyć. Jeżeli zaś przybędzie gen. Sikorski sam, będzie to znakiem, że Anders podał się do dymisji i należy natychmiast przywieźć do rezydencji w Bagdadzie przygotowane teksty. To zlecenie określone było jako „ściśle tajne”, ale oczywiście wiedziało o nim kilka jeszcze osób i ja także. Pomagałem nawet Bauowi w redakcji jego projektu.

W dramatycznym nastroju oczekiwaliśmy na rozwój wydarzeń podczas uroczystości. Przybył już Regent książę Abdul Illah, a naszych generałów jeszcze nie było. Wreszcie zjawili się obaj, z uśmiechami na twarzach. Odetchnęliśmy.

Pytałem później generała Andersa, co było przyczyną kryzysu, który mógł się fatalnie zakończyć. Odpowiedział, że przedmiotem sporu z gen. Sikorskim była sprawa nominacji dowódców brygad. Z tym by dowódców dywizji wyznaczał Naczelny Wódz, po zasięgnięciu jego opinii, gen. Anders się zgadzał. Natomiast domagał się, aby nominacje na stanowiska dowódców brygad i równorzędne należały do jego kompetencji. Tego uprawnienia gen. Sikorski nie chciał mu przyznać. „A ja nie mogłem się zgodzić, by mi na te kluczowe stanowiska naznaczano z Londynu oficerów, których nie znałem albo do których nie miałbym zaufania. Sikorski to wreszcie zrozumiał”.

We wrześniu 1943 armia przeszła przez teren Palestyny, gdzie miało miejsce ostateczne przeszkolenie przed odejściem na front. Zdzibau i ja opuściliśmy wówczas *Orta* i zaczęliśmy pracować w założonym z rozkazu gen. Andersa (w znacznej mierze dzięki naszym namowom) codziennym piśmie pod tytułem *Dziennik Żołnierza APW*. Po krótkim czasie Zdzibau przeniesiony został do Londynu na stanowisko korespondenta wojennego przy Ministerstwie Obrony Narodowej. Ja zaś, mianowany podporucznikiem czasu wojny, w lutym 1944 przeniesiony zosta-

łem na stanowisko redaktora wydawanej w Jerozolimie gazetki wojskowej pod tyt. *Dziennik Obozowy*. Tak, po przeszło dwu latach najściślejszej przyjaźni i współpracy, rozeszły się nasze drogi. Zdzibau w tym czasie poczynając od Monte Cassino, odnosił sukcesy reporterskie na wszystkich frontach Morza Śródziemnego. Brał udział nie tylko we wszystkich bitwach Drugiego Korpusu we Włoszech, ale i w desancie na południową Francję jak też w wyzwoleniu Aten i wysp greckich. Doskonała znajomość niemieckiego, francuskiego, angielskiego i włoskiego ułatwiała mu poruszanie się i nawiązywanie kontaktów z alianckimi dowódcami i korespondentami wojennymi. Zapraszano go wszędzie, by był pomocny. Pozyskał też wielu przyjaciół w międzynarodowym świecie dziennikarskim.

Spotkaliśmy się znowu, gdy pod koniec wojny wróciłem do II-go Korpusu i razem odbywaliśmy ostatnią kampanię. Na jej zakończenie wkroczyliśmy wraz z Ryszardem Mossinem i Markiem Święcickim do Bolonii z pierwszymi polskimi oddziałami. Po kapitulacji Niemiec wróciłem do Londynu, a potem wyjechałem do Niemiec jako korespondent na procesy zbrodniarzy wojennych. Zdzibau pozostał z naszym wojskiem we Włoszech.

Kiedy rok później znów przyjechałem do Włoch, przywożąc niewidzianą przez siedem lat żonę, która przedostała się z Polski, Zdzibau zastałem żonatego. Wstąpił w związki małżeńskie z uchodźczynią z Polski, którą poznał w Mediolanie. Nazywała się Zarema Lebedź i była herbową Tatarką, córką właścicieli ziemskich na Wileńszczyźnie. Niestety byliśmy razem niedługo. My osiedliliśmy się w Anglii, zaś Zdzibau i Zarema wyjechali do Argentyny. Małżeństwo było szczęśliwe i trwało 45 lat aż do dnia jego śmierci w dniu 3 lutego br. W Argentynie urodziła im się córka, dziś matka kilkunastoletniego syna, którą dla kontrastu z jej urodą ojciec nazwał Żabą. Po dłuższym pobycie w Argentynie Zdzibau z rodziną przeniósł się do Nowego Yorku, gdzie, podobnie jak w Buenos Aires, pracował w jednym zawodzie do którego się nadawał i który kochał, to jest w dziennikarstwie. Zmarł po bohatersko znoszonych, przeszło rok trwającej chorobie, pracując niemal do końca. Ostatni artykuł do wychodzącego w Buenos Aires pisma *El Economista*, którego był od 15-tu lat korespondentem w Nowym Yorku, wysłał tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Wiedząc o jego ciężkiej chorobie, telefonowałem do niego od czasu do czasu; ostatni raz na dwa dni przed jego śmiercią. Był już tylko na pół przytomny, ale gdy zrozumiał kto jest na telefonie, zaczął wołać: „Przyślij mi ten artykuł. Przyślij! Ona mi go przeczyta”. Wiedział, że umiera i miał może na myśli wspomnienie, jakie napiszę po jego śmierci.

Książki

Pisanie o emigracji

Trzeba śmiało i otwarcie stwierdzić, że literatura emigracyjna nie ma szczęścia do krajowych autorów. Pojawiają się wartościowe szkice (czy nawet książki) dotyczące spraw wycinkowych, ale na porządne opracowanie monograficzne przyjdzie chyba jeszcze dość długo poczekać. Jeśli dotąd bowiem rzecz znajdowała się w rękach licencjonowanych „specjalistów” typu pp. Stępnia czy Lichniaka, pisujących rzeczy, delikatnie mówiąc, skandaliczne, to obecnie znalazła się w rączkach co prawda delikatniejszych, lecz skłonnych do uproszczeń. Dwie książki, które ostatnio zasiły rynek, są tego dobrym przykładem: pierwsza wyszła spod pióra Krzysztofa Dybciaka i nosi tytuł „Panorama literatury na obczyźnie” (z bardzo asekuracyjnym podtytułem „opracowanie przeznaczone dla uczniów szkół średnich”), druga jest dziełem Jana Zielińskiego i nosi tytuł „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej”^{*}.

Gdyby nie było monografii na temat tej literatury (do roku 1960) opracowanej pod redakcją Tymona Terleckiego, gdyby nie było „Szkiców o literaturze emigracyjnej” pióra Marii Danilewicz-Zielińskiej, prawdopodobnie można by mówić o słusznie podjętych próbach. Tak jednak nie jest. Mamy do czynienia z typowymi brykami. W zasadzie powinno się dokonać szczegółowego rozbioru wszystkich błędów, przeinaczeń i uproszczeń zawartych w tych dwóch książeczkach, by zdać sprawę z tego, jak dalece upadła kultura rzetelnej pracy w Polsce. No bo jeśli w zestawie dokonań bibliograficznych wspomnianej tu już Marii Danilewiczowej w książce Zielińskiego brakuje wiadomości o trzech przez nią opracowanych tomach bibliografii Instytutu Literackiego (m.in. bibliografia zawartości *Kultury*), to naprawdę ręce opadają (zwłaszcza, że „Leksykon” poświęcony jest... Jerzemu Giedroycowi!). To tylko jeden z przy-

^{*} Krzysztof Dybciak „Panorama literatury na obczyźnie”, Oficyna Literacka, Kraków 1990, s. 160.

Jan Zieliński „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej”, Wydawnictwo FIS-Wydawnictwo UNIPRESS, Lublin, bdw, s. 160, ilustr.

kładów. Jest ich o wiele więcej. Na przykład pisząc o dorobku wydawnictwa Kontra, autor „Leksykonu” wymienia m.in. „pracę o poezji A. Wata”: mam wrażenie, że nie chciało mu się poszukać w bibliotece i tylko dlatego nie wymienił ani autorki (Małgorzata Łukaszk), ani tytułu. Dziwi to tym bardziej, że w nocie na temat Wata pojawia się (w „literaturze przedmiotu”) zarówno nazwisko autorki, jak tytuł książki. O Puls Publications pisze, iż „firma ta powstała po przeniesieniu do Londynu (...) niezależnego nieregularnego kwartalnika literackiego *Puls*”, gdy tymczasem powstała ona na długo przed tymi przenosinami (1982, w stanie wojennym), a mianowicie w roku 1980, gdy Jan Chodakowski uruchamiał zachodnie wydanie krajowego *Pulsu* (była to druga taka inicjatywa — przedruk pierwszego numeru pisma pojawił się w Szwecji) i wydał przy okazji po angielsku album poświęcony strajkowi w stoczni gdańskiej. Poważne, bardzo poważne zastrzeżenia budzi dobór (czy wybór) omawianych instytucji wydawniczych emigracji: dlaczego ograniczono się tylko do Europy? Dlaczego nie uwzględniono swoistego fenomenu, jaki stanowiły w latach osiemdziesiątych wydawnictwa Berlina Zachodniego? Dlaczego zabrakło miejsca dla Libelli czy założonej przez ks. Sądziaka kolekcji „Znaki Czasu”? Czy w takim razie nie było rozsądniej w ogóle zrezygnować z tego wydawniczego dodatku do „Leksykonu”?

Podobne wątpliwości budzi dobór haseł osobowych i ich treści. Jedne życiorysy są opracowane rzetelnie, inne dużo gorzej niż w reżymowych wydawnictwach poświęconych emigracji. Włosy stają na głowie, gdy przegląda się przytaczaną przy każdym hasle „literaturę przedmiotu” — tu dobór jest już zupełnie przypadkowy. Skrótowe, „brykowe” formułki. Czy nie lepiej byłoby w tak pomyślanym „Leksykonie” ograniczyć się po prostu do not bio-bibliograficznych bez silenia się na wątpliwej jakości noty krytycznoliterackie? Jeden tylko przykład z noty o Miłoszu: „'Zdobycie władzy' to powieść polityczna, która w krótkich, filmowych scenach zderza biografię Piotra Kwinto, oficera oświatowego armii Berlinga (postać częściowo wzorowana na ówczesnym P. Hertzu) z tragicznym losem żołnierzy Powstania Warszawskiego”. Podobnych rewelacji na temat różnych utworów literackich wypowiada Zieliński w krótkich żołnierskich słowach wiele. Tyle w tym słuszności, co w stwierdzeniu, że „Faust” Goethego to poemat o tym, że jedna panna miała dziecko.

Książka Krzysztofa Dybciaka budzi z kolei — obok tych, które dotyczą pracy Zielińskiego — dodatkowe wątpliwości, począwszy od tytułu który zapowiada, że wreszcie pojawił się autor, który przekroczy dotychczasowe ograniczenia w pisaniu o literaturze powstającej poza krajem. „Panorama literatury na obczyźnie” to wszak nie to samo, co „panorama literatury emigracyjnej”: pojęcie obczyzny pozwala na szersze potraktowanie problemu. Ale niestety jest to tylko zapowiedź. Wywija się zresztą z tej zapowiedzi w sposób zręczny: „Nasi rodacy mieszkający na Litwie, Białorusi, Ukrainie

nie są oczywiście emigrantami żadnego rodzaju, lecz ludnością autochtoniczną, przebywającą tam od setek lat. Nie są więc na obczyźnie, lecz 'na swojszczyźnie', choć znajdującej się poza terytorium państwa polskiego, dlatego nie zajmuję się ich dorobkiem kulturalnym w tym tekście". Czy słusznie? Czy stanowcze stwierdzenie, iż pozostali na terenach sowieckich Polacy pozostawali „na swojszczyźnie” nie wymaga żadnego komentarza i jest tak oczywiście, jak to się autorowi wydaje? Czy terytorialna „swojszczyzna” jest również „swojszczyzną” kulturalną? Czy nie było tu — zupełnie innych niż w odniesieniu do emigracji żyjącej na zachodzie — problemów w komunikowaniu się z krajem, z kultywowaniem tradycji? I czy w tych okolicznościach nie warto jednak zająć się powstającą tam twórczością literacką (jak choćby poezją skupiających się w Wilnie — nie przypadkiem właśnie tutaj gromadzili się polscy twórcy ze wszystkich europejskich republik sowieckich — pisarzy)? Podobne pytania należy postawić w odniesieniu do mniejszości polskiej w Czechosłowacji: dość przypomnieć trudności, z jakimi — zwłaszcza po roku 1968 — musiała borykać się redakcja cieszyńskiego *Zwrotu* czy tragiczne losy (odnotowane w jednym z pierwszych numerów *Zapisu*) poety Henryka Jasiczka. Wszystko to są problemy o tyle istotne, iż jeśli Polacy pozostający na zachodzie nie chcieli i nie potrzebowali oparcia w zniewolonym kraju, to nasi rodacy w państwach „obozu socjalistycznego” oparcia takiego potrzebowali (warto przypomnieć w tym kontekście list polskich intelektualistów w sprawie Polaków w Sowietach, na który jedyną odpowiedzią były represje wobec autorów), lecz nie mogli na nie liczyć. Nie sądzę więc, by było rzeczą właściwą przechodzenie nad tymi problemami do porządku dziennego. Być może należy napisać, że powstająca na tych obszarach literatura polska w zasadzie nie osiągnęła wysokiego poziomu, niemniej pomijanie jej milczeniem i osadzanie w wątpliwej jakości „swojszczyźnie” jest co najmniej dyskusyjne.

Wiele jest też w bryku Dybciaka nieścisłości. Czasem drobnych, jak przemianowanie przyznanej Władysławowi Bartoszewskiemu (nie wiedzieć czemu pomieszczonemu wśród emigrantów) Pokojowej Nagrody Wydawców Niemieckich (której laureatami byli także Janusz Korczak oraz Leszek Kołakowski, o czym autor nie wspomina) na Nagrodę Niemieckich Wydawców. Czasem są to nieścisłości bardziej istotne, jak fragment, w którym autor pisze o wyjeździe Arnolda Śluckiego do Izraela, nie wspominając słowem o tym, że pisarz wrócił do Europy i ostatni okres życia spędził w Berlinie Zachodnim. Podobnych potknięć można wskazać więcej. Jednym z poważniejszych jest, jak się wydaje, zbyt pobieżne omówienie fenomenu, jakim w latach osiemdziesiątych było powstanie trzeciego co do wielkości w Europie (obok Paryża i Londynu) emigracyjnego centrum wydawniczego w Berlinie Zachodnim. Autor wspomina o *Archipelagu* oraz bibliotece tego pisma, wymienia tytuł pisma *Pogląd* nie mówiąc nic o wydawnictwie, nie poświęca ani słowa wydawnictwu Veto, założonemu przez Wojciecha Drozdka, nie wspomina

też o powstałym przy berlińskim Klubie Inteligencji Katolickiej (pierwszym poza granicami kraju) kwartalniku *Słowo*. To samo dotyczy Francji: pomija milczeniem zarówno bibliotekę *Kontakt*, w której m.in. ukazało się drugie wydanie „Barbarzyńcy w ogrodzie” Herberta, jak wydawnictwo Spotkania, nastawione co prawda głównie na publikację książek historycznych, lecz mające w swym dorobku także bodaj czy nie najważniejszą książkę Leszka Proroka „Smutne pół rycerzy żywych” oraz ostatni zbiór wierszy Józefa Łobodowskiego. Temu ostatniemu poświęcił Dybciak co prawda aż półtorej strony, by w obszernym cytacie z „Lubelszczyzny” wykazać, że „piękne i przejmujące są jego liryki, w których powraca do Lublina i okolic”, lecz nie zająknął się nawet o jego twórczości poświęconej Ukrainie (jeden z ostatnich twórców polskiej „szkoły ukraińskiej”) ani o obfitej (choć nie zawsze najwyższego lotu) felietonistyce, przede wszystkim na łamach londyńskich *Wiadomości* i *Tygodnia Polskiego*.

Dybciak ucieka od obowiązku analiz i ocen w sposób tyleż sprytny, co zwodniczy (jak w wypadku Łobodowskiego) — cytuje mianowicie obszernie przywoływanych autorów. Cytat zamiast omówienia jest też o tyle dobrym chwytem, że przyspiesza tempo pisania podobnych bryków. Tam, gdzie należałoby się zastanowić nad czymś więcej niż nad treścią utworów, Dybciak milknie tak głęboko, iż w niektórych wypadkach (Tymoteusz Karpowicz wraz z jego poematem „Rozwiązywanie przestrzeni”) po prostu przemilcza fakty. Na ogół powtarza stereotypowe oceny rangi artystycznej twórczości emigrantów. Brak jednak własnego zdania w jakiegokolwiek sprawie. Widać — podobnie zresztą jak u Zielińskiego — swoistą bezradność wobec podjętego tematu. Jeśli u Zielińskiego mamy po prostu do czynienia z (dalece niekompletnym) słowniczkiem pisarzy emigracyjnych, w książce Dybciaka uzyskaliśmy opis (także dość niewyraźny) geograficznego rozmieszczenia emigracji, przy czym przyjęta zasada „przypisywania pisarzy do kraju osiedlenia” nie zawsze się sprawdza: choćby ostatnio znów powstało zamieszanie, gdyż Mrozek przeniósł się z Francji do Meksyku, a przecież podobnych przeprowadzek było dużo więcej.

Obie książki są niesłychanie powierzchowne, w swych ocenach (a nawet w spisach przywoływanych utworów) co najmniej problematyczne, pisane w pośpiechu i wyraźnie „na odczepnego”. Nie jestem pewien, czy dobrze przysłużą się literaturze emigracyjnej i krajowym czytelnikom. Odkrywcze twierdzenia typu „Płynna jest granica między ostatnim etapem tego, co nazywamy historią, a współczesnością” (Dybciak) są doskonałym przykładem intelektualnej rangi tych opracowań. Nie warto się nad tymi książeczkami specjalnie zniecać, należy natomiast przed nimi ostrzec, gdyż przy wciąż dość dużym głodzie wiedzy (także popularnych opracowań) na temat emigracji, przedstawiają one jej obraz w krzywym zwierciadle. Pisać o emigracji — podobnie jak o innych sprawach — może każdy, lecz chyba nie każdy powinien. A już na pewno nie

każde z takich „opracowań” winno znaleźć się w druku. W przyszłości byłoby rzeczą wskazaną (dotyczy to zresztą nie tylko książek o literaturze emigracyjnej) poprzedzenie publikacji opinią lektorów wydawnictwa. W tym wypadku wyraźnie tego zaniechano — a szkoda.

Leszek SZARUGA

Nadesłane nowości wydawnicze

- Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946–1966.* Wybór i opracowanie Rafał Habielski. Str. 237 i 1 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1990).
- Herby rodów polskich.* Wydanie w opracowaniu Mieczysława PASZKIEWICZA i Jerzego KULCZYCKIEGO. Spis rodów szlacheckich sporządzony przy współudziale Teresy KORZENIOWSKIEJ. Zawiera „herby szlachty polskiej” Zbigniewa Leszczyca z przedmową Wacława Gąsiorowskiego, wydane w Poznaniu w 1908 r. nakładem Antoniego Fiedlera, 88 tablic herbów polskich, indeks nazwisk, spis rodzin szlacheckich i ich herbów. Ogółem stron 480. Ze wstępem Mieczysława Paszkiewicza w języku polskim i angielskim (Wyd. Orbis Books, Londyn 1990).
- SZETELNICKI (Wacław, ks.). *Lwowianin na drogach świata. Władysław kardynał Rubin.* Str. 192. (Wyd. Pontifica Universita Gregoriana, Rzym 1986).
- KULA (Marcin). *Narodowe i rewolucyjne.* Str. 381 i 1 nlb. (Wyd. Aneks i Więź, Londyn-Warszawa 1991).
- HENNELOWA (Józefa), SKWARNICKI (Marek), opr. *Nasze sprawy rodzinne.* Str. 512 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- SATORA (Kazimierz). *Opowieści wrześnie szlacheckich.* Str. 422 i 2 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- PODSIAD (Antoni, opr.). *Matka Boska Kozielecka.* Str. 152. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- ORŁOŚ (Kazimierz). *Historia „Cudownej meliny”. — Cudowna melina.* Str. 268 i 4 nlb. (Wyd. „Verus”, Białystok 1990).
- WAŃKOWICZ (Melchior). *Monte Cassino.* Str. 456. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- KISIELEWSKI (Józef). *Ziemia gromadzi prochy.* Str. 486 i XXXVIII. (Bibliofilski przedruk wydania z 1939 r., wyd. PAX, Warszawa 1990).
- ŚLASKI (Jerzy). *Polska Walcząca. 1939–1945.* Str. 1055 i 5 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- JURGA (Tadeusz). *Obrona Polski 1939.* Str. 866 i 2 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- BOCIAN (Marianna). *Z czasu jednej jest JESTES jestem.* Str. 32. (Wyd. Wydawnictwo Kret, Wrocław 1990).
- SULIKOWSKI (Andrzej). *Spóźniony debiut Jana Józefa Szczepańskiego.* (Nadbitka z *Pamiętnika Literackiego* LXXX, 1989, z. 4).
- SULIKOWSKI (Andrzej). *Motywy religijne i kryptoreligijne w twórczości Hanny Malewskiej.* (Nadbitka z *Pamiętnika Literackiego* LXXVIII, 1987, z. 2).

- PUZDROWSKI (Edmund). *Klisze i ziarna.* Str. 84. (Wyd. Officina Nostra, Gedania 1991).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Godzina cieni. Eseje.* Str. 386 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- JELEŃSKI (Konstanty A.). *Szkice.* Str. 251 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- WEISSBERG-CYBULSKI (Aleksander). *Wielka czystka.* Przel. z niemieckiego Adam Ciołkosz. Str. 548 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1990).
- Solidarność Małopolska w podziemiu. Solidarność Regionu Małopolska w latach 1981–1989.* Opr. Cz. Brzoza, W. Bukowski, A. Roliński, Z. Solak, W. Wiśniewski. Wydanie sondażowe, str. 304. (Wyd. Towarzystwo Autorów i Wydawców Naukowych „Veritas”, Kraków 1991).
- KOEHLER (Krzysztof). *Wiersze.* Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1990).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Opowiadania zebrane.* Str. 317 i 3 nlb. (Wyd. „W drodze”, Poznań 1990).
- ŚLAWIŃSKI (Janusz). *Teksty i teksty.* Str. 239 i 5 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1990).
- BEREŚ (Stanisław). *Ostatnia wileńska plejada. Szkice o poezji kręgu Żagarów.* Str. 367 i 5 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1990).
- GŁOWIŃSKI (Michał). *Nowomowa po polsku.* Str. 146 i 6 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1990).
- KARP (Jerzy). *Wiersze 1980–1989.* Str. 54. (Wyd. nie podane, Suwałki 1990).
- Prace Komisji Konstytucyjnej Senatu,* zeszyt 2. Str. 180 i 8 nlb. (Wyd. KSW, Poznań-Warszawa 1990).
- BOCHEŃSKI (Józef M.). *Logika religii.* Str. 130 i 6 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Żywi i umarli. Szkice literackie.* Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. FIS, Lublin).
- CHABROWSKI (Tadeusz). *Madonny.* Poezje. Str. 48. (Wyd. Michalineum, Warszawa-Kraków 1990).
- KWIATKOWSKI (Eugeniusz). *W takim żyliśmy świecie. Sylwetki polityków.* Str. 193 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- FISCHER-WOLPERT (Rudolf). *Leksykon papieży.* Przel. Bernard Białycki. Str. 459 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- ROMANOWSKI (Andrzej). *Przed „złotym czasem”. Szkice o poezji i pieśni patriotyczno-wojennej lat 1908–1918.* Str. 364 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- ELZENBERG (Henryk). *Z filozofii kultury.* Str. 382 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- SEIDLER (Barbara). *Kto kazał strzelać (grudzień 1970).* Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1991).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą, 1980–1983.* Str. 334 i 2 nlb. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1991).
- Polacy w ZSSR 1939–1942.* Antologia. Opracowanie i wstęp Marii Czapskiej. Str. 358 i 2 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1991).
- Ethos nr 11/12 1990: Dziesięciolecie Solidarności.* Str. 518 i 2 nlb. (Wyd. KUL, Lublin 1991).
- Rewolucja kulturalna w Instytucie Badań Jądrowych 13 XII 1981–1989.* Tom 37 Archiwum Solidarności, seria „Polska stanu wojennego”. Str. 268. Opr. A. Szarkowski, H. Pes i J. Kresowiak. (Wyd. NOWA and ARCH, Warszawa 1990).
- CIEMIŃSKI (Ryszard). *Album kartuski.* Str. 114 i 26 str. fotografii. (Wyd. Graf, Gdańsk 1991).
- WIADERNY (Bernard). *Paweł Jasienica. Fragment biografii, wrzesień 1939 — brygada Łupaszki 1945.* Str. 170. (Wyd. Wydawnictwo Antyk, Komorów 1991).
- KURZAWA (Eugeniusz). *To wszystko nic.* Str. 72. (Wyd. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1990).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

9.3.91

Walne zebranie Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie wybrało na członków profesorów Zbigniewa Brzezińskiego, Feliksa Grossa i Piotra Wandycza, a na członków korespondentów prof. Annę M. Cienciałę i M.K. Dziewanowskiego. Wybór ten stanie się formalny po zatwierdzeniu go przez Prezydenta R.P. W roku ubiegłym PAU wybrała na członka Czesława Miłosza.

13.3.91

Ordynariusz wskrzeszonej po 45 latach diecezji greckokatolickiej, władca Iwan Martyniak, odbył ingres do katedry rzymskokatolickiej w Przemyślu. W uroczystości uczestniczyli Prymas Polski, nuncjusz apostolski w Polsce, biskupi obrządków rzymskokatolickiego i greckokatolickiego z Polski, Kanady i Ukrainy. Ingres ten miał się odbyć w katedrze greckokatolickiej, ale wskutek nieodpowiedzialnej akcji polskich czynników szowinistycznych odbył się dzięki biskupowi Tokarczukowi w katedrze obrządku łacińskiego.

18.3.91

Estoński minister Spraw Zagranicznych Lennart Mery zgłosił wniosek do norweskiego Komitetu Nagrody Pokoju Nobla o kandydaturę Radia Wolna Europa i Radia „Swoboda”, motywując go ogromną rolą tych radiostacji w obronie wolności w Europie Wschodniej. Mery podkreślił, że choć kandydaturę zgłasza z własnej inicjatywy, to liczy że jego wniosek zostanie poparty przez prezydentów Havla, Wałęsę i Żelewa oraz premiera Antall.

1.4.91

Według informacji bpa Tadeusza Kondrasiewicza, administratora apostolskiego diecezji mińskiej i wszystkich katolików obrządku łacińskiego, na Białorusi jest czynnych obecnie 217 kościołów — praktycznie prawie wszystkie są w remoncie. Kościół zabiega o odzyskanie jeszcze 500 obiektów sakralnych. Na Białorusi jest obecnie 61 miejscowych księży, z których 13-tu ukończyło 80 rok życia. Na podstawie porozumienia z władzami bp Kondrasiewicz może przyjąć 50 księży z Polski — przybyło już 46-ciu. W Grodnie otwarto seminarium duchowne, ale są bardzo wielkie trudności w wydawaniu literatury religijnej w języku białoruskim. Odczuwa się zwłaszcza brak biblistów do tłumaczenia Pisma Św. ■ Bp Miloslav Vlk został mianowany przez Papieża arcybiskupem Pragi i Prymasem Czech. Dotychczasowy Prymas, 92-letni Frantisek Tomašek, został, na własną prośbę, zwolniony z pełnienia obowiązków. ■ Bp Jaworski, który został mianowany arcybiskupem lwowskim, wyjechał ze Lwowa, rezygnując z ingresu, ze względu na *sprzeciw władz miejskich Lwowa* — a to pod nieobecność przewodniczącego lwowskiej Rady Obwodowej, Wiaczesława Czarnowoła, który aktualnie leczy się w Kanadzie.

Według publicznych oświadczeń, wpływ na takie stanowisko władz lwowskich miał fakt, że sprawy ingresu we Lwowie nie omawiano wprawdzie z władzami ukraińskimi, lecz nuncjusz Francesco Colasunno załatwiał to w Moskwie.

Mówi się publicznie, że skoro bp Jaworski miałby być pasterzem wszystkich katolików mieszkających na Ukrainie, a nie tylko Polaków, to w takim razie powinien rezydować nie we Lwowie a w Kijowie.

Jako zarzut przeciwko ingresowi bp. Jaworskiego wysuwana jest także sprawa sprzeciwu grupy mieszkańców Przemyśla przeciw oddaniu Kościołowi greckokatolickiej katedry oo. Karmelitów pod wezwaniem św. Teresy na okres 5 lat.

4.4.91

Chiny zamierzały zakupić wszystkie Tupolewy należące do PLL LOT, tj. 14 samolotów 154 M, oraz jeden TU 154 M należący do 36 pułku lotnictwa i będący w dyspozycji prezydenta RP. Związek Sowiecki wyraził sprzeciw, który przekreśla szanse tej transakcji, gdyż nie może ona nastąpić bez zgody producenta, który nowym właścicielom musi zapewnić serwis. Natomiast Rosjanie interesują się kupnem wszystkich TU 134 A (LOT ma ich 7), IL-ów 18 (dwa) i AN-ów 24 (osiem). Negocjacje idą opornie, gdyż nie wiadomo z kim pertraktować: we władzach lotnictwa sowieckiego i w Aeroflocie trwają nieustanne reorganizacje. Poza tym są ogromne rozbieżności w ustaleniu wartości tych samolotów.

10.4.91

W Serocku pod Warszawą odbyło się trzydniowe spotkanie szefów telewizji polskiej, estońskiej, litewskiej i łotewskiej. Przyjęto projekt wspólnego programu telewizyjnego a także rozszerzenie pomocy telewizji polskiej dla redakcji programów polskich na Litwie. Planowane jest uruchomienie nadajnika w Suwałkach, co pozwoli dotrzeć na Litwę programowi II telewizji polskiej.

12.4.91

Papież mianował pięciu nowych biskupów w Związku Sowieckim. A mianowicie: bp Tadeusz Kondrasiewicz, dotychczasowy administrator apostolski na Białorusi, został administratorem apostolskim w Moskwie; ks. Kazimierz Świątek, były więzień łagrów, został arcybiskupem archidiecezji mińsko-mohylewskiej oraz administratorem diecezji pińskiej; proboszcz parafii Św. Ducha w Wilnie, Aleksander Kaszkiewicz, został biskupem diecezji grodzieńskiej; niemiecki ksiądz, Josef Wert, został administratorem apostolskim w Nowosybirsku, a ks. Jan Lenga administratorem apostolskim w Karagandzie (Kazachstan).

15.4.91

W Warszawie odbyło się posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Prezesem stronnictwa został Jan Zamojski. Na tę uroczystość przybyli przedstawiciele stronnictwa z emigracji: prezes Antoni Dargas i Wacław Całus.

1.5.91

Na początku miesiąca ma mieć miejsce ekshumacja i przewiezienie do Polski prochów Jana Lechonia. Prochy zostaną złożone w Laskach 11.5.br., a następnie odbędzie się akademie ku Jego czci.

17.5.91

W Warszawie zostanie otwarta wystawa Z. Czermańskiego, pierwsza od 1938 roku.

ZACHÓD — EMIGRACJA

22.3.91

Na zebraniu Rady Instytutu J. Piłsudskiego w Ameryce Stanisław Jordanowski został wybrany prezesem Instytutu, wiceprezesami zostali Magda Kapuścińska i Czesław Patkowski, skarbnikiem Władysław Jędrzych, sekretarzem Halina Janiszewska, a dyrektorem Jerzy Prus. Rada przyjęła do Instytutu 17 nowych członków.

25.3.91

Kongres USA przyznał w br. „Solidarności” 1,8 mln dolarów. ■ Zmarł w Genewie w wieku 90 lat Mieczysław Lubicz Zaleski, przed wojną dyrektor Polskiego Związku Zachodniego, następnie pracował w Ministerstwie Informacji rządu polskiego we Francji, w 1943 r. w poselstwie RP w Szwajcarii, a po wojnie był delegatem rządu RP na Szwajcarię.

29.3.91

Grupa Hersanta rozszerzyła swój stan posiadania w Polsce. Będąc już głównym udziałowcem dziennika *Rzeczypospolita*, zakupiła dwa pisma codzienne w Gdańsku i magazyn sportowy w Krakowie. W najbliższym czasie zakupi prawdopodobnie *Dziennik Łódzki*.

3.4.91

Zmarł w Szwajcarii w wieku 86 lat Graham Greene, jeden z najwybitniejszych pisarzy XX wieku. W swych powieściach problematykę religijno-moralną i wątki psychologiczne łączył często z sensacyjną akcją.

7.4.91

W wywiadzie z ks. Eugeniuszem Plater-Zybergiem, zamieszczonym w nr. 14 *Głosu Katolickiego* w Paryżu, ks. Plater powiedział m.in., że jest we Francji jeszcze ponad 300 grup francuskich pomagających Polsce. Wysła się miesięcznie ok. 30-tu 20-tonowych ciężarówek wiozących przede wszystkim lekarstwa, odzież, odżywki, żywność, sprzęt szpitalny.

13.4.91

W Instytut d'Etudes Slaves (Paris Sorbonne) odbyło się spotkanie z następującym porządkiem dziennym: odczyt Xavier Galmiche „L'oeuvre de Libuše Moniková”; przygotowanie przyszłych kolokwium; studia czeskie i słowackie, odnowienie komitetu redakcyjnego.

15.4.91

Imprezy Instytutu Polskiego w Paryżu w kwietniu i maju 1991: 5.04 — zebranie dyskusyjne „Czy istnieje Europa Centralna?” z udziałem ambasadora RP w Paryżu Łukaszczyńskiego, ambasadora czeskiego Jarosława Segivy, ambasadora węgierskiego Janosa Szavai oraz Jerzego M. Nowakowskiego z Ośrodka Studiów Międzynarodowych Senatu RP; 11.04 — wieczór autorski poety Jacka Bierezina (z okazji ukazania się jego książki „Tant de choses”); 16.04 — spotkanie z posłem Janem Rokitą z ROAD i Przemysławem Hniedziewiczem, wiceprezesem Porozumienia Centrum; 18.04 — odczyt Jerzego Turowicza, naczelnego redaktora *Tygodnika Powszechnego*, pt. „Ka-

tolicy w rewolucji politycznej Polski od czasu nastania Jana Pawła II”; 29.04 — spotkanie z Januszem Szpotańskim z okazji ukazania się jego tekstów w wyd. Polonia w Londynie; 15.05 — odczyt Jacka Woźniakowskiego o obecnej sytuacji kulturalnej w Polsce; 16.05 — spotkanie z Krzysztofem Kozłowskim, b. ministrem Spraw Wewnętrznych.

16.4.91

W Centre de Civilisation Polonaise (Univ. Paris Sorbonne) odbyło się międzynarodowe kolokwium na temat „Naturalisme et antinaturalisme dans les littératures européennes du XIX et du XX s. — continuateurs et adversaires”. W pierwszym dniu kolokwium p. Janina Kulczycka-Saloni z Warszawy wygłosiła odczyt pt. „Entre le refus et l'attraction — cheminement du naturalisme en Pologne”, zaś Danuta Knysz-Rudzka, także z Warszawy, mówiła na temat „La recherche de l'art et de la littérature nouvelle à travers l'expérience naturaliste”.

18.4.91

Dyrektorem Ośrodka Naukowego Polskiego Akademii Nauk w Paryżu został Jerzy Borejsza. W Ośrodku odbyła się konferencja na temat „France — Pologne — Russie — URSS” z udziałem prof. Remi Foryckiego z Uniwersytetu Warszawskiego i prof. Alain Besançon.

19.4.91

Z działalności Centre du Dialogue w Paryżu: 19.4 odczyt Jerzego Turowicza „Kościół u progu polskiej demokracji”; 26.04 Dominik Morawski o polityce wschodniej Watykanu; zaś 10.5 odczyt Stefana Kisielewskiego „Polska stara — Polska nowa”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Od marca 1988 r. działa w Richardson w Teksasie dwujęzyczne wydawnictwo „Language Bridges Publications”, które wydaje od zimy 1988/89 dwujęzyczny „ilustrowany kwartalnik przeznaczony dla intelektualistów”. Wydawnictwo opublikowało m.in. „Historię ZHP w USA” Ewy Gierat oraz dwujęzyczny wybór aforyzmów rumuńskiego poety Valeria Butulescu. Pismo redagują osoby mieszkające w starych i tradycyjnych centrach polonijnych — Ewa Ziem (Teksas), Ewa Gierat (Connecticut), Anna M. Milo (Maryland), Teri R. Conner-Sveiven (Teksas), Zofia Przebindowska-Tousty (Teksas), a w Polsce — Jerry G. Whiterock. ■ W Nowym Jorku z kolei działa anglojęzyczne wydawnictwo „Hippocrene”, które dzięki pracownikom polskiego pochodzenia (przede wszystkim zaś p. Jackowi Gałązce), ale i zapewne zainteresowaniu publiczności, wydało wiele słowników, przewodników, opracowań naukowych oraz powieści związanych z polską kulturą. Ostatnimi publikacjami oficyny są: monografia Ignacego Jana Paderewskiego (M.M. Drozdowski), tłu-

maczenie pierwszego tomu „Ogniem i mieczem” (W. Kuniczak) i „Rozmówki amerykańskie dla Polaków”. ■ Od listopada 1988 r. działa w Bostonie Fundacja im. Lecha Wałęsy „Solidarność”, której głównym celem jest „utrwalanie pamięci wydarzeń polskich z 1980 r. i ich następstw w krajach komunistycznych”. Zasadnicze kierunki działalności fundacji: przyznawanie nagród, zapomóg i stypendiów oraz wspieranie działalności oświatowej i kulturalnej. ■ W mieście New Britain w Connecticut, określanym często jako „polskie miasto”, ostatnio rozwijają się związki z Polską oraz działalność polonijna. Działający tam Central Connecticut State University nawiązał kontakty z Uniwersytetem Wrocławskim, w wyniku których powstała w końcu lutego we Wrocławiu szkoła biznesu. Otworzono nowe kursy wieczorowe języka angielskiego i zawodowe. Gości wielu artystów z Polski (ostatnio Michał Bajor), a na przełomie sierpnia i września ma się odbyć ogólnoamerykański festiwal polskiej piosenki. ■ W końcu lutego w Polsce przebywała 35-osobowa grupa amerykańskich ekspertów budownictwa sponsorowanych przez Departament Pracy USA, który działa w ramach programu Support for Eastern European Democracy (uczestniczy w nim Polish-American Enterprise Fund., którego powstanie było jednym z bezpośrednich efektów ubiegłorocznej wizyty prez. Busha w Polsce). Rozwiązanie problemów polskiego budownictwa mieszkaniowego to z jednej strony dla Amerykanów pole do działania prywatnych przedsiębiorców, a z drugiej — wyeliminowanie hamulców, niezbędnej przy zmianach gospodarczych i ustrojowych, masowej migracji siły roboczej. W ramach pomocy technicznej w Warszawie powstaje ośrodek szkoleniowy rzemiosł budowlanych oraz przewiduje się wybudowanie 1000 niedrogich domów jednorodzinnych w ciągu 2 lat. ■ We współpracy historyków polskich i amerykańskich powstanie 5-tomowa ilustrowana historia USA, która w przyszłości ma być też przetłumaczona na inne języki wschodnioeuropejskie. Koszty przedsięwzięcia (85 tys. dolarów) pokryje Agencja Informacyjna Stanów Zjednoczonych. Niektórzy poważni naukowcy (m.in. Z. Brzeziński) odmówili udziału w pracach, uważając ich podjęcie za rozrzutność i brak rozsądku finansowego i naukowego. USA od dłuższego czasu prowadzi też dziwne akcje zapraszania najprzeróżniejszych osób z Polski do Stanów Zjednoczonych, których pobyt w USA niewiele przynosi w efekcie, poza wydawaniem pieniędzy podatników amerykańskich i nadszarpnięciem sum przeznaczonych na pomoc dla Polski. ■ Po spotkaniu na początku marca między prez. Wałęsą i przedstawicielem firmy Coca-Cola, postanowiono otworzyć w najbliższej przyszłości w Gdyni i w Warszawie dwie wytwórnie tego napoju. ■ Pierwszy poniedziałek marca jest w kilku stanach oficjalnym świętem i dniem wolnym od pracy dla administracji stanowej jako „Dzień Pułaskiego”. ■ 10 marca na przedmieściu Chicago odbyła się konferencja poświęcona ludziom ukrywającym Żydów podczas 2-jej wojny światowej. Wzięły w niej udział m.in. Stefania Burzińska z Bostonu (uratowała 13 osób) i Krysty-

na Rybicka z Glenview. Organizatorem konferencji był znany filantrop i prawnik Harvey Sarnier, którego pomoc umożliwiła odwiedzenie Izraela kilkudziesięciu polskim „sprawiedliwym”. Podczas konferencji ujawniono fakty pomocy jakiej udzielała Armia Polska i i gen. Anders dzieciom żydowskim i Żydom w wyostaniu się z Sowietów. ■ Władze amerykańskie nie zaakceptowały „ze względów bezpieczeństwa narodowego” Andrzeja Kapiszewskiego jako kandydata na urząd konsula polskiego w Los Angeles. Warszawa ogłosiła sprostowanie, które przypomina komunistyczną nowomowę, a z którego ma wynikać, że po pierwsze to nie Amerykanie a polskie ministerstwo wycofało kandydaturę Kapiszewskiego, a po drugie dokonało tego na własną prośbę kandydata i ze względów osobistych, a po trzecie pomieszczenie konsulatu i tak nie było wykończony, więc konsul nie miałby gdzie urzędować. Tak więc pękata teczka z danymi polskiego kandydata na konsula — jakie z pewnością zebrały służby zabezpieczające nas przed infiltracją obcych agentur — istnieje i nie istnieje zarazem, zgodnie ze znaną orwelową zasadą. ■ Wizyta Lecha Wałęsy w Stanach Zjednoczonych rozpoczęła się od zapowiedzi prez. Busha darowania Polsce 70% jej zadłużenia wobec USA. Bush ma też wystąpić w przyszłym roku o zwiększenie bezzwrotnej pomocy dla Polski do 470 milionów dolarów oraz zachęcać biznesmenów do inwestowania w Polsce. Program wizyty Wałęsy zawierał spotkania z najważniejszymi osobistościami politycznymi USA (wiceprezydentem — D. Quaylem, sekretarzem stanu — J. Bakerem, sekr. obrony — R. Cheney'em, sekr. skarbu — N. Bradym, sekr. d/s handlu — R. Mosbacherem), z przedstawicielami AFL CIO — związków zawodowych, które wspierały walkę „Solidarności”, z Polonią oraz z grupą Żydów amerykańskich i polskich. Prezydent RP odwiedził Waszyngton, Los Angeles, Chicago i Nowy Jork. W czasie pobytu Wałęsy w Chicago jeden z dwu głównych dzienników, *Chicago Sun Times*, zamieścił pełny rozkład dnia prezydenta Rzeczypospolitej, który w prasie polonijnej ukazał się tylko we fragmentach. Przytaczam dwa fragmenty za gazetą (z dn. 24 marca) we własnym przekładzie: „Ping-pong trwa około 45 minut, zwykle wygrywam. Jeśli wygrywam z kimś zbyt łatwo, odprawiam go i szukam silniejszego przeciwnika. Nie wiem jak długo polskie źródła wytrzymają. (...) Po kolacji przeglądam gazety, ale kiedy przy 5-iej, 6-iej stronie gazety wypadają mi z rąk... biorę żonę i są teraz rzeczy, których nie wymienię”. ■ Rok rocznie w Chicago odbywa się konkurs dla młodych pianistów im. Fryderyka Chopina. Jego laureaci mogą uczestniczyć w ogólnokrajowych finałach, które odbywają się w Nowym Jorku w siedzibie i pod patronatem Fundacji Kościuszkowskiej. ■ W Duke University w Durham w Północnej Karolinie na cześć zmarłego przed kilkoma laty profesora Jana Magnusa Kryńskiego zorganizowano dwa kursy dotyczące literatury polskiej: „Wprowadzenie do literatury polskiej” i kurs dotyczący Brunona Schulza. Zmarły profesor był jedną z największych postaci w dziejach sławistyki amery-

kańskiej. Interesował się literaturą rosyjską, wszystkimi okresami literatury polskiej, szczególnie zaś powojenną polską poezją i prozą; wiele uwagi poświęcił socrealizmowi polskiemu, który uważał za wyjątkową aberrację intelektualną i literacką. Kryński był też działaczem konserwatywnej polskiej organizacji „Pomost”, która zwracała uwagę Amerykanom i Polonii na utajoną infiltrację komunistyczną USA przez wielu rzekomych dysydentów z Sowietów i innych krajów Europy Wschodniej.

Mariusz SZAJNERT

KRONIKA KANADYJSKA

W ramach polityki oszczędnościowej rząd federalny obniżył znacznie budżet CBC (centralnej rozgłośni radiowej), co spowodowało zlikwidowanie kilku lokalnych rozgłośni, zwolnienie kilkuset pracowników. Ofiarą oszczędności padła znaczna część programów Radia Canada International, audycji nadawanych w różnych językach dla różnych krajów. Z 14 programów pozostały: arabski, chiński, hiszpański, rosyjski i ukraiński, a programy w językach angielskim i francuskim znacznie ograniczono. Ostatnia audycja w języku polskim miała miejsce 22 marca. ■ Kolejna lista (z dn. 16.01.91) dotacji na katedrę historii Polski na University of Toronto zamyka się sumą \$can. 341.260. Do zebrania pozostało \$can. 408.740. ■ Permanentny, konstytucyjny kryzys na linii Ottawa-Quebec — znacznie zaostrzony po odrzuceniu w czerwcu ub.r. i braku jednomyślności prowincji co do układu Meech Lake — wkroczył w nowy etap. Dwie komisje quebeckie ogłosiły swoje raporty. Pierwszy raport, opracowany na zlecenie rządzącej Partii Liberalnej Quebecu i przedstawiony na konferencji partyjnej w marcu, wypowiada się za suwerennością Quebecu z zachowaniem łączności z Kanadą. Partia Liberalna, orędowniczka federalizmu, zmieniła front, co nie znaczy iż jest w pełni rzecznikiem niepodległości. Raport Jean Allaire, przewodniczącego komisji, formułuje bowiem również szereg postulatów, których uwzględnienie może, czy winno, zmienić postulat suwerenności.

Znacznie większą wagę polityczną ma raport komisji ustanowionej wspólnie przez Izbę Ustawodawczą Quebecu. Komisja ta, pod przewodnictwem pp. Belanger i Campeau, złożyła Izbie tuste tomisko — relację z drobiazgowych, wielorakich badań. Przystudowała wszystkie aspekty polityczne, socjalne i gospodarcze; nie pozostawiono podobno nawet marginesowych problemów. Komisja zaleca przeprowadzenie w październiku 1992 r. plebiscytu w sprawie

suwerenności Quebecu, a w rok później formalnego odłączenia się od Kanady z proklamacją niepodległości, własnej państwowości.

Ani plebiscyt, ani odłączenie nie muszą nastąpić, jeśli Ottawa przyjmie żądania Quebecu: przyznanie wszelkich praw i uprawnień we wszystkich dziedzinach życia publicznego, państwowego z wyjątkiem obrony narodowej, taryfy celnej i polityki monetarnej. Premier Bourassa przyjął oba raporty, wyraził się o nich z uznaniem, nie powiedział jednak, czy je przeprowadzi. Rząd federalny pospieszył z oświadczeniem, iż nie jest związany „kalendarzem Quebecu” ani żadnym innym, poza własnym. Działa więc komisja federalna badająca opinię społeczeństwa w całym kraju. Odbывают się zebrania publiczne, lokalne stacje radiowe przyjmują zapytania a członkowie komisji odpowiadają, itp. Poszczególne prowincje również uruchomiły komisje konstytucyjne. Łamy prasy przepelnione są rozważaniami na temat przyszłości Kanady. Ankiety w Quebecu wykazują, iż za suwerennością wypowiada się do 70% respondentów różnych grup — w tym i sfer gospodarczych. ■ Komitet obywatelski zbiórki na fundusz premiera Mazowieckiego w Ottawie, który powstał w marcu 1990 r., zebrał do marca 1991 r. ponad \$can. 38.000 i dzięki staraniom dr. A. Makomaskiego uzyskał od rządu federalnego \$can 40.000 na budowę basenu do hydroterapii w ośrodku „Helenów” w Międzyzlesiu. Wszystkie sumy zostały przekazane do Polski i komitet zakończył działalność z dniem 15 kwietnia br. ■ Fundacja Charytatywna KPK ogłosiła sprawozdanie finansowe za drugie półrocze minionego roku. Przychody wyniosły \$can. 87.946 — w tym \$can. 23.356 znajdowało się na koncie 31.7.1990 r. — rozchody wyniosły \$can. 66.834. Suma przekazana do Polski wyniosła w okresie sprawozdawczym \$can. 68.834, a pomoc rzeczowa około \$can. 400.000.

I tak p. Tadeusz Piórczyński — jeden z najbogatszych Polaków w Toronto, czynny w społeczności polonijnej — przesłał do Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski transport obuwia, odzieży i materiałów budowlanych wartości ok. \$can. 200.000; dr Andrzej Zawadowski aparat kardiologiczny wartości ok. \$can. 90.000 — przeznaczony dla Ośrodka Zdrowia w Chomiczówce, Kongres PK w Ottawie przekazał do szpitala w Piotrkowie Trybunalskim aparat rentgenowski wartości \$can. 100.000. Komisja Opieki Społecznej KPK wysłała w 1990 r. do Polski 374 paczki z odzieżą i obuwem.

Toronto, kwiecień 1991 r.

B.H.

Listy do Redakcji

Warszawa 21 marca 1991

Szanowny Panie Redaktorze,

Wydawanie *PWA* skończyliśmy wprawdzie rok temu, ale dopiero dziś jesteśmy gotowi dokonać szczegółowego bilansu.

W ciągu tego roku długi czas łudziliśmy się, że znajdziemy sponsora, który pomoże nam wydawać pismo w pełni już profesjonalne. Czy to my byliśmy za mało operatywni, czy sponsorzy zbyt mało hojni, czy też może w dzisiejszej Polsce nie ma miejsca dla prasy o takiej jak *PWA* formule?

Był Pan jednym z naszych największych przyjaciół. To głównie dzięki Panu udawało nam się w latach 1984-1990 systematycznie wydawać nasz tygodnik. Dzisiaj jak najserdeczniej Panu dziękujemy. Za Pana pośrednictwem także innym naszym sympatykom, którzy służyli pismu swoją pomocą — przede wszystkim Irenie Lasocie, Mirosławowi Chojeckiemu, Aleksandrowi i Eugeniuszowi Smolarom, Bożenie i Krzysztofowi Jussac. Dziękujemy również wszystkim tym osobom, które nam pomagały, a których nazwisk w czasach konspiracji nie byliśmy w stanie poznać.

Konspiracja się skończyła i należy — na ile to tylko możliwe — rzetelnie rozliczyć się z powierzonych nam środków, które z założenia służyły walce o wolność.

Po zaprzestaniu wydawania *Przeglądu Wiadomości Agencyjnych* dokonaliśmy inwentaryzacji. W posiadaniu redakcji znajdowało się i znajduje do dziś: 10.330 dolarów USA, 20 funtów, 230.000 złotych, dwie maszyny do pisania, telefax, trzy magnetofony reporterskie oraz drobny sprzęt biurowy, a także archiwum fotograficzne.

W pracy redakcyjnej nie korzystaliśmy z naszego sprzętu komputerowego. W całości był on używany do składu i łamania w pionie technicznym pisma, którym kierował Andrzej Fedorowicz. Obecnie jest on dyrektorem technicznym tygodnika *Spotkania*.

W maju 1990 r., z pomocą przedstawiciela NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze, przeprowadziliśmy inwentaryzację dostępnej części sprzętu komputerowego i poligraficznego. Inwentaryzacja objęła urządzenia znajdujące się na posesji Andrzeja Fedorowicza w Międzyzlesiu koło Warszawy. O losie innych urządzeń, m.in. dwóch maszyn offsetowych i jednego komputera, nie udało nam się uzyskać precyzyjnej informacji. Na wielokrotne propozycje rozliczenia wspólnego majątku i przekazania go na wspólnie wyznaczony cel społeczny Andrzej Fedorowicz nie odpowiadał, bądź odpowiadał wykrętnie.

W lutym 1991 r. wydawało nam się, że doszliśmy do porozumienia. Całość majątku mieliśmy przekazać na Litwę. Jednakże na miejsce przerzutu w Ośrodku Informacyjnym „Wschód”, Warszawa, Al. Ujazdowskie 13 — Andrzej Fedorowicz dostarczył jeden zdezelowany komputer personalny produkcji tajwańskiej.

Przykro nam, że jako redakcja, która siłą rzeczy bierze odpowiedzialność za całość inicjatywy *PWA*, nie jesteśmy w stanie rozliczyć całego majątku powierzonego nam przez społeczeństwo i emigrację.

W tej sytuacji redakcja *Przeglądu Wiadomości Agencyjnych* postanowiła pozostające w jej dyspozycji środki trwałe przekazać Polakom mieszkającym w ZSSR za pośrednictwem OI „Wschód”. Wszystkie pieniądze oddajemy do dyspozycji pani Ireny Lasoty.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Jan BRYŁOWSKI
Jan DOKTÓR
Stanisława DOMAGALSKA
Ernest SKALSKI

Załączniki: 1. Arkusz spisu z natury; 2. Wycena sprzętu komputerowego — zostaną Panu przesłane pocztą.

Warszawa 11.04.1991

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie przesłać Panu pokwitowania za sprzęt po tygodniku *PWA*, przekazany na Litwę, oraz zamówiony przez opozycję w ZSSR i czekający na wysłanie.

List podpisany przez cztery osoby z byłej redakcji *PWA* niestety mija się z prawdą, jeśli więc zdecyduje się Pan na jego publikację, uprzejmie proszę o dołączenie również mojego listu.

Ze swej strony chciałem Panu serdecznie podziękować za okazaną nam życzliwość i pomoc.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej FEDOROWICZ

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Leszek Wojnowski w liście do Redakcji (*Kultura* nr 3/522) krytykując mój artykuł pt. „Manna z nieba” (*Kultura* 1-2/520-521) nie zrozumiał moich intencji. Moje argumenty i szyderstwa z marnych szans dla zachodnich inwestycji w Polsce były wymierzone w głowę, a trafiły w serce pana Wojnowskiego. Pan Wojnowski obraził się w imieniu narodu polskiego, że śmiałem porównać klimat dla inwestycji w miniaturowym kraiku Isle of Man (64 tys. mieszkańców) i Polsce, kraju o 40 milionach mieszkańców.

Nie tu jest pies pogrzebany! Nie chodzi o wymiar, ale o podatki, o język, o komunikację (telefony!) i biurokrację, która nic nie ma wspólnego z wielkością kraju. Oczywiście, że na Isle of Man nie da się zbudować Nowej Huty, ale może się ona z powodzeniem stać nowym Hong-Kongiem albo Singapurem.

Dodatkowo pomyliło się panu Wojnowskiemu pojęcie „protekcjonizmu”, jaki mają jakoby stanowić ułatwienia dla inwestorów zagranicznych oferowane przez rząd Isle of Man. Protekcjonizm to wręcz coś odwrotnego. Jest to odstraszenie obcego kapitału i obcych produktów przez wysokie taryfy celne i prawa faworyzujące własny rodzimy przemysł i własny naród w sto-

sunku do zagranicy. Pan Wojnowski miał chyba na myśli słowo „interwencjonizm”, czyli wtrącanie się rządu do praw wolnego rynku. Niestety najgorszą interwencją rządu w gospodarkę są wysokie podatki, skomplikowana biurokracja i monopol państwa na pewne dziedziny gospodarki. W warunkach polskich np. monopol państwa na międzynarodową komunikację telefoniczną i ingerencja w ceny usług telefonicznych wewnątrz kraju, o czym była mowa w moim artykule „Manna z nieba”. Pan Wojnowski posądza mnie z kolei o „propagandę zachodniego sukcesu” i wyrabianie kompleksów niższości w polskim narodzie. Intencją mego artykułu była krytyka istniejącej sytuacji i powolnych zmian w Polsce, a nie gloryfikacja Zachodu.

Oczywiście, że najlepiej byłoby aby Polska odbudowała swą gospodarkę całkowicie własnymi rękoma, jeśli jednak z jakiegoś powodu rząd polski i Pan Prezydent Wałęsa jeżdżą po świecie narzekając, że „Amerykanie za mało inwestują w Polsce”, ktoś winien im powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Nie przypuszczam, aby pan Wojnowski uważał, że przekonanie o własnej racji jest ważniejsze dla Polski niż rzetelna informacja o tym co o niej myślą cudzoziemcy, zwłaszcza ci z pieniędzmi. Sam nie mogę się na dziwić, że rząd polski a także pan Wojnowski nie mogą zrozumieć, że zachodnich inwestorów nie da się sprowadzić ani ukazem, ani batem, ani nawet ujmującym uśmiechem Pana Prezydenta. Ci niepoprawni materialści ciągle liczą na dobry interes na jasnych i prostych warunkach. A jeśli pan Wojnowski potrzebuje innego, większego przykładu niż Isle of Man na lokalizację amerykańskiego kapitału, to proszę np. Meksyk, gdzie można od biedy dojść z USA na piechotę, gdzie przeciętne zarobki robotnika stanowią tylko 50 centów za godzinę (w USA Dol. 11), a komunikacja telefoniczna ze Stanami Zjednoczonymi działa bez zarzutu. Sam byłem tam w zeszłym tygodniu i mogę zaświadczyć.

Pozwolę sobie powtórzyć więc za panem Wojnowskim sowiecki dowcip z Radia Erywań: „Nie w Moskwie, a w Charkowie, nie samochód, a rower...” a jednocześnie dodam amerykański: „Kiedy dwóch ubiło interes, jeden się śmiał, kiedy zawierali kontrakt, a drugi, widocznie mniej bystry, śmiał się z opóźnieniem, kiedy niósł zarobione pieniądze do banku. Ciekawe, który z nich miał więcej powodów do radości?”

Pozostając z szacunkiem

Jan CZEKAJEWSKI

Nekrolog kusy, albo pisany z namaszczeniem, na jakie Stefan Żółkiewski nie zasłużył.

Kalendarzowa rzetelność, z jaką pożegnany został w marcowym numerze *Kultury* Stefan Żółkiewski, zdradza niedosyt informacji.

Stefan Żółkiewski nie rozpoczynał swojej kariery „teoretyka kultury i wybitnego znawcy literatury” założeniem niewinnego Instytutu Badań Literackich. Bałamutną jest zatem uwaga, że po roku 1956, więc dopiero w lepszym czasie, został ministrem Szkół Wyższych i Nauki. Równie bałamutną jest wzmianka, że w roku 1968 „został odsunięty od wszelkich stanowisk, pozbawiony katedry uniwersyteckiej za wystąpienie publiczne w obronie osób represjonowanych”, skoro ani słowa o tym, ilu to osobom, za sprawą Żółkiewskiego, odebrano katedry, albo ich do tych katedr nie dopuszczono. Stefan Żółkiewski rozpoczął swoją karierę w latach 1944/45 i był przez długie

długie lata partyjną wyrocznią w sprawach literatury. Należał również do partyjnego szczytu. Jeśli Julian Przyboś mówiąc o „pale realizmu socjalistycznego, którą zamordowano literaturę” miał na myśli i polską literaturę, to odpowiedzialność za to spada w pierwszym rzędzie właśnie na Stefana Żółkiewskiego.

Z jego ust i spod jego pióra wychodziło wiele z tego, co uzasadniało i kierunkowało zbrodniczy zamordyzm w literaturze polskiej. Któż obok niego ma większe zasługi w tym dziele, skoro on mówił najczęściej i najwięcej skoro był partyjną wyrocznią.

Trudno się bez sprzeciwu pogodzić z tym przypomnieniem naukowego charakteru tej działalności. Jeszcze trudniej współczuć pokrzywdzonemu Żółkiewskiemu, skoro wiadomo, że ten los zgotowali mu właściwie jego uczniowie i wychowankowie. To był akt zemsty członków gangu, zwalczającego inny gang. Stefan Żółkiewski był od początku swojej kariery w tym gangu, który dyrygował literaturą. Nie miał prawa spodziewać się niczego lepszego, niż właśnie takiego końca. On sam tak postępował. Przypominam sobie kursujące w domu akademickim wiadomości o aresztowaniu i torturowaniu młodzieńczego poety w więzieniu we Wronkach. Odróżnianie poezji do lektury od tej, która prowadziła za kratki, odbywało się na podstawie naukowych badań Stefana Żółkiewskiego. Właśnie w tym czasie Żółkiewski miał katedrę uniwersytecką i pisał na tematy literatury, zadań literatów i dobrodziejstw systemu z największą werwą i przekonaniem. Badając literaturę, ułatwiał zadanie badającym wspomnianego wyżej, jako jednego z wielu „zapłutych karłów reakcji” albo jakiegoś katolickiego wsteczniaka lub piszącego wiersze wroga socjalizmu. To było przez długie lata jego najważniejszą czynnością, dlatego ani słowa na ten temat w notatce? Dlatego notatkę uważam za kusą albo namaszczoną.

Z wyrazami szacunku

A. LUCZAK
(Bazyła)

Oslo, 14.02.1991

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11(518) *Kultury*, str. 118 przeczytałem, że 18-go września 90r. zarejestrowano w Warszawie Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim, której Pan jest prezesem.

Chciałem poinformować Pana, że na miarę moich prywatnych możliwości ten sam pomysł przyszedł mi do głowy w 89 roku. W ciągu 14-tu lat pobytu w Norwegii kupowałem różne polskie książki wydawane na Zachodzie. Jedne z ciekawości, inne aby wspierać wydawcę. Trochę książek dostałem w spadku po koleźce. Tak powstał mój prywatny niewielki wprawdzie zbiór książek, ale bardzo — moim zdaniem — ciekawy.

Ponieważ mieszkam w sąsiedztwie dużego kempingu w Oslo, na który corocznie przyjeżdża dużo turystów z Polski w celach przeważnie zarobkowych, to tym, którzy chcieli czytać, pożyczałem książki z mojego zbioru. Natomiast starsze roczniki *Kultury* w kompletach wprost zanosilem na kemping i zostawiałem do czytania wszystkim chętnym. Trudno powiedzieć, ile z nich było zabranych do Polski. W latach 88-89 zainteresowania tymi książkami i *Kulturą* już prawie nie było. No cóż, więcej wolności, to mniej cieka-

wości. Postanowiłem więc wysłać moje zbiory do Polski. Gdy dowiedziałem się, że moja koleżanka z młodych lat prowadzi bibliotekę przy Komisji Zakładowej „Solidarności” w Instytucie Niskich Temperatur we Wrocławiu, pomyślałem, że to będzie odpowiednie miejsce. Po porozumieniu się z nią przygotowałem transport.

W tym samym czasie firma, w której pracuje mój syn Jarosław, zmieniła system komputerowy — stary był w zasadzie nikomu nie potrzebny. Na uniwersytecie w Oslo, gdzie pracuję, również był sprzęt komputerowy, który mogłem wysłać do Polski. Przygotowałem więc w sumie dość dużą przesyłkę, która przy pomocy Komisji Charytatywnej (Caritas Norge) została bezpłatnie dostarczona do Wrocławia.

Wyobrażam sobie, ile pracy nagle spadło na Annę Rozwadowską, bo to właśnie na jej ręce wszystko wysłałem. Chciałbym tutaj na łamach *Kultury* podziękować Komisji Charytatywnej przy Caritasie Norge za przesłanie oraz Annie Rozwadowskiej za tak trafne — moim zdaniem — rozdzielenie wyslanego przeze mnie daru.

Biblioteka Polskiej Akademii Nauk im. Ossolińskich dostała część sprzętu komputerowego oraz wybrała z przesyłki te książki, których nie miała w swoich zbiorach. Reszta książek pozostała w bibliotece Komisji Zakładowej „Solidarności” przy Instytucie Niskich Temperatur. A Uniwersytet Wrocławski podziękował za sprzęt komputerowy. Listy z podziękowaniem są dla mnie bardzo miłe. Pozwalam sobie przestać Panu ich kopie.

Wracając jednak do informacji *Kultury* o powstaniu Fundacji, to cieszę się, że tak duże wydawnictwa przesyłały tak wiele książek bibliotekom w Polsce. Nie chcę na łamach *Kultury* nikogo namawiać, aby mnie naśladował. Myślę jednak, że nasze prywatne zbiory będą dziś bardziej przydatne w bibliotekach w kraju niż tu na półkach naszych prywatnych mieszkań.

Z poważaniem

Przemysław ZAGIERSKI

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^{me} trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 3945-1991

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1991			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63; «Polish Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, ON M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, ON M6P 4A8	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszk, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 6, Avenue de Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kålskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury” należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu”, „Porcja wolności”, „Krótkie spięcie”, „Płonie komitet”.

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: „Solidarność” przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: Policja i opozycja.

Str. 260.

Cena F. 80,00.

TOM 467 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY PIĄTY

zawiera opracowania: Jakub Karpiński: *Lekcja anatomii (makroscjologia i sowietologia)*; Bp Szczepan Wesoły: *Stosunki między gen. Sikorskim i bp. J. Gawliną*; Tadeusz Wyrwa: *List do Redakcji w/s. powyższego artykułu*; Tadeusz Wyrwa: *Poselstwo R. P. w Madrycie w latach 1940-1944*; Franciszek Król: *Pierwszy strajk w Gułagu. Workuta 1953*; Michał Komar: *Pan Adam*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześnieowej (dokończenie)*; *Raport płk. Henryka Pohoskiego*; *Dwa listy płk. Jana Rzepeckiego do Stanisława Mikotańczyka z lipca 1945 r.*; Andrzej Paczkowski: *UB a połączenie SL i PSL w 1949 roku*; Witold Dworzyński: *Biografia Wieniawy*; Tadeusz Wyrwa: *Polska w polityce międzynarodowej 1945-1947*; Jerzy R. Krzyżanowski: *Kąkolewnica — podlaski Katyń*; Tadeusz Wyrwa: *Działalność Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie* oraz bogaty dział LISTÓW.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 50 F